



Zbrodnie „Anioła Śmierci”
Sadystyczne eksperymenty
doktora Josefa Mengelego

Gehenna „Kurska”
Szokujące kulisy katastrofy
rosyjskiego okrętu

Zdobyłem Monte Cassino
Poruszający wywiad
z bohaterem z armii Andersa

NR 7(77)/2019 LIPIEC 2019

CENA 8,90 zł (w tym 8% VAT)

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

Wołyn '43 GDZIE BYŁA ARMIA KRAJOWA?



ISSN 2299-5515

DO RZECZY HISTORIA

Wydanie 256 031

07>



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL

WWW.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedzielko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzaczek
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Łuck, wrzesień 1938 r.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz podczas przekazania wojsku sprzętu ufundowanego przez mieszkańców Łucka



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Serce się kraje

Ludobójstwo na Wołyniu od początku istnienia „Historii Do Rzeczy” jest dla nas jednym z najważniejszych tematów. Pisaliśmy o straszliwej gehennie naszych rodaków zza Bugu wielokrotnie. O bestialskich metodach banderowskich mordów, o bohaterach wołyńskiej samoobrony, o ukraińskim integralnym nacjonalizmie i ukraińskich sprawiedliwych. A także o martyrologii polskich dzieci, które nie uniknęły tragicznego losu rodziców.

W tym roku – w 76. rocznicę ludobójstwa – przyszedł czas na temat chyba najbardziej kontrowersyjny i bolesny. Mowa o zawodzie, który Wołyniakom sprawiło Polskie Państwo Podziemne. Mimo licznych ostrzeżeń przed narastającym zagrożeniem i próśb o ratunek w trakcie apogeum rzezi AK była bierna.

Mordów na Polakach dokonywały kiepsko wyszkolone bojówki UPA albo wręcz chłopcy wyposażeni w siekiery i widły. Oprawcy niemal nigdzie nie napotkali jednak oporu AK. Rozkaz o stworzeniu na Wołyniu oddziałów partyzanckich został wydany dopiero 20 lipca 1943 r. A mobilizację ogłoszono dopiero w styczniu 1944 r. Za późno!

Kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego zlekceważyło zagrożenie banderowskie. Do końca wierzyło, że z nacjonalista-

mi ukraińskimi uda się dogadać. A w trakcie rzezi bało się, że ostre wystąpienie przeciwko ukraińskim nacjonalistom, wywoła niezadowolone aliantów. Priorytetem dla AK była wojna z Niemcami. I temu celowi organizacja podporządkowywała wszelkie wysiłki.

W efekcie Wołyniacy konali w osamotnieniu. Wyczekiwana odsiecz nie nadeszła.

Dotychczas, jak zawsze przedtem, społeczeństwo polskie milczało – czytamy we wstrząsającym meldunku polskiego podziemia z ziem wschodnich z 22 lutego 1944 r. – Milczy także i teraz w ostatnim dramacie krwawych porachunków sąsiedzkich. I znając trochę Polaków, przyjąć się musi, że stanie się wszystko według ukraińskich planów. Wymordują nas!

Kampanię wołyńską przegraliśmy dlatego tak słomotnie, że nie zdążyliśmy w czas zorganizować obrony. Zdawało się wszystkim, że istnieje tysiąc przyczyn i drugi tysiąc powodów i bezlik innych trudności, dla których grupy bojowe polskie nie mogły być wysłane do akcji na Wołyniu. Strona atakująca była bardziej zdecydowana w ataku aniżeli nasza w obronie.

Gdy czyta się takie dokumenty, serce się kraje. Tak jednak było. Wołyń został potrak- towany przez Warszawę po macoszemu. Jak odległa, nikomu niepotrzebna prowincja. Fakt ten był (i jest do dziś) źródłem olbrzymiego rozgoryczenia tamtejszych Polaków. Mimo ich olbrzymiego patriotyzmu, miłości i poświęcenia dla ojczyzny ta ojczyzna ich zawiodła. ©©

/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR ZYCHOWICZ

Wołyń zdradzony

.10 DOKUMENTY

Rodacy, ratujcie!

.14 PIOTR ZYCHOWICZ

Wołyńscy zagońcy

.18 TOMASZ STAŃCZYK

Zbrodnia i ocalenie w Kisielinie

/ CZASY I LUDZIE

.22 MAREK GAŁĘZOWSKI

**Legion
majora
Jagmina**.26 ANTONI
ŁAPIŃSKI**Walczyłem pod
Monté Cassino**.30 MARCIN
BARTNICKI**„Kursk” idzie na
dno**

.34 LESZEK LUBICKI

Krwawa łaźnia Leszka Białego

.38 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Cypr w ogniu

.42 SŁAWOMIR KOPER

**Nieszczęsna wybranka
Szczęsnego**

.46 MIROŚŁAW SZUMIŁO

Czerwony klan Bermiana

.50 JAKUB OSTROMĘCKI

**Elżbieta I:
Anglia ponad
prawdą**

.55 PIOTR SEMKA

**Buława ukraińskich
hetmanów**

.58 MIKOŁAJ IWANOW

Mit Stalina

– ascety

.62 GERALD

POSNER

**Diabelskie
eksperymenty
„Anioła Śmierci”**

.66 MARIAN

ZACHARSKI

**Bomba
w Pera Palace**

FOT. WIKIPEDIA

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Nalkowska:
znana z jednej
powieści**

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

**Zemsta
inżyniera**.85 PIOTR SEMKA
Wielorybnicy
mieli szczęście

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

**Oderwanie
Chełmszczyzny**.70 MACIEJ ROSALAK
Raporty o pogromach Żydów
w Polsce.74 ANDRZEJ RAK
Piekło na Kresach/ BATALIE
I WODZOWIE.90 MACIEJ ROSALAK
**Zamoyski:
kanclerz
i hetman
w jednym**

/ TECHNIKA

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

**Motocykl,
zabawka dużych
chłopców**

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Aktorka z AK**



1943 r. / Tragedia Polaków z za Buga

Wołyń zdradzony



Piotr Zychowicz

**Armia Krajowa
w obliczu
banderowskich
mordów na Polakach
zachowała się biernie.
Pomoc była spóźniona
i niewystarczająca**

Co to za podziemna armia, która chce walczyć z Niemcami, a nie jest w stanie ochronić kobiet i dzieci przed bandami uzbrojonymi w widły?

To dramatyczne pytanie pada z ust Zosi, głównej bohaterki filmu „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego. Adresatem tego pytania jest jej chłopak Antek. Żołnierz Armii Krajowej. Antek na pytanie nie odpowiada. Zamiast tego, wykonując rozkaz podziemnej organizacji, opuszcza wieś. Odchodzi. Zosia, jej dzieci, sąsiedzi i pozostali polscy

mieszkańcy wioski zostają sami. Porzuceni na pastwę morderców. W nocy na miejscowość napadają bowiem ukraińscy nacjonaliści.

Na oczach oszołomionych widzów dzieją się sceny przekraczające wszelkie wyobrażenia. Oszałali z przerażenia Polacy próbują się wymknąć, ale nie ma dokąd. Nie ma drogi ucieczki. Oprawcy są wszędzie. Dopadają Polaków i rozrabiają ich siekierami. Dźgają nożami i widłami. Jednej z kobiet wyłupują oczy. Innej wycinają z brzucha płód.

Na ekranie widzimy odrąbane ręce



Polacy zamordowani przez UPA w Lipnikach FOT. WIKIPEDIA



słowa jednego z dowódców ukraińskiej partyzantki:

Z dniem 1 marca 1943 roku – mówił upowiec – przystępujemy do powstania zbrojnego. Jest to działanie wojskowe i jako takie skierowane jest przeciw okupantowi. Jeśli chodzi o sprawę polską, to nie jest to zagrożenie wojskowe, tylko mniejszościowe. Rozwiążemy je tak, jak Hitler sprawę żydowską. Chyba że usuną się sami.

Wołyniu i w Galicji Wschodniej mogli zgładzić nawet ok. 100 tys. Polaków. Ta szokująca swoim okrucieństwem i skalą operacja eksterminacyjna trwała wiele miesięcy. Od lutego 1943 r. aż do całkowitego opanowania tych terenów przez Armię Czerwoną w roku 1945.

Ludobójstwa na Polakach dopuścili się kiepsko wyszkolone, dowodzone i uzbrojone leśne grupy, a niekiedy naprędce skrzyknęte watahy chłopów. Narzędziami zbrodni były prymitywne narzędzia rolnicze: widły, siekiery, cepy, kosy, noże, łomy, kije i maczugi.

Prowokuje to do zadania gorzkich pytań. Gdzie było wtedy Polskie Państwo Podziemne? Jak Armia Krajowa mogła dopuścić do tego ludobójstwa? Dlaczego nikt nie przybył na odsiecz Wołyniowi? Dlaczego nasi rodacy konali w samotności? Odpowiedź jest rozdzierająca.

Niewysłuchane ostrzeżenia

Zachowane dokumenty archiwalne nie pozostawiają żadnych wątpliwości – kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego były na bieżąco informowane, co się dzieje na Wołyniu. Od 1942 r. do Warszawy napływały liczne ostrzeżenia i alarmujące raporty na temat rosnącego banderowskiego zagrożenia. A później – gdy zaczęły się mordy – dramatyczne błagania o ratunek.

Dowodu na to, że ukraińscy nacjonaliści szykują się do masowej rzezi Polaków, dostarczył m.in. ppor. Lech Łada „Żagiew”. Na przełomie lat 1942 i 1943 temu bohaterskiemu oficerowi AK udało się przeniknąć do szeregów formującej się UOA. Łada poznał dzięki temu zbrodnicze plany tej formacji. I w złożonym na ręce przełożonych meldunku zacytował

Ostrzeżenie to – choć raport Łady dotarł aż do Londynu – zostało zignorowane. Podobnie jak liczne raporty Biura Wschodniego Delegatury Rządu na Kraj.

Skrajnie nacjonalistyczne OUN jest na tym terenie coraz bardziej aktywne – czytamy w meldunku ze stycznia 1943 roku. – Podziemna akcja OUN podjęta została na Wołyniu w ostatnich czasach dość żywo. Hasłem, jakie szerzą kolportowane instrukcje banderowskie, jest: kochaj wszystko, co ukraińskie – nienawidź wszystko, co obce. W niektórych powiatach banderowcy liczebnie przedstawiają dosyć znaczącą siłę. Mają oni swoje komórki wśród policjantów ukraińskich w większości posterunków.

W Komendzie Głównej AK raporty te bagatelizowano, uznawano je za przesadę i objaw nastrojów panikarskich. Kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego w Warszawie do końca wierzyło, że z ukraińskimi nacjonalistami uda się porozumieć. Rozładować konflikt o Wołyń i Galicję Wschodnią za pomocą negocjacji. Były to mrzonki, których konsekwencje okazały się tragiczne.

Otrzeźwienie nie przyszło nawet, gdy na Wołyniu rozpoczęły się pierwsze masowe mordy. 9 lutego 1943 r. banderowcy wyróżnili polską wieś Parośl (ok. 150 ofiar), 26 marca Lipniki (blisko 200 ofiar), a 23 kwietnia Janową Dolinę (blisko 600 ofiar). Rozsądni przedstawiciele polskiego podziemia domagali się wówczas, aby AK na Wołyniu natychmiast powołała do życia oddziały partyzanckie. Wzywali również, żeby – w celu ratowania wołyńskich Polaków – Komenda Główna AK przysłała odsiecz z centralnej Polski.

Niestety, nic z tego nie nastąpiło. Ze względu na zlekceważenie zagrożenia ze strony szowinistów ukraińskich AK do końca zwlekała ze stworzeniem na Wołyniu swoich struktur. A gdy wreszcie, wiosną 1943 r., zaczęła je tworzyć, to nie w celu obrony Polaków przed banderowskimi siekierami, ale... z myślą o akcji „Burza”.

i nogi. Fragmenty mózgu wypadające z pogruchotanych czaszek. Parujące wnętrznosci wypływające z rozplątanych brzuchów. Banderowcy obwiązują polskie dzieci snopkami słomy i palą je żywcem. Swoje ofiary ćwiartują i przeryniają na pół piłami. Istne pandemonium. Siódmy krąg piekieł.

Oglądając te makabryczne sceny, widz ma nadzieję, że w ostatniej chwili – niczym w hollywoodzkiej superprodukcji – zaatakowanym Polakom ktoś przybędzie na ratunek. Że zaraz zagrają trąbki i na plan jak burza wpadną na koniach „nasi chłopcy”. Zobaczymy przekrzywione zawadiacko rogatki, zielone partyzanckie mundury, orzełki na czapkach. Błysk wzniesionej do cięcia szabli, huk rewolwerowego wystrzału. I plecy uciekających w popłochu banderowców.

„Nasi chłopcy” jednak nie przybyli... Historycy oceniają, że nacjonaliści z Ukraińskiej Powstańczej Armii na



Defilada żołnierzy
27. Wołyńskiej Dywizji
Piechoty FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

■ To właśnie walka z Niemcami była priorytetem dla AK. I na niej koncentrowała wszystkie wysiłki. W efekcie tworzyła się kuriozalna sytuacja. Podczas gdy w wioskach Wołynia banderowcy bezkarnie wyrzynali polskie kobiety i dzieci – w miastach Wołynia broń zalegała w magazynach. Młodzi żołnierze siedzieli beczynnie, czekając nadaremnie na upragniony rozkaz sformowania oddziałów i wyjścia w teren.

Naginanie wszystkich poczynań organizacyjnych – pisał wołyński delegat rządu Kazimierz Banach – do planu operacyjnego powstania przeciwniemieckiego nie prowadzi na Wołyniu do żadnego celu. W razie bowiem zlikwidowania ludności polskiej na Wołyniu – wojsko zadań swych wynikających z ogólnego planu wykonać nie będzie w stanie.

AK wykazała zaskakujący brak elastyczności. Dlaczego w lutym i marcu 1943 r., gdy rozpoczęły się krwawe ukraińskie mordy, plany powstańcze nie zostały zarzucone? Dlaczego wojsko nie zmieniło priorytetów i nie rzuciło się natychmiast na pomoc mordowanym rodakom?

Działania podjęte wiosną 1943 r. przez wołyńskiego komendanta AK płk. Kazimierza Bąbińskiego „Lubonia” były rachityczne i niewystarczające. Sprawy nie ułatwiało to, że „Lubon” wdał się w spór z delegatem Kazimierzem Banachem. Spór ten dodatkowo paraliżował zdolność do działania polskiego podziemia.

Uważałem, że wszystkie siły należy włączyć do samoobrony ludności – relacjonował Banach. – AK w tym czasie, to znaczy w początkach 1943 roku, nie całkiem zdawała sobie sprawę z grozy sytuacji. Akowcy chcieli koniecznie roczniki wojskowe wyłączyć z baz i oddziałów samoobrony. Przy tym chcieli broń trzymać w magazynach, choć była natychmiast potrzebna ludności zagrożonej i mordowanej przez banderowców. Nie chciałem oddać ludzi, żądałem broni.

Za późno!

W tej sytuacji cały ciężar walk z UPA i obrony polskiej ludności spoczął na samoobronach. Czyli powołanych przez miejscowych Polaków organizacjach paramilitarnych. W wielu miejscowościach Wołynia utworzyły one twierdze, o których mury rozbijały się kolejne fale banderowskich ataków. Najstraszniejsze z nich powstały w Przebrażu, Hucie Starej, Zasmykach czy Pańskiej Dolinie. Były to jednak – należy to podkreślić – działania spontaniczne, oddolne.

Bierność Armii Krajowej przyniosła opłakane skutki. Rozbestwieni bezkarnością i łatwością, z jaką wyrzynali polskie wioski banderowcy 11 lipca 1943 r., przystąpili do zmasowanego ataku. Mowa o tzw. krwawej wołyńskiej niedzieli, podczas której UPA zgładziła tysiące Polaków. Znowu nie napotykać na opór.

Dopiero ta straszliwa, szokująca rzeź skłoniła płk. „Lubonia” do podjęcia bardziej energicznych działań. Nadal co

prawda nie zdecydował się na ogłoszenie na Wołyniu mobilizacji wszystkich zaprzysiężonych w konspiracji żołnierzy. 20 lipca wydał jednak rozkaz utworzenia lotnych oddziałów partyzanckich. W sumie miało ich powstać dziewięć, a w ich szeregach znaleźć się miało łącznie ponad tysiąc żołnierzy.

Stan gotowości bojowej pułkownik nakazał im osiągnąć 28 lipca. Było to oczywiście nieosiągalne. Część oddziałów formowała się kilka tygodni, inne kilka miesięcy. Na Wołyniu jednak pojawiła się wreszcie polska siła zbrojna mogąca wesprzeć samoobronę.

Decyzja ta była bez wątpienia słuszna. Niestety, siły wysłane w teren należy uznać za niewystarczające, nieadekwatne do skali dramatu. Przede wszystkim jednak rozkaz Bąbińskiego był tragicznie spóźniony. Wydany został pięć i pół miesiąca po rozpoczęciu eksterminacji wołyńskich Polaków. A ponad dwa tygodnie po krwawej niedzieli, czyli po apogeum mordów.

W efekcie, gdy AK wreszcie zdecydowała się na wejście do gry, olbrzymia część ofiar ludobójstwa na Wołyniu dawno już wtedy nie żyła. Ludzie ci nie doczekali się więc pomocy – zginęli na próżno wyglądając odsiecz.

O tym, że wołyńska AK mogła zrobić więcej, świadczą wydarzenia ze stycznia 1944 r. Dopiero wówczas – blisko rok po wymordowaniu Parośli – płk Bąbiński zdecydował się na mobilizację. Mimo że



WIĘCEJ NA TEMAT BRAKU REAKCJI ARMII KRAJOWEJ NA LUDOBÓJSTWO NA WOŁYNIU W NOWEJ KSIĄŻCE PIOTRA ZYCHOWICZA „WOŁYŃ ZDRADZONY” (REBIS). PREMIERA: 2 LIPCA!

skąd brać sumy na funkcjonowanie ośrodków. W odpowiedzi usłyszeli, że nie ma szans na żadne pieniądze z Komendy Głównej”.

Dlaczego tak się stało? Przyczyn było kilka. Po pierwsze Komenda Główna AK żałowała broni, której potrzebowała do przyszłej walki z Niemcami w centrum kraju. Wysłanie jej na peryferyjny, zapomniany przez Boga i ludzi Wołyń uważano w Warszawie za marnotrawstwo.

Udział sił zbrojnych w kraju – pisał komendant główny AK w meldunku z połowy 1943 r. – w organizowaniu samoobrony oraz jej bojowe nastawienie musi być ograniczone, gdyż nie mogą wszczynać powszechnej walki równej powstaniu i stracić z oczu głównego późniejszego zadania. Nie mam też do dyspozycji dostatecznego uzbrojenia ani amunicji.

Po drugie „mężowie stanu” z Polskiego Państwa Podziemnego obawiali się, że energiczna polska akcja wymierzona w ukraińską rebelię zostanie źle odebrana przez naszych ukochanych sojuszników. Amerykanów i Anglików.

Udostępnienie potrzebnej Kresom broni – pisał po latach płk Jan Rzepecki „Prezes”, szara eminencja Komendy Głównej AK – roznieciłoby ogień walki do niewyobrażalnych rozmiarów, a opinia publiczna świata uzyskalaby argument, że walka Polaków o granice z września 1939 roku była błędem politycznym.

Dla Polaków z Wołynia bierność Armii Krajowej wobec banderowskiego ludobójstwa była szokiem. Mieszkańcy ziem wschodnich Rzeczypospolitej zawsze

udało mu się zmobilizować tylko część okręgu, na miejsca koncentracji przybyło ponad 6 tys. ludzi. Wyciągnięto również z magazynów broń i amunicję.

W ten sposób powstała 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK. Wojsko niezwykle bitne i dzielne, ale niestety... całkowicie zmarnowane przed dowództwem. Wołyńscy żołnierze zostali bowiem rzućeni do realizacji samobójczej akcji „Burza”.

Wołyńscy żołnierze AK, którzy w walce z UPA stanowili pokaźną siłę, w starciu z Niemcami okazali się bezradni. Polska Dywizja dostała się w okrążenie i została zmasakrowana przez nieprzyjaciela. Jej droga bojowa to jedna wielka gehenna. Oddziały błakały się po lasach bombardowane i nękane przez nieprzyjaciela. Wszystko to odbywało się w ekstremalnych warunkach pogody, bez niezbędnego zaopatrzenia i żywności.

W kilku przypadkach – m.in. na torach pod Jagodzinem i podczas przeprawy przez Prypeć – polskie oddziały zostały dosłownie zmasakrowane. Krwawa epopeja dywizji zakończyła się rozbrojeniem jej przez Sowietów w Skrobowie w lipcu 1944 r. Nie ma żadnych wątpliwości, że ludzie ci powinni byli zostać zmobilizowani wiele miesięcy wcześniej. I rzućeni do innego, znacznie ważniejszego zadania. Czyli obrony rodaków przed banderowskimi nożami.

Gdyby w 1943 r. na Wołyniu oddziały partyzanckie AK liczyły ponad 6 tys. żołnierzy – najprawdopodobniej nie doszłoby do ludobójstwa naszych rodaków. A już na pewno miałyby ono znacznie mniejszy zasięg. Banderowcy „odważni” wobec bezbronnym kobiet i dzieci, w konfrontacji z uzbrojonym przeciwnikiem radzili sobie na ogół fatalnie.

Obojętność Warszawy

Na krytykę zasługuje przede wszystkim Komenda Główna AK w Warszawie. Nie tylko nie przysłała ona na Wołyń żołnierzy. Nie przysłała również amunicji i broni. Wołyńcy nie doczekali się obiecanych im zrzutów lotniczych.

„Lokalni dowódcy na Wołyniu jeździli w tej sprawie do Komendy Głównej AK w Warszawie – pisał historyk Ernest Komoński. – Tam prowadzili rozmowy,

należeli do najbardziej patriotycznej części narodu. Oddaleni od centrum państwa mieli skłonność do idealizowania Polski. Byli przekonani, że ich ukochana ojczyzna pamięta o swoich synach i córkach, którym przyszło żyć na wysuniętych rubieżach Rzeczypospolitej. Wierzyli, że w chwili próby Polska zatroszczy się o nich i ich obroni. Przybędzie na ratunek.

Ich nadzieje zostały zawiedzione... Wołyńcy przyjeżdżali do bezbrzeżnym zdumieniem i niedowierzaniem, które z czasem przeszły w równie wielkie rozgoryczenie i żal.

Również wielu żołnierzy i działaczy podziemia zdawało sobie sprawę z zaniechań, jakich dopuściło się ich kierownictwo. Jednym z nich był dowódca Inspektoratu Sądowa Wisznia, którego gorzkie słowa zostały przytoczone w raporcie z 23 lutego 1944 r.

Widać brak opieki nad polską ludnością, brak organizacji – czytamy w dokumencie. – Nie mogę w tej sprawie zabierać głosu, ale mimo wszystko wydaje mi się, że w sprawie ludności polskiej na Wołyniu coś nie było w porządku z naszej strony, że można było zająć się ludnością polską, obronić ją lub wywieźć na zachód.

Skoro jesteśmy za słabi, aby zorganizować obronę ludności przed jej wytypowaniem, dozwolmy przynajmniej, by sama ratowała swoje życie. Gdy będą ludzie, ziemię można odzyskać na nowo, ale ludzi się nie wskrzesi.

Wydaje mi się, że naszym celem jest nie tylko walka z Niemcami, ale i obrona Polaków.

Nie ulegam panicznym nastrojom, nie cofałem się i nie uciekałem ani przed bolszewikami, ani przed Niemcami, sam zgłosiłem się na ochotnika, by objąć placówkę na wschodzie. Ale trzeba sytuację trzeźwo rozpatrywać i starać się uratować możliwie największą liczbę polskiej ludności w jakikolwiek sposób, a nie zostawiać jej bez kierownictwa, dyrektyw, obrony i pomocy.

I jeszcze apel z 5 marca 1944 r. napisany przez członka podziemia z Galicji Wschodniej, na której teren przelała się wówczas fala banderowskich mordów.

Polacy wołają błagalnie: broni, broni i jeszcze raz broni, skoro chcemy tu kiedyś w przyszłości wrócić. Słyszysz często takie głosy ze strony Polaków: gdzie nasz rząd, gdzie nasze władze? Co na to mówi Warszawa? Cemu nie przyjdą z jakąkolwiek pomocą?

Od tragedii Polaków z Buga minęło już 76. lat. Pora więc, aby zacząć mówić o niej całą prawdę. Nawet najbardziej niewygodną i przykrą. Jesteśmy to winni ofiarom. Naszym rodakom, którzy nadaremnie wyglądali ratunku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Galicja Wschodnia / Raporty, meldunki, listy

Rodacy, ratujcie!

/ Dlaczego AK nie broni nas przed UPA? Dlaczego polskie podziemie nas porzuciło? Dokumenty podziemia z Galicji Wschodniej szokują

Społeczeństwo polskie w Małopolsce Wschodniej zdaje sobie jasno sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi mu na wypadek wybuchu anarchii ukraińskiej. Polacy przygotowani są na to, że przyjdzie im tej ziemi bronić orężnie, żądają jednak pomocy z centrum państwa, a przede wszystkim broni. Zbrojnym wystąpieniem ukraińskim i ich ekscesom zapobiec może tylko silna postawa i uzbrojenie elementu polskiego.

Raport z września 1943 r.

Przebieg wydarzeń nie pozostawia wątpliwości. Ukraińcy wydali nam bezlitosną wojnę i toczą ją z użyciem wszelkich środków i metod, na nic się nie oglądając. Istnieje olbrzymie niebezpieczeństwo, że poniesiemy straty nie do odrobienia. Wszystkie relacje z prowincji, wszelkie rozmowy z ludźmi kończą się pełnymi troski pytaniami: Czy Polska cała jest o wszystkim poinformowana? Czy zdaje sobie sprawę z powagi niebezpieczeństwa? I czy będą zastosowane na czas odpowiednie środki z naszej strony?

Raport Sekcji Wschodniej Delegatury Rządu na Kraj z 29 kwietnia 1944 r.

AK zupełnie nie panuje nad sytuacją. Przeciw akcji ukraińskiej musi nastąpić totalna organizacja Polaków z całej naszej dzielnicy i musi przyjąć totalna pomoc z reszty Polski.

Raport lwowskiej Delegatury Rządu na Kraj z 5 maja 1944 r.

Wojsko nie wywiązuje się z zadania samoobrony. Ludność polska jest nieprzygotowana i nie może się przeciwstawić rosnącej fali morderstw. Natomiast wojsko nie działa należycie, uważając, że wrogiem nr 1 są Niemcy, podczas gdy zagadnienie ukraińskie jest zagadnieniem politycznym, sprawą wewnętrzną. Mimo powiększającej się stale powagi sytuacji Komendant Okręgowy zamiast przygotowywać samoobronę, prowadził z Ukraińcami rozmowy. Rezultat tych pertraktacji jest żaden, natomiast mordy ustawicznie rosną. Dzisiaj ofiary idą już w dziesiątki tysięcy.

Przedstawiciel Stronnictwa Pracy, Lwów 27 kwietnia 1944 r.

AK nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Nie ujęła w skuteczniejsze ramy samoobrony ludności polskiej. Nie pozwalała na stosowanie odwetu. Nie przeprowadzono stosownego dozbrojenia ludności polskiej.

Analiza lwowskiego Stronnictwa Narodowego

Co temu wszystkiemu przeciwstawia się ze strony polskiej? Co robi Naród? Co robi Rząd Polski? Kończy się wszystko na oburzeniu, współczuciu, słowach otuchy z dołożeniem nakazu wytrwania na stanowisku i wezwania do samoobrony. Niczego nie przygotowano, niczego nie zorganizowano, brak broni, wszystkiego. A po drugiej stronie wszystko przygotowane, doskonale zorganizowane, wyposażone w broń i ekwipunek. Gdzie

jest nasza Armia Krajowa, o której wyczynach trąbi się na cały świat? Jesteśmy na drodze, która prowadzi do zupełnego wytępienia na tych ziemiach elementu polskiego.

Raport Komitetu Ziemi Wschodnich z 20 kwietnia 1944 r.

Tutejsze społeczeństwo wypróbowane lojalnie w stosunku do Rządu Polskiego, karne i bezgranicznie ofiarne, świadome swego posłannictwa, tracić zaczyna zaufanie do poczynąń Rządu, oceniając je jako błędne i niewłaściwe. Stan ten określamy jako kryzys zaufania.

Raport Komitetu Ziemi Wschodnich

Piszę, bo już nie mogę wytrzymać. Nie wiem, czy macie wiadomości o tym, co się tu dzieje. Wykrzyczcie na wszystkie strony, bo nasze głosy nie znajdują nigdzie echa. Radzi się, pakuje, zwleka, by „nie zadrażniać sytuacji”. A tymczasem już nie rodziny, ale całe osady polskie idą z dymem, a ludzi strzela się i systematycznie wycina. Obrona z polskiej strony trudna,



Zamordowana rodzina
Rudnickich w Chobułowce
(Wołyń) FOT. OŚRODEK KARTA



Późną jesienią 1942 pojawiają się ulotki i napisy w różnych wsiach pow. krzemienieckiego i dubieńskiego, nawołujące do mordowania Polaków i rzucające hasło: Ukraina tylko dla Ukraińców. Wślad za tem zaczęły się pojawiać, jako pierwsze fakty, grabieże bydła i zboża w majątkach, oraz żywności w składach kooperatyw. - Pierwsze wypadki mordowania Polaków przypadają na listopad, masowe mordy i grabieże rozpoczęły się po ucieczce milicji ukraińskiej z bronią w rękę i przyłączeniu się do istniejących już wówczas nacjonalistycznych band ukraińskich "Tarasa Bulby" i "Bendery". Ucieczka ta nastąpiła w marcu 1943 r. i to równocześnie na terenie obu powyższych powiatów, a tamże - jak było słychać - na terenie pow. łuckiego i rówieńskiego, oraz innych powiatów Wołynia. Fakt ucieczki milicji ukr. podkreśla się dlatego szczególnie, bo z tą chwilą wzmożła się intensywność mordów i grabieży, a także z zeznań rannych i ocalonych wynika, że milicjantów poznawano wśród uczestników napadów. Z przebiegu poszczególnych napadów wynika niezbicie, że bandy ukrywające się w lesie, rekrutowały się z miejscowej ludności wiejskiej /głównie młodzieży około 20 l./ i pozostawały w ścisłym kontakcie z ludnością ukraińską, która udzielała im informacji i czynnej pomocy. W wielu wypadkach Polacy, którym udało się ocaleć, twierdzili że w napadach brał udział głównie element miejscowy, a nawet sąsiedzi. Według powszechnej opinii i kilku stwierdzonych faktów /np. w Rybczy pojmano jednego studenta medycyny ze Lwowa/ akcją napastniczą kierowali głównie ukraińcy galicyjscy. Jako charakterystykę akcji antypolskiej można podkreślić, że w owym stadium początkowo skierowana była ona głównie przeciw mężczyznom polakom, zajmującym pewne stanowiska /w majątkach i w składach/ później zaś objęła ogół Polaków zamieszkałych na wsi /a

■ bo nie ma broni. Mówcie o tych sprawach wszystkim, przy każdej okazji. Przebaczenie mi, żem wam zakrwawił serca, my tu już nie płacemy, bo łez nie staje. Będzie nam lżej, gdy się dowiemy, że ktoś ze środkowej Polski zainteresował się naszą niedolą.

Anonimowy list ze Lwowa

Wszystkie relacje z terenu zgodnie stwierdzają wielkie rozgoryczenie, z jakim społeczeństwo polskie w Małopolsce Wschodniej mówi o tym, że zostało pozostawione na pastwę hajdamackich elementów ukraińskich bez organizacji, broni, pomocy i opieki.

Raport zbiorczy polskiego podziemia z marca 1944 r.

Dotychczasowa akcja naszych czynników kierowniczych, mająca na celu powstrzymanie odpływu elementu polskiego, spotyka się już bardzo często z ironią i stałym pytaniem: „Dlaczego nie robią czegoś, abyśmy się czuli na tych ziemiach bezpieczniejsi?”.

Raport ze Lwowa

Masowe mordy przy braku reakcji ze strony polskiej, mimo wiadomości o istnieniu podziemnej organizacji, wywołują poczucie bezbronności i paniki.

Raport ze Stanisławowa

Ludność polska nabiera tej gorzkiej świadomości, że jest pozostawiona bez żadnej pomocy.

List szefa RGO Leopolda Tesznara z 12 kwietnia 1944 r.

Ogólnie ludność tutejsza jest po prostu przerażona i kompletnie przybita wydarzeniami. Powszechna jest świadomość własnej bezsilności i bezradności wobec tych mordów. Stawiane są pytania: Co właściwie robią organizacje polskie? Dlaczego nie działają i nie przychodzą z pomocą?

Relacja przedstawiciela Stronnictwa Narodowego ze Stanisławowa

Społeczeństwo polskie z heroizmem znosi wszelkie katusze, lecz ma żal – powszechnie wyrażany – do Rządu Polskiego, że o jego męce ani słówkiem w Londy-



nie nie piśnie, i traci wiarę, czy krwiożerczy i bandycki naród ukraiński zapłaci za te mordy, rabunki i podpalenia, za całą wielką krzywdę wyrządzoną Polakom na tych ziemiach.

Raport Delegatury Rządu na Kraj z 23 czerwca 1944 r.

Nie pozostawiajcie nas na pastwę losu!

List pani Dobrzańskiej ze Lwowa

We Lwowie krążą uporczywe pogłoski, że nastąpi wielka rzeź Polaków na terenie Lwowa. W związku z tym nastroje są okropne, coraz częściej mówi się o tym, że naczelne dowództwo polskich organizacji podziemnych jest na żołdzie OUN lub też jest tak zniedołężniałe, że nie nadaje się na kierownicze stanowiska. Powszechne oburzenie zaczyna się po prostu zamieniać w szal do tego stopnia, że ludzie pracujący w mojej komórce zaczynają się pytać, jaki cel ma ich praca, skoro nie ma żadnych rezultatów. Coraz częściej słychać o popełnianiu samobójstw przez Polaków niechających patrzeć na męczeńską śmierć swoich braci, którzy znikąd nie mogą liczyć na najmniejszą pomoc.

Raport ze Lwowa z marca 1944 r.

Coraz częściej słyszy się głosy krytyki głośno omawiające bezczynność czy bezsilność polskich organizacji, wszyscy głośno domagają się odwetu w stosunku do Ukraińców, mówiąc, że organizacje wtedy zaczną działać, gdy nie będzie już Polaków.

Raport z Galicji z 25 lutego 1944 r.

Polacy wołają błagalnie: broni, broni i jeszcze raz broni, skoro chcemy tu kiedyś w przyszłości wrócić. Słyszysz się często takie głosy ze strony Polaków: gdzie nasz rząd, gdzie nasze władze? Co na to mówi Warszawa? Czemu nie przyjdą z jakąkolwiek pomocą?

Apel z 5 marca 1944 r.

Polska zdobyła się na skromną pomoc dla Wołynia dopiero wówczas, gdy padły dziesiątki tysięcy pomordowanych ofiar, a ludność polska Wołynia została w ogromnej większości wyparta z terenu.

Doświadczenia wołyńskie niczego nas nie nauczyły; pomimo otrzymywanych ostrzeżeń z wielu stron, że podobne wypadki mogą zaistnieć w Małopolsce Wschodniej, nie zrobiono niczego, by się na tę ewentualność przygotować. W Małopolsce Wschodniej powtórzyły się wypadki wołyńskie w skali znacznie większej. Setki tysięcy Polaków opuściły swoje siedziby, idąc na tułaczkę, dziesiątki tysięcy zostało wymordowanych w bestialski sposób.

Pół roku nieprzerwanie trwają mordy Polaków w Małopolsce Wschodniej, a Polska dotychczas nie zdobyła się na wysiłek, na nową „odsiecz Lwowa”. Nie wystarcza platoniczne współczucie reszty Kraju, gdy leje się krew i gdy z całych połaci Małopolski Wschodniej ludność polska jest wypierana terrorystyczną akcją hitlerowsko-ukraińską.

Rada Społeczna Ziem Wschodnich musi dać wyraz najgłębszemu rozgoryczeniu ludności Małopolski Wschodniej za niezorganizowanie należytej pomocy.

Rada Społeczna Ziem Wschodnich zwraca się jeszcze raz do miarodajnych czynników opinii publicznej, by nie dopuszczały do dalszego pogłębiania katastrofalnej sytuacji ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej. Pozostała jeszcze na posterunkach ludność Małopolski Wschodniej oczekuje na natychmiastową pomoc.

Uchwała Rady Społecznej Ziem Wschodnich z 21 czerwca 1944 r.

Ludność czuje się opuszczona przez polskie czynniki rządowe. Pominiecie sprawy wołyńskiej lub zbywanie jej krótkimi wzmiankami przez oficjalną prasę podziemną sprawia wrażenie, że polskie władze tylko wtedy interesują się mordowaniem Polaków, jeśli mordercami są Niemcy. Gdy chodzi o Ukraińców, uważa się wiadomości o mordach najpierw za niesprawdzone, a wreszcie zrzuca się winę na wszystkich z wyjątkiem oczywiście głównych sprawców: nacjonalistów ukraińskich z OUN, na czele. Tak patrzy na to tutejsze społeczeństwo.

Meldunek lwowskiego podziemia z 22 lutego 1944 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone
wybór Piotr Zychowicz



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



1943 r. / Polscy partyzanci w obronie ludności cywilnej

Wołyńscy zagońcownicy



Piotr Zychowicz

/ Komenda Główna AK w obliczu banderowskiego ludobójstwa zawiodła. Honor organizacji uratowali młodzi oficerowie niższego stopnia



RYŚ KRZYSZTOF WRZĄDKOWSKI

Dowódca Okręgu AK Wołyń płk Kazimierz Bąbiński „Luboń” rozkaz o powołaniu oddziałów partyzanckich wydał 20 lipca 1943 r.

A więc już po apogeum banderowskiej rzezi Polaków. Mimo że decyzja o wyjściu do lasu była dramatycznie spóźniona, w kilku miejscach Wołynia przyniosła wręcz zbawienne skutki. Część oficerów AK z postawionym przed nimi arcytrudnym zadaniem poradziła sobie wzorowo.

Mowa o bohaterskich wołyńskich zagończykach. Ludziach, którzy latem 1943 r. przybyli do wołyńskich baz samoobrony. Polskich twierdz, stworzonych spontanicznie przez Wołyniaków zagrożonych pogromami. Oficerowie ci po przybyciu do baz – dzięki energii, woli walki i fachowej wiedzy wojskowej – poważnie wzmocnili ich możliwości bojowe. Pokazali żołnierzom samoobrony, jak budować fortyfikacje polowe z prawdziwego zdarzenia, jak prowadzić działania obronne i jak iść do ataku. Innymi słowy, oddziałom, które do tej pory miały charakter pospolitego ruszenia, przydali profesjonalizmu.

Rozkaz „Lubonia” o stworzeniu oddziałów partyzanckich pierwszorzędnie wykonali m.in. por. Kazimierz Filipowicz „Kord”, który oparł się na bazie samoobrony w Rymaczach, i ppor. Władysław Cieśliński „Piotruś”, który podjął współpracę z bazą w Bielinie.

„Bomba” w Hucie

Szczególnie piękną kartę zapisał por. Władysław Kochański „Bomba”, cichociemny, który ze swoimi ludźmi udzielił wsparcia samoobronie w Hucie Stepańskiej w powiecie kostopolskim. W połowie lipca 1943 r. miejscowe dowództwo UPA podjęło decyzję o zniszczeniu huty. W tym celu ściągnęło potężne siły z całego północnego Wołynia.

16–18 lipca 1943 r. stoczono niezwykle dramatyczną, zaciętą bitwę. W najtrudniejszym dla obrońców momencie „Bomba” przejął dowodzenie. Kolejne fale upowców rozbiły się o umocnienia. Dochodziło do zażartych walk wręcz, podczas których w szeregach nieprzyjaciela spustoszenie szerzyły oddziały polskich... kosynierów!



Oddział Władysława Kochańskiego „Bomba”

FOT. ARCHIWUM

Polacy i Ukraińcy ścierali się na uliczkach i podwórkach, strzelając do siebie, dżgając pikami i rąbiąc siekierami. Gryząc i okładając pięściami.

Zaatakowali naszą osadę – wspominała Janina Franus-Włoszczyńska. – Okrążyli i zaczęli palić. Dzwony uderzyły na trwogę. Kto żył, zaczął uciekać do szkoły murowanej, piętrowej. To była nasza forteca. Szli na nas kilkoma rzutami i krzyczeli:

*– Hurra! Wziat’ Lachiw!
Psy wyły, bój trwał trzy dni.*

Determinacja obrońców była olbrzymia. Wiedzieli, że jeżeli twierdza padnie, ich los będzie przypieczętowany. Kapitan „Bomba” nie tylko dowodził, lecz także brał udział w walce. W pewnym momencie został ranny w prawą rękę, ale się nie wycofał. Na placu boju pozostał do końca.

Banderowcy w sile około trzech tysięcy żołnierzy maszerowali w stronę Huty wprost przez łąki. Janek Drozdowski celował w nich z erkaemu i grzał ogniem – wspominał Władysław Kobylański. – „Bomba” był wszędzie. Osłabione posterunki wzmocnił, zaprowadził porządek i uspokoił ludność cywilną. Miał ogromny posłuch. Ludność wierzyła, że tylko on jeden może uratować wszystkich od zagłady. Gdy banderowcy wdzierali się w linię obrońców, kapitan „Bomba” zawsze jako pierwszy kierował całą obroną. Kule się go nie imaly. Po raz czwarty wściekle ataki banderowców zostały odparte. Trupy banderowców pokrywały ziemię.

Dopiero trzeciego dnia bitwy, gdy Polakom kończyła się już amunicja, podjęto decyzję o ewakuacji. „Bombie” udało się jednak przedrzeć przez pierścień okrążenia i wyprowadzić z niego ocalałych mieszkańców Huty w bezpieczne miejsce.

Nasza kolumna stale się powiększała – wspominał Stanisław Szumski. – Samoobrona, wszyscy mężczyźni

uzbrojeni w broń palną i białą (siekiery, widły, kosy), wkłó kolumny, broniła się przed nacierającymi banderowcami. Była to straszna walka. Wszystkie wsie polskie płonęły.

W czasie wycofywania się ogromnej kolumny ludzi bronionej przez samoobronę banderowcy urządzili zasadzkę, z różnych stron zaatakowali z broni maszynowej. Stworzył się nieopisany popłoch. Trupy leżały tam tak gęsto, że trudno było przejść. Dopiero po unieszkodliwieniu gniazd broni maszynowej pozostali przy życiu mogli dalej iść.

Niestety w bitwie tej zginęło 600 Polaków. A wyczerpany, chory i ranny cichociemny słańał się na nogach.

Na polanie zjawił się porucznik „Bomba” – wspominał Czesław Piotrowski. – Był ubrany w cywilną szarą marynarkę z szerokim pasem skórzanym, na którym z przodu z prawej strony widniał pistolet w kaburze. Miał na sobie spodnie bryczesy i buty z cholewami. Na głowie zieloną furazerkę z orzełkiem. Wyglądał mizernie. Na twarzy i oczach widać było ślady żółtaczki. Widziałem go w Hucie Stepańskiej tylko raz, przy szkole. Wtedy zrobił na mnie wrażenie bardzo dziarskiego, typowego oficera i dowódcy. Teraz też zbliżał się do naszego szyku sprężystym krokiem, po którym można było poznać zawodowego wojskowego.

*– Czołem, żołnierze!
– Czołem, panie poruczniku!
„Bomba” uśmiechnął się.*

Po heroicznej bitwie w Hucie Stepańskiej oddział przeniósł się na tzw. Zaslucze, gdzie por. Władysław Kochański stanął na czele tamtejszej samoobrony, której głównym ośrodkiem była Huta Stara w powiecie kostopolskim. Mieszkańcy tej miejscowości w każdej chwili spodziewali się napadu UPA, toteż entuzjastycznie powitali polskich partyzantów.

■ *Po zaśpiewaniu Boże coś Polskę wzruszone niewiasty rozplakały się – pisał Władysław Kobyliński – było też widać płaczących mężczyzn. Słyszeliśmy ogromny szloch. Po odśpiewaniu tej pieśni plutonami opuściliśmy kościółek. Miejscowa ludność cywilna otoczyła nas. Boże, cóż to był za obraz! Czapki, furażerki, berety zrywano z naszych głów, całując Orzełki i proporzyczki. Całowano także guziki przy naszych mundurach. Wszystkich ogarnęło wzruszenie. Czegoś podobnego nie widziałem i nigdzie o tym nie czytałem. Był to wybuch patriotyzmu. Przypomnę, że trudno mi tę scenę opisać. Chwili tej nie zapomnę nigdy.*

Dzięki rzutkości „Bomby” poszarpany, skrwawiony oddziałek przemienił się wkrótce w karny, znakomicie zorganizowany oddział partyzancki, w którym w szczytowym okresie służyło kilkuset ludzi. Byli oni nie tylko nieźle uzbrojeni w broń maszynową, lecz także mieli nawet dwa działa!

Kochański troszczył się przy tym o swoich żołnierzy i cywili, w związku z czym szybko nadano mu nowy pseudonim – Wujek. Obdarzony był przy tym ułańską fantazją. Po Zasluczu jeździł elegancką zdobyczną bryczką ze stangretem, lubił wesołe nocne zabawy, a każdego ranka popisывał się przed swoimi ludźmi umiejętnościami strzeleckimi, których nie powstydziłby się rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu.

Trenował strzelanie z dwóch pistoletów trzymany w obu rękach na wysokości pasa – wspominał Czesław Piotrowski – celując do papierowych tarcz umieszczonych na dwóch sąsiednich dębach. Lubił się tym popisować, strzelając z odległości 10 metrów na przemian i zmieniając w podskoku swoją pozycję. Wyglądało to nawet ciekawie, a podskoki „Wujka” bardzo mnie śmieszyły. Strzelał jednak dobrze, dziurawiąc tarcze.

Przed wszystkim „Bomba” był jednak znakomitą dowódcą. Na czele swoich ludzi odpięła ataki banderowców i prowadził niezwykle śmiałą, brawurową wojnę podjazdową z UPA. Urządzał zasadzki i pościgi. Toczył walne bitwy i potyczki. Jego imię wśród banderowców wywoływało przerażenie.

Oddajmy jeszcze raz głos żołnierzowi „Bomby”, Czesławo-

wi Piotrowskiemu, autorowi niezwykle ciekawej książki wspomnieniowej „Przez Wołyn i Polesie na Podlasie”. Ów młody żołnierz AK tak zapamiętał jeden z bojów z banderowcami, który stoczył pod komendą Kochańskiego:

Z lasu wyszły liczne grupy mołajców. Było ich mrowie. „Bomba” wydał rozkaz, aby dopuścić ich jak najbliżej do naszej linii i otworzyć ogień jednocześnie dopiero na sygnał. Kiedy odległość zmniejszyła się do niespełna 100 m, padła z naszej strony pierwsza seria z rkm-u. W ślad za tym otworzyliśmy na całej linii huraganowy ogień. Na przedpolu powstało kłębowisko ludzkie i przerażenie. Wielu było zabitych i rannych. Pozostali zalegli. Natarcie banderowców załamało się. Wystrzały artyleryjskie tuż nad ziemią wywołały dodatkową panikę i zniszczenia.

Polacy zerwali się ze swoich stanowisk i z okrzykiem na ustach zerzuli w pogoń za upowcami.

Pamiętam, jak mój pluton w pościgu natknął się na grupę banderowców kryjącą się w pośpiechu za płotem z żerdzi w młodniku sosnowym – wspominał Czesław Piotrowski. – Będący wśród nich, na pewno jakiś ważny, dowódca siedział na koniu widoczny nad sosenkami. Wymierzyłem wtedy ze swego mauzera do „prowidnyka”. Po oddaniu kilku strzałów sylwetka jeźdźcy i konia zniknęła w sośnaku, jakby upadając na ziemię, gdyż słychać było trzask łamanych gałęzi. Pobiegłem szybko między sosny szukać jeźdźcy. Leżał niedaleko martwy w czarnym mundurze zapinanym pod szyją, z pasem i koalicijką oraz w butach z cholewami. Miał przy sobie pistolet – parabellum. Zabrałem pas z pistoletem i pobiegłem czym prędzej do konia.

„Jastrząb” atakuje

W rozdziale poświęconym bohaterskim partyzantom Wołynia nie może również zabraknąć „Jastrzębia”, czyli por. Władysława Czermińskiego. W przeciwieństwie do „Bomby” nie był on zawodowym oficerem, lecz przedwojennym wołyńskim nauczycielem. Mimo to był jedy-

nym dowódcą, który zdołał „szybko i bez trudności” sformować oddział partyzancki w okręgu kowelskim. W sumie zadanie takie otrzymało czterech oficerów. Pozostali trzej jednak mu nie podołali. A „Jastrząb” poradził sobie znakomicie!

Porucznik Czermiński oparł się na bazie polskiej samoobrony w Zasmykach. Miejscowości, która w wyniku działań „Jastrzębia” i jego dzielnych żołnierzy miała wkrótce przejść do wołyńskiej legendy.

„Jastrząb” nie ograniczył się do zwerbowania ludzi z miejscowej samoobrony i stanięcia na ich czele. W Zasmykach było odwrotnie. W lipcu 1943 r., gdy przybył tam Czermiński, miejscowa samoobrona była słaba i rachityczna. Dysponowała 25 starymi karabinami i w starciu z większym oddziałem UPA nie miałaby najmniejszych szans. Wystarczyło kilka tygodni, aby Zasmyki zamieniły się w prawdziwy polski bastion, a ich obrońcy w dobrze uzbrojeni i wyszkolony oddział wojskowy.

„Jastrząb” okazał się odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Oficer ten wykazywał wszystkie cechy charakterystyczne dla zagończyka. Był obdarzony niezwykle animuszem, cechowała go nie tylko szaleńcza odwaga, lecz także – co na wojnie jest najważniejsze – niebываłe szczęście.

Przed wszystkim jednak „Jastrząb” znacznie lepiej czuł się w ofensywie niż w defensywie. Dowodem na to może być jego pierwsza poważna akcja bojowa. 31 sierpnia 1943 r. pod Zasmyki podeszły dwie setnie uzbrojonych po zęby banderowców wspieranych przez nieprzebrane rzesze czerni z widłami i nożami. Siły te zatrzymały się na noc w Gruszówce, aby nad ranem przystąpić do szturm na polską bazę.

„Jastrząb” nie zamierzał jednak czekać z założonymi rękami na poranną bitwę. Postawił na fortel. Swoim żołnierzom kazał wsiadać na konie i pod osłoną nocy zaszedł śpiących upowców od tyłu.

Polacy bezszelestnie podkradli się pod budynki gajówki, w których kwaterował nieprzyjaciel. Grupa śmiałków pod dowództwem por. Michała Fijałki „Sokoła” po cichu zlikwidowała wartowników, a następnie wrzuciła granat przez okno gajówki. Rozległ się brzdęk tłuczonej szyby, a po chwili ciszę nocy przerwała potężna eksplozja. Banderowcy w przerażeniu zerwali się na równe nogi. Dla



żołnierzy AK był to sygnał do frontalnego ataku.

Porucznik „Jastrzęb” poderwał oddział i tyralierą ruszono na gajówkę – relacjonował członek oddziału Leon Karłowicz. – Posypały się strzały. Ukraińcy wyskakiwali z budynku, z zabudowań gospodarskich, lecz nie mieli nawet czasu złożyć się do strzału. Zaskoczenie było całkowite. Banderowcy byli przerażeni, zdezorietowani, nie panowali nad sobą, nie wiedzieli, co robić i gdzie szukać ratunku. Rzucili się w krzewy i zarośla okalające jezioro. Próbowali strzelać, bronić się, lecz kule Polaków dosięgały ich, nim zdążyli połączyć się w sytuacji. Bój pod Gruszówką umocnił morale naszego oddziału, uspokoił na dłuższy czas mieszkańców polskich wsi, udowodnił, że nie są tak straszni, gdy stoją przeciwko uzbrojonemu przeciwnikowi. Potrafią pastwić się tylko nad bezbronnymi – kobietami, starcami i dziećmi.

Oddział „Jastrzębia” z każdym dniem rósł w siłę – w połowie września 1943 r. liczył już 150 żołnierzy – a pod jego ochroną do Zasmyk ściągali setki Polaków. Sam porucznik często urządzał wyprawy zbrojne, których celem były ewakuacja i ściąganie ludności zagrożonych miejscowości. Jednocześnie trzymał w szachu okoliczne oddziały UPA, których dowódcy bali się zadzierać ze strasznym polskim zagończykiem.

Kierowana przez Władysława Czermińskiego baza zyskała dumną nazwę Rzeczypospolitej Zasmuckiej. Był to skrawek wolnej Polski na płonącym, pogrążonym w anarchii i mordzie Wołyniu.

„Jastrzęb” poczuł się na tyle pewnie, że wziął pod opiekę także sąsiednią miejscowość Kupiczów, zamieszkaną przez Czechów, potomków osadników, którzy przybyli na Wołyń w XIX w. Porucznik Władysław Czermiński przepędził stamtąd upowców i obsadził miasteczko własną załogą.

Banderowcy nie pogodzili się jednak z tą dotkliwą porażką i ujmą na honorze. 22 listopada 1943 r. uderzyli na Kupiczów.

Chmury banderowców zaatakowały polskie pozycje ze wszystkich stron – wspominał Feliks Budzisz, wówczas 12-latek. – Kiedy pod koniec dnia oblężenia wydawało się, że lada chwila pęknie pierścień obrony, na tyłach banderowców odezwało się gromkie i zbawcze „Hurra!”. Z odsieczą przyszedł „Jastrzęb”! Polski pluton przeciął obręcz oblężenia i przepędzono banderowców spod miasteczka.

Ojciec wspominał tę bitwę jako jedną z najbardziej dramatycznych, w jakich



Władysław Kochański „Bomba” FOT. ARCHIWUM

przyszło mu uczestniczyć od 1 września 1939 r. Był w trzyosobowej załodze bunkra przy kościele. Do pomocy miał dwóch nieostrzelanych Czechów.

W boju tym polscy żołnierze zdobyli nawet... upowski „czołg”. Był to stary sowiecki traktor, który wiejscy kowale obłożyli stalowymi płytami. Dziwaczny pojazd, który mógłby znaleźć się na planie filmu „Mad Max”, miał rykiem silnika przerażać polskich obrońców. Idący za nim banderowiec strzelał zaś z karabinu, na którego lufę nałożono dziurawe wiadro. Miało to sprawić wrażenie, że „czołg” strzela w stronę Polaków z dział. Na szczęście w rozstrzygającym momencie bitwy osobiwy pojazd się... zepsuł. A jego załoga, która próbowała uruchomić silnik korbą, została wystrzelana.

„Jastrzęb” tak zalał upowcom sadła za skórę, że zaczęli szerokim łukiem omijać jego terytorium. W efekcie do końca roku Polacy przejęli kontrolę nad całym terenem na południe od Kowla. „Jastrzęb” był w niezłej sytuacji operacyjnej. „Obecność wojsk niemieckich w okolicy – pisał Jerzy Turowski – czyniła mniej prawdopodobną napaść ze strony banderowców na osiedla polskie”.

Porucznik Czermiński – rozsądny człowiek – starał się zresztą nie wchodzić Niemcom w drogę. Jego priorytetem była obrona Polaków przed banderowcami. Dowiódł tym, że nie zbywa mu na przytomności umysłu i pragmatyzmie, których brakowało jego przełożonym.

Oddział „Jastrzębia” – wspominał Antoni Mariański – uczestniczył w wielu akcjach, idąc na pomoc zagrożonej ludności. Było to wówczas jego najważniejsze zadanie. Walka z Niemcami musiała zejść na dalszy plan.

Oczywiście tarcia były nieuniknione. Wołyń nie był aż tak duży, aby spory oddział partyzancki nigdy nie natknął się na Niemców. Do spotkania takiego doszło 16 listopada. „Jastrzębiacy” wpadli na patrol Wehrmachtu i nastąpiła wymiana ognia. Polacy wzięli trzech jeńców – oficera i dwóch żołnierzy. Decyzja „Jastrzębia” była szybka i słuszna: Niemców całych i zdrowych odesłał furmanką do Kowla. Miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż wdawać się w awantury z Niemcami.

Dla „Jastrzębia” walka z UPA i obrona Polaków to była sprawa osobista. Sam przeżył banderowską rzeź i niezwykle boleśnie dotykały go okrucieństwa ukraińskich rezunów.

Boje z Ukraińcami – wspominał Wacław Gąsiorowski – w obronie mordowanej polskiej ludności musieliśmy toczyć na okrągło. Zdarzało się, że przybywalimy za późno, tuż po dokonanej zbrodni. Nie pamiętam, jaka to była wieś, chyba Moczulki, wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak „Jastrzęb” płacze. A to był twardy żołnierz, który rzadko pokazywał emocje.

Widok, który tam zastaliśmy, przechodził ludzkie pojęcie. Małe dzieci powbijane na kołki w płocie. Kobiety leżące na podwórku z rozprutymi brzuchami. Jedna z nich była w ciąży. Wyrwany z jej brzucha płód leżał obok niej. Mężczyźni mieli odrąbane siekierami głowy. Wszyscy zastanawiali się, jak można się posunąć do takiego zwyrodniałstwa, i mocniej ścisnęli w rękach karabiny.

Zwycięskie, szalone boje „Jastrzębia” i innych dzielnych partyzantów z Wołynia udowodniły, że sotnie UPA nie są godnym przeciwnikiem dla profesjonalnie dowodzonych i przeszkolonych polskich partyzantów.

To kolejny dowód na to, że gdyby Armia Krajowa przystąpiła do akcji pół roku wcześniej i przysłała na Wołyń 50 takich „kozaków” jak „Bomba” i „Jastrzęb”, rzezi wołyńskiej być może w ogóle by nie było. A już na pewno pochłonęłaby znacznie mniej ofiar śmiertelnych.

Jak potoczyły się losy obu bohaterów tego artykułu? Władysław Kochański „Bomba” został zaproszony na „naradę” przez sowieckich partyzantów. Po przybyciu na miejsce bolszewicy aresztowali go i uprowadzili do Moskwy. Skazano go na 25 lat więzienia. Z łagrow wrócił dopiero w 1956 r. Z kolei „Jastrzęb” po wojnie zdołał ująć przed tropiącymi go komunistami i wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

11 lipca 1943 r. / Dramatyczna obrona plebanii

Zbrodnia i ocalenie w Kisielinie



Tomasz Stańczyk

/ Oddział UPA wymordował w miasteczku 82 Polaków, którzy przyszli na mszę. Garstka wiernych stoczyła heroiczną walkę o życie

Kisielin był miasteczkiem w powiecie horochowskim województwa wołyńskiego, położonym między Włodzimierzem Wołyńskim a Łuckiem. Dzisiaj leży 60 km od granicy polsko-ukraińskiej. Swoją nazwę wziął od dawnych właścicieli – Kisielów, których najwybitniejszym przedstawicielem był Adam Kisiel, Rusin, wojewoda kijowski, rzecznik zgody między Polakami a Kozakami. Gdy wybuchła II wojna światowa, Kisielin liczył

ok. tysiąc mieszkańców. Połowę z nich stanowili Żydzi, połowę Polacy i Ukraińcy – po 25 proc. ludności. Przed wojną Polacy i Ukraińcy żyli dość zgodnie. Aniela Dębska wspominała, że do jej ojca, Antoniego Sławińskiego, przychodzili sąsiedzi Ukraińcy, by pomóc przy młóceniu. A ona szła pomagać im. Jednak miało się okazać, że wojna wszystko odmieniła, a może po prostu uwolniła złe, skrywane emocje.

Jeszcze przed nadejściem Armii Czerwonej, we wrześniu 1939 r., niektórzy Ukraińcy i Żydzi szykowali się

na jej powitanie. Włodzimierz Sławosław Dębski, autor monografii Kisielina („Było sobie miasteczko”), jego mieszkaniec, zapamiętał triumfalne okrzyki: „Skończyła się ta wasza Polska”. Dwa lata później okupacja sowiecka ustąpiła niemieckiej. „Po wejściu Niemców sąsiedzi i znajomi Ukraińcy przestali się kłaniać i odpowiadać na pozdrowienia Polaków. Czernysz, dawny »buchalter« z gminy, zostając szefem rejonu, na dźwięk polskiej mowy tubalnym głosem wykrzykiwał: »Ja toho kaczoho jazyka nie rozumiju« [Ja tego kaczego języka nie rozumiem]” – pisał Dębski

W sierpniu 1942 r. Niemcy i policjanci ukraińscy wymordowali kisielińskich Żydów. Polscy historycy uważają, że przykład Holokaustu zachęcił ukraińskich nacjonalistów z OUN, których zbrojnym ramieniem była Ukraińska Powstańcza Armia, do pozbycia się w ten sam sposób Polaków z Wołynia.

Ruiny kościoła w Kisielinie z lotu ptaka

FOT. KADR Z DOKUMENTALNEGO FILMU „NIEDOKONCZONE WOJNYŃSKIE MSZE” TADEUSZA ARCIECHA I MACIEJA WOJCIECHOWSKIEGO

zobaczyli uzbrojonych upowców. Wiedzieli, co to może znaczyć. Wieści o mordach dokonywanych przez UPA dotarły już do Kisielina.

Aniela Dębska opowiadała autorowi tego artykułu w wywiadzie opublikowanym w „Rzeczpospolitej”: „W maju 1943 r. przyjechał spod Łucka stryjeczny brat mojego późniejszego męża z wiadomością, że zamordowali jego rodziców i wrzucili ciała do studni.

„Zasypie wszystko, zawieje...” jest taka scena: „Aż wreszcie ta chwila nadeszła. Ta pierwsza, zaciskająca krtań jakby kleszczami wprost do bólu chwila grozy. Gdy wyrzała przez okienko, słysząc wrzaski i strzały, i gdy nagle zobaczyła tych czarnosecinnnych, rojących się niby robactwo wokół bramy przykościelnej, wskakujących do środka kościoła, wywlekających za włosy te biedne kobiety, które zdecydowały się nie ukrywać,



Matka już wtedy chciała uciekać do miasta, gdzie było bezpieczniej. Ojciec mówił jednak: jak tu wszystko zostawić, nic przecież nikomu nie zrobiliśmy. Tamtego dnia zaszła do nas na śniadanie Nastia, Ukrainka, której syn pracował w naszym gospodarstwie. »Didki, jeszcze wam choczesa spiwały?« – zapytała mnie i siostrę. W jej głosie, jak teraz myślę, było współczucie, lecz nic nie powiedziała”.

Polacy cofnęli się do kościoła, zamknęli drzwi. Część z nich przeszła ze świątyni do plebanii. Upowcy zaczęli krzyczeć i wzywać, by wychodzić z kościoła. Część Polaków usłuchała. Może zareagowali na czyjeś słowa, że widać kogoś chcą odszukać, wezmą go, a resztę zostawią w spokoju.

Zostali zamordowani. Upowcy nie oszczędzili nawet trojgaj dzieci w wieku pięć–osiem lat. Jedną z 82 ofiar była Jadwiga Dobrowolska ze wsi Rudnia. Włodzimierz Dębski, który opisał w swojej książce tragiczny dzień Kisielina, wspominał: „Młody Ukrainiec w cywilnym za dużym na niego brązowym ubraniu strzelił jej w plecy. Gdy się zwała na ziemię, ściągnął z niej bluzkę i tanecznym krokiem pospieszył za grupą”.

Pisarz Włodzimierz Odojewski musiał znać opowieść Włodzimierza Dębskiego, gdyż w jego powieści

ale zdać się na ich łaskę, i pod murem je strzałem pistoletu mordujących. Gdy zobaczyła, jak jednego z nich znęciła widać bluzka wyprowadzonej dziewczyny, więc strzelił jej w brzuch i jeszcze z kopiącej nogami ziemię tą bluzkę ostrożnie, żeby nie zabrudzić, ściągnął”.

Mieli tylko cegły

Tymczasem część Polaków zabarykadowała się na plebanii. „Gotowi do obrony zaczęliśmy tarasować drzwi klatki schodowej stojącymi obok kufra mi i skrzyniami [...]. Wkrótce dołączyli do nas inni” – relacjonował Włodzimierz Dębski. Banderowcy zaczęli rąbać siekierą drzwi. Wtedy poderwał się starszy mężczyzna, Krupiński ze wsi Zabara, i także siekierą zaczął rąbać drzwi. Krzyknął: „Nim mnie zabiją, przynajmniej rozwalę jednemu głowę” – wspominała pani Dębska. Ostrza siekier spotkały się. Na chwilę ochłodziło to zapał upowców. Byli wśród nich sąsiedzi Polaków z Kisielina. Do UPA przyłączyło się kilkunastu Ukraińców z miasteczka. To oni wołali: „Stachu, oddaj złoto, to ciebie wypuścimy. Józek, mamy twoją Andzię, to ją oddamy”.

Przez dziurę w drzwiach Polacy zaczęli rzucać cegłami, wyrwanymi z muru na strychu. Padł przez nią strzał ze strony napastników. Śmiertelnie trafiony został jeden z obrońców. Upowcy

W marcu 1943 r. ze służby niemieckiej zdezerterowali ukraińscy policjanci z Kisielina, zasilając szeregi UPA. Nazajutrz po opuszczeniu przez nich posterunku zostało zamordowanych kilku Polaków.

Było to preludium do masowego mordu w niedzielę 11 lipca 1943 r. Tamtego dnia nastąpiło apogeum mordów na Wołyniu. Nieprzypadkowo UPA wybrała niedzielę, gdy Polacy brali udział we mszy świętej. Banderowcy nie musieli wyciągać ich z domów. Wystarczyło podejść pod kościół.

Nie oszczędzano najmłodszych

Tak właśnie było również w Kisielinie. Wychodzący ze świątyni Polacy z miasteczka i okolicznych wiosek



Oddział UPA FOT. ARCHIWUM

■ chcieli wykurzyć Polaków ogniem, podpalając pod drzwiami słomę. Ogień gaszono moczem zbieranym do wiader. Napastnicy usiłowali dostać się do wnętrza plebanii po drabinie. Posypał się na nich grad cegieł, a także maszyna do szycia, która zwała się na ziemię jednego z banderowców.

Zabarykadowani w plebanii nie mieli oczywiście broni palnej. Włodzimierz Dębski, członek konspiracji, zapamiętał gorzkie słowa Krupińskiego: „Jak łązić i zakładać organizację, to was było pełno, broni jak potrzeba, nie ma”. Dębski usprawiedliwiał się w duchu, że nie jest temu winien, był szeregowym członkiem konspiracji.

Budynek plebanii był ostrzeliwany, kule wpadały przez okna. Ksiądz Witold Kowalski udzielał rozgrzeszenia i spowiadał w przewidywaniu, że wszystkich czeka śmierć. Gdy usiłował zasłonić okno poduszką, został ranny. Obrońcom udawało się odrzucać część granatów, wybuchały na podwórku, wśród Ukraińców. Jednak odłamki jednego z granatów ciężko zraniły w nogę Włodzimierza Dębskiego. „Najbardziej pomogła mi moja przyszła żona Aniela Sławińska. Z grubo złożonych gazet zrobiła tampon, przyłożyła pod krwawiącym kolaniem i ciasno owinęła. To zatrzymało krwotok”.

Aniela Dębska wspominała: „Zajęłam się nim, jak umiałam. Był ranny w nogę. Wtedy poczułam, że jest mój. To były nasze prawdziwe zaręczyny”.

Włodzimierz Dębski po zranieniu nie mógł dalej walczyć. Zapamiętał, że obrońcy byli wyczerpani i zmęczeni, ale zachowywali się dzielnie. Jednak pisał w swojej książce także o „dekonikach”, którzy ukryli się na strychu.

Zapadła noc. Upowcy podpalili pobliskie zabudowania, oświetlając teren. Liczyli też, że ogień przeniesie się na plebanię. Po wojnie Włodzimierz Dębski namalował obraz przedstawiający płonącą obórkę, ostrzeliwaną plebanię i scenę śmierci krewnej swojej żony, 21-letniej Alfredy Sławińskiej.

Niedługo przed północą banderowcy dali za wygraną i opuścili Kisielin. W obronie plebanii, oblężonej przez 11 godzin, zginęło i zmarło z ran czterech Polaków.

Kilka dni później upowcy kazali przenieść ciała zabitych z dołu przy parku dworskim i pochować je przy dzwonnicy. Niewielu Polaków przyszło. Bali się, że to pułapka i że zostaną zabici. Adela Ziółkowska-Prejs relacjonowała: „Wykopano wtedy siostrę Antosię. Miała siedem kłutych ran. Dziur na wylot nie było. Majtki miała ściągnięte, a więc była gwałcona. Miała

wykłute jedno oko. Dziurę w piersiach, w prawej ręce i boku”. Gdy klęczała nad ciałem siostry i rozpaczła, podszedł do niej sołtys Jefrem Padlewski. Powiedział: »Nie krzycz! Zaraz tobie te samo bude!«”.

Rana Dębskiego była tak poważna, że uratować go można było, tylko przewożąc do szpitala w Łokaczach. Podjęła się tego Ukrainka Paraska Padlewska. Po rzezi mieszkańcy Kisielina opuścili miasteczko. Włodzimierz Dębski wspominał, że byli Ukraińcy, którzy pomogli wówczas Polakom: Wołodymyr Pałaczkuk i Petro Parfeniuk, który uratował rodzinę Czerwinków i Sławińskich, a także Wiktor Padlewski (jego bracia należeli do UPA) wspomagający rodzinę Filipków. Parfeniuk i Padlewski mieli żony Polki. Uratowali je i „pomogli uchronić się większości Polaków z Kisielina przed nożami upowskich bandytów” – pisał Dębski. Parfeniuk zapłacił życiem za pomoc Polakom. Zabili go upowcy.

Aniela Dębska wspominała Ukraińca Sawkę Kowtoniuka, który ukrywał w stodole jej rodzinę i poszedł do lasu sprawdzić, czy droga z Kisielina jest wolna, czy nie ma tam upowców. Upiekł chleb dla uchodzących z miasteczka Polaków.

Fala mordów rozlała się po wsiach sąsiadujących z Kisielinem. Dzień po zbrodni w Kisielinie Ukraińcy z Twerdych zamordowali 64 swoich polskich sąsiadów. Tego samego dnia zabitych zostało 80 Polaków z Wólki Sadowskiej i ok. 140 z Rudni. Trzy dni później w kolonii Zabara wymordowano 35 Polaków. W powiecie horochowskim, w którym znajdował się Kisielin, Ukraińska Powstańcza Armia zamordowała, jak podają Władysław i Ewa Siemaszkowie, autorzy fundamentalnej pracy o zbrodniach na Wołyniu, co najmniej 2569 Polaków. Tamtego dnia, 11 lipca 1943 r., ofiarą mordów padli Polacy z 80 miejscowości powiatu.

... ale walczyli o Ukrainę

Włodzimierz Dębski przyjechał do Kisielina w latach 70. ubiegłego wieku. Chciał się dowiedzieć, kiedy i jak zginęli jego rodzice, którzy przepadli

już po rzezi, znaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich szczątki. Krzesimir Dębski, syn Włodzimierza, znany kompozytor (jest autorem symfonii ku czci ofiar zbrodni na Wołyniu), pisał w książce „Nic nie jest w porządku. Wołyń, moja rodzinna historia”, że od miejscowych Ukraińców nie można było się jednak niczego dowiedzieć, a „tego, że oni wiedzą, co się stało z dziadkami, byliśmy pewni. Byłaby to zdumiewająca rzecz, gdyby było inaczej”. Miało się okazać, że Ukrainiec z Kisielina, przyjaciel Włodzimierza Dębskiego, który obiecał, że dowie się czegoś o jego rodzicach, był w oddziale, który ich uprowadził i zamordował... Nie przyznał się do tego.

W 50-lecie zbrodni, z inicjatywy Włodzimierza Dębskiego, postawiono w Kisielinie krzyż z nazwiskami pomordowanych i poległych w obronie. W ruinach spalonego kościoła odprawiono mszę. Brali w niej udział także Ukraińcy. Jedna z ukraińskich mieszanek Kisielina powiedziała Anieli Dębskiej: „O tym, co się wtedy stało, my nie możemy nic mówić, nam

zabronili”. A Włodzimierz Dębski usłyszał słowa: „No cóż, mordowali – źle zrobili, ale walczyli o Ukrainę”. I tak chyba myśli i dziś bardzo wielu Ukraińców.

Krzesimir Dębski w książce „Nic nie jest w porządku” pisze o swoich pobytach w Kisielinie i spotkaniach ze starymi Ukraińcami. „Jeździłem tam ze ściśniętym gardłem, mając w głowie obrazy z opowieści rodziców i ich znajomych, a spotykałem się z obojętnością, pustką. Albo podejrzliwością, a nawet wrogością u tych, którzy mają coś do ukrycia. Jednak nie z poczuciem winy. Wyobrażałem sobie, że trudno będzie im wytrzymać moje spojrzenie, a oni zachowywali się, jak gdyby nic się nie stało”. Te słowa tłumaczą tytuł książki.

Dębscy chcieli tylko odnaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich rodzice i dziadkowie. Tak jak wielu innych, którzy stracili swoich bliskich podczas wołyńskiej rzezi. Odnaleźć i postawić krzyż.

Tylko tyle. Dzisiaj wciąż jeszcze nie jest to jednak możliwe...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



www.omp.org.pl

DOBRCZE ZACZĄĆ OD TRADYCJI...

FRANÇOIS-RENÉ DE CHATEAUBRIAND

O rewolucji, wolności i władzy



JUAN DONOSO CORTÉS

O katolicyzmie, liberalizmie i socjalizmie



Habimierz Chłędowski
SIENA



Introdukcja i kultura



Stanisław Głąbiński
WSPOMNIENIA
POLITYCZNE



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Marek Gałęzowski

W 1877 r. u boku Turków z Moskalami walczył polski oddział. Dowodził nim legendarny dowódca

Bitwa na przełęczy Szypka, obraz Aleksieja Popowa FOT. WIKIPEDIA



XIX w. / O Polskę walczył dłużej niż ktokolwiek inny

Legion majora Jagmina

Mocno musieli być zdziwieni Polacy, których wzięto do armii rosyjskiej na wojnę z Turcją w 1877 r., kiedy dowiedzieli się o oddziale – a może nawet go widzieli – na-

cierającym pod sztandarem Orła Białego na pozycje carskiej armii pod Kizilar w Bułgarii. Atak prowadził krzepki, lecz wyraźnie już starszy wiekiem mężczyzna. O, nie pierwszy raz był on w ogniu. Nacierał tak na Rosjan prawie pół wieku wcześniej, w powstaniu listopadowym,

później bił się z nimi w czasie rewolucji węgierskiej, a wreszcie – w powstaniu styczniowym. Major Józef Jagmin – ostatni polski dowódca w XIX-wiecznych zmaganiach o niepodległość Polski.

Jagmin pochodził z rodziny drobno-szlacheckiej, zamieszkałej w okolicach

Wilna. Miał ok. 20 lat, kiedy wybuchło powstanie listopadowe. Natychmiast wstąpił do jednego z licznych oddziałów partyzanckich, powstałych na Litwie. Po przybyciu tam wyprawy gen. Antoniego Giełguda, który późną wiosną 1831 r. ruszył z Królestwa Polskiego wesprzeć insurgenów, Jagmin dołączył do polskiego wojska.

Walka i emigracja

Krótką to była kampania. Latem nieudolny Giełgud z większością żołnierzy przekroczył granicę pruską, gdzie zostali internowani. Inną decyzję podjął jeden z podległych mu dowódców, gen. Henryk Dembiński, który zdecydował się przebić z powrotem do Warszawy. Była przy nim i część litewskich partyzantów z Jagminem. Jak pisał Eugeniusz Wawrzkowicz, Dembiński wśród znacznie przeważających sił rosyjskich „pochód swój wykonał w mistrzowski sposób, wykazując niepospolite zdolności partyzanckiego wodza”. Dotarłszy do Białegostoku, zdołał wymknąć się z zastawionej tam nań przez Rosjan pułapki i 3 sierpnia 1831 r. wkroczył do stolicy, witany owacyjnie przez mieszkańców i Rząd Narodowy, który pełen podziwu dla osiągnięcia generała czekał nań u bram miasta. Uczestnikiem tego triumfu był i młody Jagmin, którego drogi z gen. Dembińskim miały się jeszcze przeciąć wiele lat później.

Powstanie wkrótce upadło, a Jagmin znalazł się na emigracji w Paryżu. Pracował jako robotnik, działał w Towarzystwie Demokratycznym Polskim, lecz przede wszystkim wolny czas poświęcał stałemu pogłębianiu wiedzy wojskowej. Dało mu to doskonałą orientację w regulaminach i również dobrą znajomość zasad musztry. Kiedy w 1848 r. Europę ogarnęła Wiosna Ludów, Jagmin udał się do zaboru austriackiego i został instruktorem Gwardii Narodowej we Lwowie. Austriacy stłumili jednak po kilku miesiącach domagający się autonomii polski ruch polityczny i poddali represjom jego uczestników. Jagmin uniknął ich, przedostając się na Węgry, gdzie trwała walka o niezależność od Austrii.

Wstąpił do legionu polskiego gen. Józefa Wysockiego (wkrótce dowództwo nad całą armią węgierską objął dowódca Jagmina z powstania listopadowego, gen. Dembiński). Nasz bohater został

dowódcą kompanii. Służący pod nim młody wówczas Zygmunt Miłkowski, w przyszłości znany pisarz i jeden z przywódców polskiej emigracji, wspominał, że Jagmin bardzo troszczył się o podkomendnych, „ażeby nakarmieni, wypoczęci i zdrowi byli”. W tym ostatnim przypadku, wychodząc z założenia, że siedliskiem wszelkich chorób jest żołądek, zalecał na wszelkie dolegliwości „kieliszek wódki z popiołem, doświadczeniem własnym ręcząc za niechybną lekarstwa tego skuteczność”.

Jagmin okazał się też wyjątkowo odważnym dowódcą. W bitwie pod Szolnokiem, w czasie forsowania Cisy, jako pierwszy rzucił się ze swoimi żołnierzami na austriackie działa, które zadały



Józef Jagmin FOT. WIKIPEDIA

przeprowadzającym się Węgrom znaczne straty. Widząc zbliżających się Polaków, artylerzyści pozostawili swoje armaty i rzucili się do ucieczki. Nie chciał polski dowódca przyjąć za ten czyn odznaczenia, uznając, że walczy o wolność, a nie honory przysługujące wyróżniającym się na polu bitwy. Dał się jednak przekonać, że przynależą mu, niezależnie od powodu uczestnictwa w walce. Wkrótce wykazał się wyjątkową przytomnością umysłu pod Hatvan i – co prawda łamiąc regulamin – mimo potężnego ognia nieprzyjacielskiej artylerii uderzył ze swoimi legionistami na zajęty przez Austriaków most na rzece Zagyva, zmuszając ich do

odwrotu. Zyskał pochwałę za męstwo i upomnienie za zbytnią, nieregulaminową, brawurę – za karę przez cały dzień maszerował bez pałasza przy boku.

W powstaniu 1863 r.

Po upadku rewolucji węgierskiej Jagmin przedostał się do Turcji. Internowany w Widynie, pozostał w imperium otomańskim, podejmując pracę w odlewni żeliwa w Konstantynopolu. Wybuch wojny krymskiej dał po raz kolejny nadzieję polskim emigrantom. Jagmin wstąpił wraz z licznymi oficerami polskimi do armii tureckiej. Wspólnie z generałami Feliksem Breańskim i Ludwikiem Bystrzonowskim, oficerami z 1831 r. (Breański był jeszcze napoleończykiem), czynił starania na rzecz stworzenia polskich oddziałów, wszyscy trzej przygotowali też do obrony przed Rosjanami twierdzę Kars. Sam Jagmin odznaczył się w bitwie pod Judzedere w 1854 r., co znalazło wyraz w odznaczeniu go tureckim krzyżem za okazane męstwo. Miłkowski uważał go za zdolnego i dzielnego oficera, podobnie wspominał go Michał Czajkowski, bardziej znany jako Sadyk Pasza, uznając, że był sto razy więcej wart od walczących na Krymie oficerów armii brytyjskiej i piemontkiej.

W 1855 r. widzimy Jagmina w Pułku Kozaków Otomańskich, do którego wstąpił za namową Czajkowskiego. Była to jedna z formacji mających w zamiarze emigrantów stanowić zaczątek wojska polskiego w Turcji. W listopadzie tego roku spotkał naszego bohatera tyleż smutny, co wielki zaszczyt – dowodził eskortą honorową w czasie pogrzebu zmarłego w Stambule Adama Mickiewicza, który, tak jak inni, zjawił się nad Bosforem dla wsparcia sprawy polskiej.

Po zakończeniu wojny, rozwiązaniu polskich formacji i upadku nadziei na powrót z bronią w rękę do ojczyzny Jagmin zamierzał wrócić do służby tureckiej. Czy tak się stało – nie wiadomo. Zimą 1861 r. przybył do Francji. Pozostał tam dwa lata i znowu udał się na wschód. Oto bowiem w Polsce wybuchło powstanie styczniowe, a na terenie ówczesnych Multan, a dzisiejszej Rumunii, Zygmunt Miłkowski organizował oddział, którego celem było wsparcie walczącego z Moskalami kraju. Jagmin, któremu jakkolwiek „mocno, z racji zgwałce-



Atak rosyjskich dragonów
koło Karsu FOT. WIKIPEDIA

nia porządku awansów” (Miłkowski), nie podobała się konieczność uznania zwierzchnictwa dawnego podkomendnego, zgodził się jednak objąć dowództwo kadrowego batalionu.

Latem 1863 r. 230 ludzi, w części weteranów wcześniejszych powstań i wojny węgierskiej, ruszyło do Polski. Przejście zbrojnego oddziału przez terytorium rumuńskie okazało się niełatwe. Pod Konstancją 1,2 tys. żołnierzy rumuńskich zastąpiło drogę Polakom. Słabo uzbrojeni i wyszkoleni, a nadto niewykazujący dużej determinacji do walki z Polakami, ponieśli porażkę i odstąpili (dodajmy, że w boju, który się wywiązał, Jagmin wykazał się znów brawurowym męstwem). Wrogości jednak nie było – Polacy oddali Rumunom zdobytą broń i pozostawili swoich rannych, po czym ruszyli dalej. Po kilku dniach Rumuni podjęli jednak pościg i pod Rineszti uniemożliwili dalszy marsz. Zawarto jednak kompromis. Polacy ruszyli do zaboru austriackiego małymi grupkami, pozostawiając w Rumunii broń.

Jagmin, wraz z towarzyszącym mu Maurycym Freundem, dotarł do Galicji zapewne późną jesienią. W styczniu 1864 r. na czele sformowanego tam oddziału, w którym znaleźli się także jego krajanie z Litwy, ruszył do boju z Rosjanami. „Na kordonie, u słupów pogranicza dwóch zaborów, wstrzymano wieczorem pochód. Jagmin otoczony nami, po komendzie baczność, wskazał granicę i zawołał: »O krok tam przygody, kto z odwagą, za mną, kto jej nie ma, niech się cofnie! Dyscyplina wojskowa bez litości, posłuszeństwo bez granic. O kroków kilka za tym płatem ziemi, co nas dzieli, szukamy wroga w szynelach, a oni szukają nas. Ręka

w górę, kto za mną«. Sto kilkadziesiąt rąk wyrosło nad głowami” – wspominał Rafał Hirsch. Po tych słowach Jagmin, po raz pierwszy od 33 lat, postawił swoją stopę na ojczystej ziemi pod zaborem rosyjskim.

Powstańcy ruszyli na Lubelszczyznę. 25 stycznia 1864 r. Jagmin stoczył zwycięską bitwę pod Rudnikiem. 7 lutego po raz kolejny zmierzył się z Rosjanami pod Suchą Wolą. Choć wbrew informacji z PSB nie poniósł wówczas klęski, to rychło z powodu choroby musiał opuścić plac boju. Jego żołnierze dołączyli do innych partii, tak jak Hirsch czy – towarzyszący Jagminowi od Konstancji – Freund, który ranny dostał się do niewoli rosyjskiej i aż do 1874 r. przebywał na Syberii.

Ostatni polski legion

Po klęsce powstania styczniowego Jagmin wrócił do Konstantynopola i tam przez następne lata żył z drobnego handlu. Minęło wiele lat. Miał ich już prawie 67, kiedy w 1877 r. wybuchła wojna rosyjsko-turecka. I oto wśród nielicznych już emigrantów polskich w Turcji



powstała myśl stworzenia legionu, który biłby się po stronie tureckiej. Organizatorami byli Artur Zimmerman, Jagmin, a także ppłk Emilian Bednarczyk. Ten ostatni, podobnie jak nasz bohater, weteran obu powstań, prowadził spokojny żywot w Galicji, ale na hasło organizacji legionu w Turcji natychmiast przybył nad Bosfor.

W greckiej kawiarni w dzielnicy Pera w Stambule, która posłużyła za biuro rekrutacji, zebrano trochę ochotników z kraju, lecz większość stanowili weterani rewolucji węgierskiej, żołnierze służący pod rozkazami Michała Czapkowskiego w dobie wojny krymskiej i inni emigranci polscy, których los zagnał do Turcji. Hasłem ulotki, w której zachęcano do wstępowania w szeregi, było: „Pod skrzydłami Orła Białego niesiemy wolność Polsce i Rosji”. Legion został podzielony na dwie legie. Druga, licząca 44 żołnierzy, pod komendą mjr. Dobrudzkiego była się pod Kiziltepe w pobliżu twierdzy Erzurum na Kaukazie. Tam otoczona przez Rosjan kapitulowała. Nad pierwszą dowództwo objął Jagmin. Liczyła ona 24 oficerów i 86 żołnierzy.

„Oddział ten otrzymał własny sztandar, na czerwonym polu biały orzeł, gwiazda, a elementem wyróżniającym były czapki krakowskie z białymi orłami” – pisał Jerzy Łątka („Polacy w Turcji”). Dodajmy, że na sztandarze znalazł się i półksiężyc. Przeglądu legionu dokonał Nihad Pasza, czyli Seweryn Bieliński, dawny adiutant gen. Wysockiego w czasie węgierskiej wiosny ludów.



Rewolwer Smith and Wesson FOT. ARCHIWUM

Wśród ochotników wyróżniał się Benedykt Rahoza, dziennikarz, jeden z wybitniejszych działaczy niepodległościowych emigracji polskiej lat 70. Podobnie jak Jagmin pochodził z Wileńszczyzny. W 1873 r. usiłował budować konspirację przeciw rządowi rosyjskim w Królestwie Polskim. Aresztowany, wywieziony do Petersburga, został zwolniony i wyjechał do Szwajcarii. Tam w 1875 r. założył pismo „Wici”, w którym wzywał do przygotowania do walki zbrojnej. Jak pisał jego biograf Janusz Wojtasik, „idea walki o niepodległość Polski przewijała się przez wszystkie numery »Wici«”.

Ilderim dziodziuklar!

Legion Jagmina ruszył na front w Bułgarii. Został skierowany w rejon Kizilar. 23 sierpnia 1877 r. Turcy zdecydowali o przeprowadzeniu tam przeciwnatarcia na pozycje Rosjan. „Bagnet na broń! – zakomenderował [Jagmin] i Legion podobnie jak Turcy, w zwartej masie dwóch kolumn kompanijnych, ruszył naprzód. [...] Pięli się dalej pod górę, owiani coraz gęstszym dymem i zapachem spalonego prochu, co chwila potykając się o trupy tureckich żołnierzy. W pewnej chwili Jagmin idący na czele z chorążym Ruszczycem znalazł się na skraju niedużego płaskowzgórza, łagodnie wznoszącego się ku bliskiej już pozycji rosyjskiej. Na dolnym skraju tej płaszczyzny leżeli teraz Turcy w gęstym

szeregu, odpowiadając ogniem na strzały rosyjskiej piechoty. Ich rozrząd szturmowy załamał się w tym miejscu i dowódcy nie potrafili poderwać batalionu do ostatecznego uderzenia. Jagmin, jako stary żołnierz, zorientował się natychmiast w położeniu i bez namysłu chwytając z rąk Ruszczyca sztandar oddziału, z gołą szablą w dłoni, nie zatrzymując się prawie, krzyknął do żołnierzy Legionu: – Za mną

chłopcy! Na bagnety! Niech żyje Polska! – a zwracając się do Turków zawołał – Ilderim dziodziuklar! [Naprzód dzieci]” – tak opisywał pierwsze chwile udziału Polaków w bitwie pod Kizilar płk Jerzy Grobicki w książce „Szlakiem bojowym pradziadów”.

Żołnierze legionu ruszyli teraz w kierunku Rosjan niewielkim płaskowzgórzem, pociągając za sobą część Turków. Jak pisał dalej Grobicki: „[...] to nagłe uderzenie zaskoczyło widocznie rosyjskich żołnierzy, którzy bezładnym ogniem odpowiedzieli na okrzyk bojowy nacierających. W polskich szeregach kilku ludzi jęknęło, kilku osunęło się na ziemię, lecz reszta parła naprzód, mając przed sobą postać starego dowódcy, który z rozwianą brodą, dzierżąc w jednej dłoni sztandar oddziału, a w drugiej dobytą szablą, biegł na okopy rosyjskie. Gdy byli już na kilkanaście kroków od Moskali, ogień ich nagle ustał, a z okopu zaczęli wyskakiwać rosyjscy żołnierze w białych koszulach i białych kepi na głowach, którzy gęsto rzucając broń, biegli w dół, po przeciwległym zboczku wzgórza, uciekając przed najeżonym lasem polskich bagnettów. Jagmin pierwszy stanął na rosyjskim okopie i zatknął na nim sztandar z Białym Orłem... Pozycja była zdobyta. Z piersi legionistów zdyszanych i spoconych wyrwał się potężny okrzyk, który mrowiem przebiegł po plecach uciekających Moskali: »Niech żyje Polska!«”.

Sukces okupiono jednak znacznymi stratami; zginął m.in. Benedykt Rahoza, któremu pocisk artyleryjski urwał obie nogi. Oddziałek, wycofany na zaplecze, nie wziął już udziału w dalszej walce i jeszcze w 1877 r. został rozwiązany.

W cytowanej opowieści o legionie mjr. Józefa Jagmina płk Grobicki chciał wiedzieć, jak ten ginie od rosyjskiej kuli armatniej zaraz po zwycięskim szturmie. Wbrew informacji zamieszczonej w jego książce Jagmin nie poległ, lecz został ranny w nogę. Odtransportowany do szpitala w Szumli, zmarł wskutek gangreny osiem dni później. Nie spełniło się marzenie starego oficera, które – jak pisał Grobicki – wyjawiał przed wymarszem na front innemu Polakowi w służbie tureckiej, mjr. Zygmuntowi Koszutskiemu: „Stary już jestem. Chciałbym powrócić do kraju i złożyć swe kości gdzieś na polskim cmentarzu... Zbyt dużo kątów wycierałem sobą po świecie...”.

Legion mjr. Jagmina został jak gdyby przeniesiony w czasie z epoki insurekcji i spisków niepodległościowych na front rosyjsko-turecki. W tym czasie w kraju popularność zyskały hasła pozytywistyczne, a dążenia do zbrojnego zrzucenia niewoli przesunięto w obszar politycznej fantastyki. I tak już było do końca XIX w. Niewiele myślało o walce zbrojnej przeciw Rosji, a naprzeciw setki legionistów Jagmina stały tysiące Polaków w rosyjskich mundurach, poczynawszy od generałów i pułkowników, a skończywszy na szeregowych żołnierzach.

Można mieć przynajmniej nadzieję, że – jak pisał Bogusław Brodecki – ponieważ Polacy walczący po stronie tureckiej byli „w tak skromnej liczbie, [to] możliwość starć bratobójczych była minimalna”. Inaczej niż w czasie I wojny światowej, gdzie jak wiadomo, większość z nich, chcąc nie chcąc, znalazła się w armiach zaborczych i musiała do siebie strzelać, co tak przejmująco opisał w swoim znanym wierszu Edward Słowski.

Tą refleksją można by zamknąć naszą opowieść. Wspomnijmy jednak na koniec, że mjr Józef Jagmin doczekał się upamiętnienia. W 2018 r., w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, o którą walczył dłużej niż ktokolwiek inny, został patronem jednej z ulic lewobrzeżnej części Warszawy. Nie był nim jednak długo. Rok później władze Warszawy przywróciły poprzednią nazwę ulicy, której patronem jest znów Roman Paziński, działacz komunistyczny, poległy w bitwie pod Leninem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.



FOT. LESZEK SZYMANSKI/PAP

Świadek historii / Z Antonim Łapińskim, weteranem 2. Korpusu Polskiego



rozmawia Piotr Włoczyk

Droga śmierci pod Monte Cassino

PIOTR WŁOCZYK: Na mapach przedstawiających bitwę pod Monte Cassino widać punkt oznaczony jako „Domek Doktora”. Czym było to miejsce o tak niewinnie brzmiącej nazwie?

ANTONI ŁAPIŃSKI: Niech nikogo nie myli ta nazwa, ponieważ ten domek mieścił się w strasznym miejscu. Był to wysunięty punkt opatrunkowy na linii frontu pod Monte Cassino. Jednym z lekarzy był dr Adam Majewski, który ciekawie opisał to wszystko w swojej książce. Przed

bitwą mieszkała w tym domku chłopska rodzina. Na dole trzymane były zwierzęta, a na górze mieszkali ludzie.

Oczywiście w tamtym momencie cała ta okolica była od dawna opróżniona z cywili. Gdy pierwszy raz zobaczyłem za dnia „Domek Doktora”, zauważyłem, że jedna z jego ścian była przykryta plan-deką. Polacy zabezpieczyli w ten sposób wielką dziurę w ścianie od strony zajętej przez Niemców wzgórza 593. Była to

pamiątka po wybuchu pocisku artyleryjskiego. „Domek Doktora” znajdował się na samej linii frontu.

Jakie zadanie postawiono przed panem w tej bitwie?

Służyłem wtedy w 1. Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej. Niedługo przed tą bitwą nasze dowództwo doszło do przekonania, że to będzie bardzo krwawa walka. Postanowiło więc przeszkolić

więcej ludzi na sanitariuszy-noszowych. Zostałem skierowany na takie szkolenie.

Mieliśmy przenosić ciężko rannych żołnierzy od „Domku Doktora” do podnóża tzw. Wielkiej Miski. Dalej ranni przenoszeni byli przez sztafety noszowych aż do miejsca, gdzie ładowano ich na jeepy willysy, które wiozły ich do szpitali polowych. Nosiliśmy więc rannych z frontu na tyły. Chociaż tak naprawdę nie wiadomo, czy „Wielka Miska” to były tyły. Front wokół Monte Cassino był tak poszarpany, że trudno tu mówić o przodzie i tyle.

Trzeba było uważać na każdym kroku. Nigdy nie zapomnę mądrego hasła, które nasi sojusznicy rozwieszali na drodze do Cassino i które towarzyszyło mi już do końca wojny: „Don't be stupid, don't get killed” („Nie bądź głupi, nie daj się zabić”). Czyli bez zbędnej brawury.

Jak wyglądała droga, którą nosiliście rannych?

Przebiegała równoległe do frontu. Ta ścieżka miała kilometr, była kamienista i wyboista. Raz biegła pod górkę, a raz z górki. Bardzo łatwo było o wywrotkę, a po obu stronach biegła taśma, której przekroczenie groziło śmiercią.

Taśma ostrzegała przed minami. Na ścieżce czyhało jednak na nas większe niebezpieczeństwo. Niemiecka artyleria nie widziała różnicy między żołnierzami z bronią w ręku a sanitariuszami z noszami. Ich pociski bardzo często uderzały w naszą ścieżkę. W takich chwilach trzeba było rzucać się na ziemię i przykrywać rannego. Wielu sanitariuszy-noszowych straciło życie na tej trasie. Ujmę to w ten sposób: mijanie zabitych pociskami artyleryjskimi nie dodawało nam otuchy.

To była bardzo wyczerpująca praca. Nosiliśmy rannych dniami i nocami. Nasze i ranny to ciężar minimum 80 kg. Nigdy też nie wracaliśmy na „pusto”. W drodze powrotnej zabieraliśmy 20-litrowe kanistry z wodą, a także prowiant.

Amunicję też?

Nie. Nie wolno nam było dotykać broni ani amunicji. Służby sanitarne miały się trzymać od tego z daleka.

Jak długo to wszystko trwało?

2. Korpus na dobre rozpoczął walki o Monte Cassino późnym wieczorem

11 maja, ale byliśmy na pozycjach już od 1 maja, luzując naszych wykrwawionych sojuszników. Rannych nosiliśmy od samego początku, ponieważ niemiecka artyleria co rusz do nas strzelała. To był typowy ogień nękający. Niemcy byli już dobrze wstrzelani i kilka razy w ciągu godziny wysyłali do nas parę pocisków artyleryjskich. Niedaleko nas rozstawione były, ukryte w jarach, polskie stanowiska moździerzowe, które rewanżowały się Niemcom. Odpowiadały też nasze ciężkie karabiny maszynowe. Nasze pozycje były



Antoni Łapiński (po prawej) w Iraku w 1943 r.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

naszpikowane piechotą, więc nietrudno było Niemcom trafić.

Pamięta pan pierwszy raz, gdy zobaczył pan klasztor?

Tak, to było pierwszego poranka, kiedy obudziłem się przy „Domku Doktora”. Pierwsze, co zobaczyłem, to właśnie klasztor. Ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jak można zdobyć tę twierdzę? Wydawało się to niemożliwe.

Klasztor był po drugiej stronie Doliny Śmierci, czyli jakieś 800 m ode mnie. Był dosłownie na wyciągnięcie ręki i robił piorunujące wrażenie. Wielka kupa dymiących gruzów. Pomiedzy mną a klasztorem ciągnęła się głęboka Dolina

Śmierci. Nigdy nie widziałem tam nikogo, bo przejście nią oznaczało pewną śmierć. Przez te 10 dni mieliśmy mnóstwo pracy dniami i nocami, więc byliśmy bardzo mocno wymęczeni, zanim jeszcze zaczęła się właściwa bitwa.

Pierwszy atak 2. Korpusu musiał być niezapomnianą chwilą, tym bardziej że poprzedziła go kanonada ponad 1,5 tys. alianckich armat...

Zgadza się, to była niezapomniana chwila. 11 maja późnym wieczorem zebrał nas wszystkich dowódca i odczytał nam rozkaz gen. Władysława Andersa. O godz. 23 miał się zacząć atak. Czekaliśmy z niepokojem aż 2. Korpus uderzy... Wybija godz. 23... Artyleria gruchnęła na pozycje niemieckie. Z nocy zrobił się dzień. Miejscami było tak jasno, że spokojnie można było czytać... modlitewnik (śmiech). Kanonada trwała do godz. 1. Niemcy pochowali się w schronach, bo byli już przyzwyczajeni do ostrzału. Każdy zastanawiał się, czy tym razem się uda. Przecież wcześniej swoich sił próbowali Anglicy, Amerykanie, Nowozelandczycy i inni. I nic! Wydawało się, że Niemcy są nie do ruszenia.

Atak piechoty rozpoczął się o godz. 2. Nasi poszli do ataku! Momentalnie zaczęli znosić do nas pojedynczych rannych. A potem coraz więcej i więcej. O świcie to już był cały strumień rannych. Ustawiła się kolejka i ci wszyscy jęczący ludzie musieli czekać na pomoc lekarza, a następnie na zniesienie od „Domku Doktora” do „Wielkiej Miski”. Tam czekała na nich kolejna sztafeta noszowych. Droga się kompletnie zapchała. Po prostu się nie wyrabialiśmy. Ludzie bardzo cierpieli w tej kolejce. To, co się działo 12 maja, to nie była walka. To była rzeź. Z obu stron.

Co pan słyszał od rannych?

Z ciężko rannymi nie było oczywiście kontaktu, ale lżej ranni opowiadali nam, jak idzie zdobywanie niemieckich bunkrów. Dlatego na bieżąco wiedziałem, co się dzieje 200 m dalej. Cieszyły kolejne sukcesy. Najpierw zdobycie wzgórza 593, a potem 569. Ale to były chwilowe triumfy, bo zaraz słyszałem, że Niemcy pozbiali się i wypchnęli Polaków z zajętych pozycji. Te wzgórza po kilka razy przechodziły z rąk do rąk.



Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino, ustanowiony w 1944 r. FOT. ARCHIWUM

■ Niemcy szanowali podstawowe reguły walki odnośnie do sanitariuszy?

Jeżeli chodzi o niemieckich strzelców wyborowych, to raczej tak – mieli respekt dla opasek sanitariuszy. Wiedzieli o tym, że jeśli oni będą strzelać do nas, to i nasi snajperzy będą strzelać do ich sanitariuszy. Z tego, co wiem, żaden z naszych sanitariuszy-nosзовych nie zginął od kuli karabinowej. Nasi chłopcy ginęli od pocisków artyleryjskich, bo – jak już wspominałem – artyleria nie widziała między nami różnicy.

Co pana wtedy napędzało? Hektolitry kawy?

Kawy to – proszę pana – my nie widzieliśmy pod Monte Cassino. „Jechaliśmy” tylko na konserwach Corned Beef i na adrenalinie. Miałem wtedy 20 lat i 15 min drzemki dawało siłę na kolejne godziny. Ale nikt oczywiście nie narkował. Każdy miał świadomość, że to była przełomowa bitwa, Polacy muszą pokazać swoje męstwo i trzeba po prostu zrobić swoje.

Kolejne dni to bardzo ciężkie walki, ponosiliśmy wielkie straty. Jak wiadomo, łatwiej bronić się w bunkrach, niż atakować. Mimo pewnych sukcesów wydawało się, że nie widać końca tych walk.

Nasza strategia polegała na zdobyciu wzgórz okalających klasztor. Założenie było takie, że okrążenie wykurzy Niemców z ich fortecy. W pierwszym ataku na wzgórze 593 i 569 oraz na Massa Albanetę brały udział bataliony 1. Brygady Strzelców Karpackich z 3. Dywizji Strzelców Karpackich (na „Widmo” nacierały oddziały 5. Kresowej Dywizji Piechoty). 17 maja uderzyła 2. Brygada Strzelców Karpackich. Z opowieści tych, których nosiliśmy, wiedzieliśmy, że idzie coraz lepiej, że Niemcy są już bardzo wyczerpani. Pojawiła się nadzieja, że tym razem się uda. I w końcu słyszymy, że Massa Albaneta została zajęta przez naszych! To okrążenie sprawiło, że Niemcy postanowili się wycofać z klasztoru.

Rankiem 18 maja nad ruinami wciągnięta została polska flaga. To dopiero musiał być widok.

Moją krótką drzemkę przerwał krzyk chłopaków: „Flaga nad klasztorem!”. Za każdym razem, gdy wspominam ten moment, łzy cisną się do oczu. Ależ to niesamowicie wyglądało! Pękło coś we mnie, cały trud ustąpił, zostałem ożywiony

na nowo. Mogłem już się poruszać całkiem swobodnie. Już nie było strachu, że mnie Niemcy ostrzelają.

To jeszcze nie był dla mnie koniec emocji. Tego poranka stałem przy studni i obserwowałem zwycięzczy, którzy wracali akurat ze zwycięskiej bitwy. Nadciągali z kierunku Massa Albanety i „Gardzieli”. Byli utrudnieni, wymęczeni, szli wolno gęsiego. Na ich twarzach nie było już widać radości, tylko śmiertelne zmęczenie. Zresztą chyba wszyscy tak wyglądali.

W pewnym momencie widzę, że kolejna grupka prowadzona jest przez oficera trzymającego thompsona. Kiedy zbliżył się do mnie na jakieś 20 m, serce niemal rozerwał mi wybuch radości. Tym podporucznikiem był mój rodzony brat Józef z 6. Batalionu Strzelców Karpackich! Wraz ze swoimi ludźmi zdobył Massa Albanetę. Od bardzo długiego czasu nie miałem od niego żadnej wiadomości. Podeszedł do mnie i powiedział: „Popatrz, przyprowadziłem ze sobą aż siedmiu żołnierzy z plutonu. Jesteśmy żywi”. A pluton to przecież 30 ludzi! W tym potwornym rozgardiaszu część ludzi gdzieś mu się zapodziała. Ostatecznie okazało się, że 18 jego żołnierzy przeżyło, a 12 na zawsze zostało u podnóża świętego dla Polaków wzgórza 593 pokrytego czerwonymi makami...

Trochę świata musieliście z bratem przejść, żeby dostać się pod Monte Cassino...

Tak, to była długa tułaczka. Wszyscy zostaliśmy wywiezieni za Ural. Brat został aresztowany już w październiku 1939 r. za udział w manifestacji licealistów w naszych rodzinnych Łapach. Uczniowie zebrali się na rynku miasta, by zaprotestować przeciw przyłączeniu naszych terenów do Białoruskiej SRS. Brat dostał za to 10 lat łagrów. Zamieniono mu to na 10 lat pracy w kopalni w Karagandzie w Kazachskiej SRS. Resztę rodziny Sowieci deportowali właśnie dlatego, że wcześniej brat dostał od nich wyrok. Uznano nas wszystkich za wyrotowców. Po pakcie Sikorski-Majski brat został zwolniony z tej katorżniczej pracy i zaczął się kierować tam, gdzie – jak usłyszał po drodze – wysłano miesz-

kańców naszych rodzinnych stron.

Kiedy latem 1941 r. Sowieci uznali Polaków za sojuszników, pracowaliśmy akurat na budowie kolei. Codziennie po pracy szukaliśmy go na zmianę wśród przejeżdżających transportów. Któregoś dnia moja siostra jak zwykle biegła od pociągu do pociągu i krzyczała: „Czy Łapiński jest?”. Po trzech tygodniach w końcu odezwał się upragniony głos: „Łapiński jest!”. I z wagonu bydlęcego wychodzi wynędzniały facet w obdartym stroju. Byliśmy wszyscy razem.

Ilu członków pańskiej najbliższej rodziny zostało na zawsze w Sowietach?

Nikt! To się bardzo rzadko zdarzało, żeby wszyscy deportowani przeżyli. My jednak mieliśmy masę szczęścia. Razem z bratem postanowiliśmy oczywiście jak najszybciej dołączyć do powstającej armii gen. Andersa. Kiedy w końcu dotarliśmy do punktu werbunkowego polskiej armii, wzruszeń nie było końca. Czy pan jest sobie w stanie wyobrazić, co po tym wszystkim oznaczał dla nas widok polskiej flagi?

Przez Bliski Wschód i Włochy mieliście pójść prosto do Polski, ale po drodze potwierdzone zostało w Jałcie, że Polska traci kresy i trafia do obozu sowieckiego...

Koniec wojny to oczywiście radość, że to wszystko przeżyliśmy – po Monte Cassino skończyłem podchorążówkę i przeszedłem do łączności oraz do zwiadu – ale Jałta faktycznie zatruła atmosferę w naszych szeregach. W niektórych oddziałach 2. Korpusu pojawiły się nawet buntownicze nastroje, choć ja w swoim otoczeniu nie zaobserwowałem aż tak ostrej reakcji. Jałta była jak cios obuchem w głowę...

Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po tym, ile krwi Polacy przelali, nie mieliśmy szans na powrót do wolnej ojczyzny... W moim przypadku jedynym pocieszeniem było to, że moje rodzinne Łapy nie zostały odcięte od Polski. Ja przynajmniej miałem dokąd wracać w przeciwieństwie do wielu moich kolegów, których małe ojczyzny zostały na zawsze oderwane przez Stalina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Antoni Łapiński

– (ur. 1923 r.) jest zesłańcem, weteranem 2. Korpusu Polskiego, uczestnikiem walk pod Monte Cassino.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY



Okręt podwodny
„Kursk” FOT. ARCHIWUM

2000 r.

Pierwsza hańba Putina

„Kursk” idzie na dno



Marcin Bartnicki

/ Elitarny „niszczyciel lotniskowców” zatonał podczas manewrów. Zginęło 118 marynarzy. Putin nie przerwał nawet wakacji

Kapitan Dmitrij Kolesnikow skrobał wodoodpornym ołówkiem, znajdując się w zatopionym okręcie podwodnym 108 m pod powierzchnią Morza Barentsa: „15.45. Za ciemno tu, żeby pisać, ale spróbuję po omacku. Nie ma już raczej szans. Może 10–20 proc. Miejmy nadzieję, że chociaż ktoś to przeczyta. Oto lista członków obsady przedziałów, którzy znajdują się w dziewiątym i będą próbowali przedostać się na zewnątrz. Pozdrowienia dla wszystkich, nie rozpaczajcie”.

Po tym, jak wybuch torpedy w przedziale dziobowym oderwał niemal całą przednią część okrętu, żyjąca nadal część 118-osobowej załogi schroniła się w znajdującym się na rufie przedziale dziewiątym. Długi na 154 m okręt „K-141 Kursk” jest podzielony na 10 przedziałów (środkowe przedziały noszą oznaczenia „5” i „5-bis”, dlatego ostatni przedział oznaczony jest numerem „9”). Marynarze z dziobowej i środkowej części okrętu nie mieli szans na przeżycie, ale 23 ludzie pełniących służbę w przedziałach siódmym i ósmym (być również w szóstym) uciekło przed pożarem i zamknęło się w ostatnim bezpiecznym miejscu. Nie mieli prądu, wysiadło też oświetlenie awaryjne, temperatura zaczynała szybko spadać. Były jeszcze przenośne lampy, ale trzeba je było oszczędzać – niewymieniane od dawna baterie nie wystarczą na długo. W przedziale ratunkowym znajdują się za to zapasy wody i żywności. Jedynym sposobem na wezwanie pomocy jest uderzanie młotem w kadłub. Nadawanie SOS w ten sposób na morzu pełnym prowadzących ćwiczenia okrętów, wyposażonych w sonary, mogło zostać odebrane. Niestety, kpt. Kolesnikow,

który objął dowodzenie nad ocalałymi, w swoim ostatnim liście źle oszacował szanse na przeżycie. 10–20 proc. byłoby właściwe dla lat 80. W 2000 r. w Rosji szanse te były zerowe.

Upadłe mocarstwo

Wiadiejewo, miasto garnizonowe Floty Północnej, znajduje się kilkaset kilometrów za kołem podbiegunowym. Pod względem szerokości geograficznej Warszawa bliższa jest południowym rejonom Grenlandii niż tej zapomnianej przez moskiewskie władze wojskowej bazie. Zima trwa tu zwykle przez ponad pół roku, śnieg utrzymujący się do czerwca nie jest rzadkością. Mimo to dzięki ciepłym prądom morskim morze nie zamarza, dlatego trudno dostępny rejon jest idealny do budowania portów dla atomowych okrętów podwodnych. Wiadiejewo zbudowano w latach 50. i 60. na zupełnym odludziu. Zamieszkane przez 6 tys. ludzi miasto to po prostu bloki z wielkiej płyty i port. Innych atrakcji nie ma. Lekarze są w mieście tylko wtedy, gdy taki zawód wykonuje akurat żona

któregoś z wojskowych i została przeniesiona do Wiadiejewa wraz z mężem. Jak na warunki sowieckie mieszkańcom i tak powodziło się nieźle. Dzięki dodatkom za życie w trudnym klimacie zarabiali dwukrotnie więcej niż w południowych regionach. Wszystko skończyło się wraz z upadkiem ZSRS.

Aby nie przegrać wyścigu zbrojeń, Sowieci wprowadzili do służby kilkaset okrętów podwodnych napędzanych reaktorami jądrowymi. Budowa trwała zwykle dwa-cztery lata. Załogę kompletowano już na początku produkcji jednostki. Marynarze doskonale znali swoje okręty, ponieważ mogli przyglądać się budowie i zgłaszać uwagi dotyczące funkcjonalności. W tym czasie mieszkali wraz ze swoimi rodzinami w wojskowym internacie. Jedna rodzina – jeden pokój. Tak też było w przypadku załogi „Kurska”. Służba w marynarce dawała możliwość otrzymania mieszkania. Po upadku ZSRS brakowało jednak mieszkań nawet dla oficerów. Gdy już je otrzymywali, okazywało się, że rozkradziono z nich wszystkie zamontowane sprzęty, włącznie ze zlewami i z muszlami klozetowymi. W blokach z wielkiej płyty, budowanych w ten sam sposób w całym ZSRS, przez większą część roku panował przeraźliwy chłód. W czasie największych mrozów temperatura w mieszkaniach w Wiadiejewie nie przekraczała kilku stopni, dlatego ludzie na własną rękę montowali elektryczne piece, często wynoszone nielegalnie z okrętów i budynków portowych. Dla marynarzy takie problemy miały jednak znaczenie drugorzędne. Znosili trudności, aby służyć na dumie rosyjskiej floty.

Zwodowany w 1994 r. „K-141 Kursk” był jednym z najpotężniejszych okrętów w swojej klasie. 24 pociski rakietowe o zasięgu 550 km mogły być wyposażone w głowice nuklearne. Można było odpalać je pojedynczo lub salwami, również gdy okręt pozostawał w zanurzeniu, a mógł schodzić na 500 m pod wodę. Podwójny kadłub miał sprawić,

że okręt będzie niemal niezatapialny, a 10-centymetrowa gumowa pokrywa idealnie przylegająca do kadłuba miała utrudnić wykrycie jednostki. „Kursk” był napędzany przez dwa reaktory jądrowe, mające razem moc 380 MW – to ok. jednej dziesiątej mocy drugiej największej w Polsce elektrowni Kozienice. Wszystko po to, aby gigantyczna jednostka mogła poruszać się pod wodą z prędkością 32 węzłów i wykonać zadanie, do którego była stworzona – niszczyć amerykańskie lotniskowce. Jak oszacowali niemieccy dziennikarze Bettina Sengling i Johannes Voswinkel, moskiewscy korespondenci tygodnika „Stern” w 2000 r., gdy zatonął „Kursk”, miesięczne uposażenie kapitana tego niszczyciela lotniskowców wynosiło 400 marek, równowartość ówczesnych 800 zł.

Szeregowi członkowie załogi nie mogli liczyć nawet na takie wynagrodzenia. W 1996 r., gdy żołąd nie był wypłacany miesiącami, rodziny marynarzy z Floty Północnej utrzymywały się dzięki sklepom sprzedającym na kreskę i pożyczkom od znajomych oraz rodziny. W portach stały okręty, na których utrzymanie nie było pieniędzy, Floty Północnej nie było jednak stać na ich zezłomowanie. Gdy przed rodzinami załóg stało widmo głodu, nawet oficerowie wymontowywali okrętowe wyposażenie, aby sprzedać je na złom. Ginęły srebrne płytki z torped, a nawet części urządzeń kontrolnych reaktorów jądrowych.

W tej samej sytuacji była cała Flota Północna. Gdy w 1995 r. zaległości za energię sięgnęły kilkunastu milionów dolarów, sfrustrowana rosnącym długiem dyrekcja zakładu energetycznego odcięła prąd bazie marynarki w Gadżyjewie.

Flota wysłała uzbrojony oddział, który przywrócił dostawę prądu.

Kiedy w najgorszym momencie, w połowie lat 90., na „Kursku” zaczęło brakować nawet ziemniaków, dowodzący okrętem Wiktor Rożkow wysłał bezprecedensową

w historii Rosji prośbę o wsparcie do władz miasta Kurska, którego okręt nosił nazwę. Lokalne władze zareagowały błyskawicznie. Ciężarówki z żywnością i podstawową pomocą ruszyły natychmiast. Marynarze będący podporą mocarstwa otrzymywali wsparcie jak ofiary klęsk żywiołowych i pogrążonych w konfliktach rejonów Afryki. Dowództwo floty i tak nakazało jednak rozdzielić pomoc między wszystkich, „Kursk” nie mógł być wyróżniony.

Tak samo sytuacja przedstawiała się w przypadku służb ratunkowych. W latach 80. dysponowały doskonałymi jednostkami i świetnie wyszkoloną załogą. Supernowoczesny sprzęt pozwalał na ratowanie ludzi nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach. Ratunkowy okręt podwodny „Lenok” mógł zanurzyć się na głębokość 200 m, położyć się na dnie obok zatopionego okrętu. W akcji ratunkowej mogło brać udział 12 nurków. Mieli niezbędny sprzęt, aby dostać się do wraku, dwie kapsuły ratunkowe i skafandry dla setki ludzi. „Lenok” mógł pozostawać pod wodą przez 45 dni i pracować niezależnie od warunków pogodowych. Jak piszą Bettina Sengling i Johannes Voswinkel, okręt miał służyć do 2004 r., ale w latach 90. zabrakło pieniędzy na jego utrzymanie. Przez siedem lat nie przeszedł żadnej konserwacji ani kontroli stanu technicznego, co miało następować co pół roku. W końcu został zezłomowany. Podobny los spotkał pozostałe jednostki ratunkowe Floty Północnej. Te, które przetrwały, w momencie katastrofy od dawna nie nadawały się do użytku, były w remoncie lub wydzierżawiono je Łukoilowi i znajdowały się za daleko.

W latach 90. wojskowe morskie służby ratunkowe uznano za pomocnicze i traktowano z lekceważeniem. Dlatego większość ich przychodów pochodziła ze świadczenia usług na rzecz sektora prywatnego. Pozyskane w ten sposób środki i tak jednak nie wystarczały na podstawowy sprzęt i szkolenie.

Cena buty

Dwudziestu trzech ocalałych mogłoby opuścić okręt w skafandrach, które wytrzymują ciśnienie do głębokości 100 m.

Nie udało im się jednak otworzyć luku ewakuacyjnego. Właz zaciął się

Władimir Putin FOT. ARCHIWUM



Wrak „Kurska” FOT. ARCHIWUM

■ i nie chciał nawet drgnąć. Pozostało im przetrwać we wraku jak najdłużej i nadawać sygnał SOS, uderzając młotem w kadłub. Powietrze spręża się pod naporem podnoszącego się poziomu wody, jest coraz chłodniej. Ratunku nie widać. „Czujemy się źle – pisał w liście inny marynarz. – Po pożarze, pod wpływem dwutlenku węgla stajemy się coraz słabsi. Ciśnienie w sekcji rośnie. Jeśli nie wyjdziemy na zewnątrz, nie wytrzymamy ciśnienia. Nie wytrzymamy dłużej niż jeden dzień”. Nie wiadomo, jak długo przeżyli ludzie uwięzieni we wraku. Być może nie przetrwali nawet do wieczora, gdy podjęto pierwsze próby poszukiwań okrętu. Wątpliwe, aby udało im się przeżyć dłużej niż trzy dni.

Dwie eksplozje, które wstrząsnęły okrętem 12 sierpnia o godz. 11.30, były tak silne, że odnotowała je norweska aparatura oddalona o 5 tys. km. Sonary rosyjskich okrętów znajdujących się w okolicach zatonięcia „Kurska” były w stanie zlokalizować wrak po dochodzących z niego mechanicznych uderzeniach. Dlaczego więc nie odnotowano wybuchów i alarm ogłoszono dopiero 12 godzin po zatonięciu „K-141”? Jak to się stało, że w trakcie największych od lat pokazowych manewrów zgubiono okręt i nikt się tym nie zainteresował? Dalszy przebieg akcji ratunkowej pozwala zadać więcej podobnych pytań. Niestety, te do dziś pozostają bez odpowiedzi. Chaos, nieudolność, buta, a może konieczność oszczędzania paliwa? Środków ledwie wystarczyło na pokazowe manewry, a w kolejce czekała jeszcze demonstracyjna wyprawa na Morze Śródziemne.

Statek ratunkowy „Michaił Rudnicki” przybywa na miejsce katastrofy 24 godziny po wybuchach. Batyskaf ratowniczy udaje się opuścić po kilku godzinach, ale trzeba go podnieść, ponieważ uderzył

prawdopodobnie we wrak „Kurska”. Sprzęt jest w fatalnym stanie, dlatego batyskaf musi wynurzać się co kilka godzin i trudno operować nim nawet przy dobrej pogodzie, a warunki są akurat fatalne. Mechanik prawie nie śpi, bo urządzenie naprawiać trzeba na bieżąco. Rosjanie mają niedaleko znacznie lepszy batyskaf „Biestier”, nie ma jednak statku, który mógłby go przetransportować. Jedyna odpowiednia jednostka od lat nie ruszała się z portu i nie da się jej szybko uruchomić. Jedyna opcja to portowy pływający dźwиг, nie ma jednak najmniejszych szans, aby operował daleko od portu, przy wysokiej fali i sztormowej pogodzie. Ktoś wpada na pomysł, aby opuścić urządzenie do wody blisko portu i odholować je do wraku, korzystając z innego statku. „Biestier” okazuje się równie awaryjny. Również ratowników trzeba sprowadzać z odległych miast, na szczęście zgłaszają się sami. Ci znajdujący się na miejscu nie mają większego doświadczenia. Najbardziej doświadczony oficer ma za sobą dziewięć godzin treningu w batyskafie, którym ma operować. Od ostatnich ćwiczeń na otwartym morzu minęło 10 lat. Nie było na nie pieniędzy. Ratownicy pracują dzień i noc, robią, co mogą, ryzykując życie.

Pomóc mogłyby zagraniczne jednostki, niestety rząd zwleka z ogłoszeniem komunikatu o zatonięciu okrętu. Marynarka wojenna przekazuje mediom informacje dwie doby po katastrofie. Twierdzi przy okazji, że ma kontakt z załogą, chociaż to nieprawda, a marynarze prawdopodobnie już nie żyją. Jako pierwsi pomoc oferują Norwegowie i Brytyjczycy, a następnie Stany Zjednoczone. Później podobne deklaracje składają kolejne kraje.

Moskwa nie odpowiada. Formalnie wsparcia można udzielić dopiero w odpowiedzi na prośbę Kremla.

Władimir Putin, który został po raz pierwszy wybrany na prezydenta w marcu (z poparciem 52,9 proc.), w czasie katastrofy spędzał wakacje w Soczi. Gdy marynarze z „Kurska” umierali, pływał motorówką po Morzu Czarnym. Odnosił się do sprawy dopiero pięć dni po zatonięciu okrętu. Odpowiadając na pytanie dziennikarza na konferencji prasowej, przyznał, że sytuacja jest krytyczna. Tego samego dnia Rosja poprosiła o pomoc Norwegię i Wielką Brytanię.

Alan Hoskins, oficer Royal Navy, nie czekał na sygnał z Moskwy i zaczął przygotowania do akcji dużo wcześniej. Aby operacja ratunkowa miała sens, ważący 21 t brytyjski batyskaf LR-5 musiał zostać przetransportowany drogą powietrzną. Dowództwo marynarki wyczerterowało znajdującego się w Kanadzie „Antonowa” – jedyny samolot zdolny do przewiezienia takiego ładunku. Hoskins przetransportował cały niezbędny sprzęt, wraz z miniookrętem, do Norwegii, aby być jak najbliżej miejsca katastrofy. Żeby jednak przybyć na miejsce zatonięcia „K-141”, potrzebował ponad dwóch dób.

Zagraniczna pomoc dotarła na miejsce tydzień po katastrofie, prowadziła już właściwie misję poszukiwawczą, a nie ratowniczą. Ratownicy zastali na miejscu kompletny chaos informacyjny. Kontaktujący się z nimi Rosjanie przedstawili mylące informacje, właściwie sabotując całą zagraniczną misję. Przez to Norwegowie nie zabrali odpowiednich specjalistów ani sprzętu. To wydłużyła całą operację, a szanse na wyciągnięcie z wraku żywych ludzi maleją z każdą godziną. Mimo komplikacji ratownicy dają z siebie wszystko. Bezskutecznie. Po dotarciu do wnętrza okrętu wiedzą już, że nikt nie przeżył.

W 2000 r. rosyjski aparat propagandy nie był tak sprawny jak teraz, bardziej od współczesnej dezinformacji przypominał toporną sowiecką propagandę. Marny PR nie mógł ostudzić społecznego oburzenia, postanowiono więc zarzucić media absurdalnymi teoriami spiskowymi o przyczynach katastrofy. Według jednej z nich „Kursk” miał zostać staranowany przez amerykański okręt podwodny. Niektórzy wojskowi twierdzili nawet, że zachodnia jednostka spoczywa na dnie obok „Kurska”, nikt nie przedstawił jednak wiarygodnych dowodów. W kolejnych wyborach poparcie dla Putina przekroczyło 70 proc.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MICHAŁA GOŁKOWSKIEGO „OTTO - STALOWE SZCZURY”**

**JEŚLI DO TEJ PORY WYDAWAŁO CI SIĘ, ŻE WIESZ,
CO MOŻE WYDARZYĆ SIĘ NA WOJNIE... NO CÓŻ.
NAJWYRAŹNIEJ TWOJE ŹRÓDŁA HISTORYCZNE NIE
MIAŁY DOŚĆ ANI FAKTÓW, ANI FANTAZJI.**

Paryż wzięty!

Harmonia przygrywa radośnie, gdy oddziały pod flagą Kaiserreichu wkraczają do zdobytej szturmem stolicy Francji. Jest lato 1918 roku, a Wielka Wojna potoczyła się w sposób, który zaskoczył równie bardzo tych chwilowo pokonanych, jak i ulotnych, nietrwałych zwycięzców ofensywy. Gdzieś pośród pożarów stolicy pewna nieco spóźniona kompania inżynierjno-szturmowa musi wyciągać nogi, żeby zdążyć wraz z wycofującymi się oddziałami... Leczy gdy niemalże wpadają pod koła rozpędzonej ciężarówki, wiozącej tajemniczy ładunek, o którym nigdy nie powinno byli się dowiedzieć, wielu innych wyciągnie kopyta.

76 zł

oszczędność 76 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7260021b8d

Jan Matejko „Zabicie
Leszka Białego
w Gąsawie” FOT. MNK

Historia ukryta w obrazie / Zabójczy „Sejm w Gąsawie”

Krwawa łaźnia Leszka Białego



Leszek Lubicki

W 1227 r. doszło do „krwawej łaźni” w Gąsawie. Piastowski książę został zamordowany przez zdrajcę. Jan Matejko uwiecznił tę mrozącą krew w żyłach zbrodnię na dwóch obrazach

Wprzerwach na malowanie swoich monumentalnych obrazów ukazujących najważniejsze wydarzenia z historii Polski, lub czasami nawet w czasie trwania tego okresu twórczego, mistrz Jan malował mniejsze dzieła, oczywiście w dużej części historyczne (pomijamy tu portrety). Z okresu panowania Piastów powstało nieco obrazów, gdzie trup ściele się gęsto. Skomplikowane

piastowskie dzieje skłoniły artystę do ukazania kilku wątków dramatycznych, a nawet sensacyjnych.

Matejko pierwsze z tych dzieł tytułuje „Sejm w Gąsawie”. Tak naprawdę jednak nie był to sejm, tylko zjazd książąt piastowskich, rycerstwa i duchowieństwa. Został on zwołany przez księcia Leszka Białego – według Jana Długosza – na Dzień św. Marcina (11 listopada). Żeby jednak wyjaśnić, dlaczego do takiego spotkania doszło, musimy się cofnąć aż do czasów śmierci

Bolesława III Krzywoustego. Wydaje się, że to od jego ustawy sukcesyjnej, zwanej powszechnie „testamentem Krzywoustego”, wszystko się zaczęło.

Następcy Krzywoustego

Książę Bolesław III pozostawił pięciu synów. Pierworodnego Władysława II ze związku z księżniczką ruską Zbysławą oraz sześciu kolejnych z drugiej żony Salomei, księżniczki Bergu, z których dwóch wcześniej zmarło. Czterech pozostałych zapisało się w dziejach Polski, a byli to: Bolesław IV Kędzierzawy, Mieszko III Stary, Henryk Sandomierski oraz najmłodszy, prawdopodobnie pogrobowiec, Kazimierz II Sprawiedliwy. Każdy z nich otrzymał własną dzielnicę z wyjątkiem Kazimierza, który w „testamencie” nie został uwzględniony. Młodszy, rodzeni bracia, nie byli zbyt przychylni wyznaczonemu



do śmierci bohatera tego szkicu, Leszka Białego, ostatniego princepsa lub też możemy powiedzieć – „księcia całej Polski”.

Najmłodszy syn Krzywoustego, Kazimierz Sprawiedliwy, objął władzę zwierzchnią wbrew zasadom senioratu. On to zwołał w 1180 r. zjazd w Łęczycy, w którym uczestniczyli książęta piastowscy, duchowieństwo i możnowładcy. Jan Matejko namaluje w 1888 r. obraz poświęcony temu wydarzeniu, które to dzieło wejdzie później do cyklu 12 jego prac pt. „Dzieje cywilizacji w Polsce”. Wtedy to po raz pierwszy w historii władca samodzielnie zrzekł się, niewielkiej co prawda, części przysługujących mu praw, ale paradoksalnie dzięki temu umocnił swoją pozycję. Chociaż zjazd ten nie przyznał Kazimierzowi dziedzicznych praw do tronu, to można przypuszczać, że ułatwił później zajęcie stolca krakowskiego przez jego syna Leszka Białego. Po zagadkowej śmierci Kazimierza Sprawiedliwego – mówiło się nawet o otruciu księcia – Leszek został powołany na krakowski tron, tak jak ojciec, wbrew zasadom senioratu. Przed nim byli przecież starsi – Mieszko III Stary, a po jego śmierci Władysław Laskonogi czy Mieszko Płatonogi. Dynastia Piastów była wówczas okrutnie rozrodzona.

Wtedy już możnowładcy w zasadzie decydowali, kto będzie dzierżył władzę w dzielnicy senioralnej. Dla Leszka, jeszcze jako małoletniego, najpierw powołano na tron dla własnych zysków, później odwołano i powołano Laskonogiego. Ten natomiast miał problemy ze swoim bratankiem Władysławem Odonicem, który dopominał się ojcowskiej dzielnicy – Wielkopolski. Prowadzili ze sobą walki, aż Laskonogi wygonił Odonica z Wielkopolski. W tym czasie Leszek Biały ponownie został „księciem krakowskim”. Dwóch Piastów, Leszek i Laskonogi, zawarli układ o przeżycie. Oznaczało to, że ten, który dłużej pożyje, dziedziczy jego dzielnicę. Leszek razem z bratem Konradem Mazowieckim i Laskonogim kontrolowali praktycznie cały kraj, a książę krakowski uznany został przez resztę za princepsa. Może świadczyć o tym fakt, że posiadał pieczęć *dux Poloniae*. Jak pisze Marek Urbański: „Leszek, jako ostatni z Piastów dzielnicowych, tytułował się księciem Polski bądź – by nie było już żadnych wątpliwości, co ma na myśli – »księciem całej Polski«. Jednoznacznie świadczy to o jego ambicjach politycznych”.

Zostało jeszcze Pomorze Gdańskie, gdzie władał z nadania Leszka Białego jako namiestnik Świętopełk. Ten znowu chciał się uniezależnić i zostać równy książętom, ale został zmuszony do uznania zwierzchnictwa „księcia Polski”. Było to zresztą zgodne ze statutem sukcesyjnym Krzywoustego, choć tak naprawdę stracił on już dawno moc. Niemniej książęta zwierzchni starali się go przestrzegać, co nie bardzo podobało się Świętopełkowi. U niego to schronił się Odonic i zawarł nawet związek małżeński z siostrą Świętopełka. Szwaagrowie od tego czasu zaczęli knuć przeciwko władzy centralnej. Władysław Odonic w tym czasie zdołał zająć część Wielkopolski, w tym Nakło i Ujście. Mocno się tam trzymał pomimo najazdów Laskonogiego.

Księcia Leszka Białego nasza historiografia bardzo różnie ocenia. Jedni uważają, że gnuśny był i słaby oraz bez talentu do rządzenia. Przy okazji taka ciekawostka. Odmówił papieżowi udziału w wyprawie krzyżowej. Jako powód podał, że w Palestynie nie podają piwa, a on – ze względu na stan zdrowia – tylko ten napój może pić. Inni natomiast skłonni są przypisać mu kilka cech naprawdę pozytywnych. Paweł Jasienica: „Książę ten niczym specjalnie nie odznaczył się w dziejach Polski, ale pewne wiadomości świadczą o nim dodatnio. W dobie krucjat, kiedy ziemie pogan uważano za niszczyste, a chrześcijański władca był po prostu zobowiązany do szerzenia wiary mieczem, Leszek głosił odmienny program. Nie chciał mianowicie nawracać Prusów siłą. Doradzał zakładanie w ich kraju ośrodków handlowych, co miało ułatwić przenikanie religii katolickiej drogą pokojową”.

Henryk Samsonowicz: „Jego panowanie przypadło na trudne czasy, a Leszek miał ambitne plany polityczne [...]. Dążył do scalenia dwóch najważniejszych dzielnic. [...] Stąpnął z rozsądku i umiaru, a cechy te prawdopodobnie odziedziczył po ojcu”.

Zjazd i zamach

Jednak na pewno zbyt wojowniczy nie był. Mógł przecież w koalicji z bratem Konradem, Laskonogim i Henrykiem Brodatym zająć zbrojnie i Wielkopolskę, i Pomorze. Wolał jednak konflikty rozwiązywać rozmowami niż mieczem, ■

„testamentem” z tytułu starszeństwa księciu zwierzchniemu Władysławowi. Faktem jest, że walczyli także między sobą, ale tak zawzięcie jak z nim – to się nie zdarzało. Kolejną siłą, która wystąpiła przeciwko pierwszemu w dziejach Polski princepsowi, byli możnowładcy i duchowieństwo niechętne mocnej centralnej władzy. Summa summarum – bunt juniorów, rzucenie klątwy na seniora przez abp. Jakuba ze Żnina i Władysław II musiał uchodzić z kraju. Udał się do Niemiec, a to dlatego, że jego żoną była Agnieszka, siostra przyrodnia cesarza Konrada III. Stąd później zwany był „Wygnańcem”.

Podział ziem pomiędzy synów zmarłego władcy nie był wówczas niczym nowym w Europie. Stąd Krzywousty poszedł śladem już utartym. Uznawano, że łatwiej rządzić mniejszymi obszarami niż wielkim terenem. Książę zwierzchni, princeps, miał być rzecznikiem jedności państwa. Jednak w Polsce jakoś słabo to się sprawdziło i trwało mniej niż 100 lat, licząc od czasu panowania Wygnańca



„Sejm w Gąsawie”, szkic Jana Matejki

FOT. WIKIPEDIA

■ dlatego wyznaczył zjazd książąt w Gąsawie. O jego celu i składzie osobowym historycy różnie mówią i nie ma jednej zgodnej koncepcji. Według Samsonowicza jego celem było „zapoczątkowanie współdziałania elit rządzących w Wielkopolsce i Małopolsce”. Marek K. Barański dodaje do tego jeszcze zagmatwaną sytuację z Pomorzem, ponieważ „działania emancypacyjne Świętopełka zaniepokoiły Leszka”. Spójrzmy zatem na obraz „Sejm w Gąsawie”.

Jego krótki opis znajdujemy u sekretarza malarza, Mariana Gorzkowskiego. „Obraz historyczny: Niespodziewane zjawienie się księcia Świętopełka pomorskiego wpośród książąt obradujących w roku 1277 nad sposobem zgubienia jego, na sejmie w Gąsawie około Żni-
na. Osoby: Arcybiskup Gnieźnieński, Wincenty; książęta: Leszek Biały, Henryk Brodaty, Władysław Laskonogi, Konrad Mazowiecki, Władysław Odonicz, rada świecka oraz książę Świętopełk pomorski grożący im ręką”.

Dodajmy jeszcze, że malarz umieścił na kolanie Leszka jego małoletniego syna Bolesława (Wstydlwego), którego oczywiście tam nie było. Z wypisanych wyżej książąt nie było na pewno również Świętopełka, bo przecież przeciwko niemu także miano obradować, oraz Laskonogiego (przysłał swoich ludzi) i prawdopodobnie Odonic. Paweł Jasienica: „Odonic, który umyślnie zwłóczył i wypatrywał sposobnej chwili, naprowadził na nich ludzi Świętopełka”. Czyli to Władysław Odonic Plwacz był być może mózgiem całej operacji, bo jemu bardziej zależało na śmierci Leszka Białego i Henryka Brodatego. W takim przypadku trójporozumienie książąt by upadło, a on odzyskałby Wielkopolskę od osłabionego już Laskonogiego. Namiestnik Pomorza wyprzedza swoim działaniem rysując się zagrożenie układane także przeciwko niemu. Ma świadomość, że nadarza się okazja, aby zyskać suwerenność na Pomorzu i tytuł książęcy. Obrady trwały

już bodaj 13. dzień, a podczas nich obficie spożywano nie tylko jadło. Z samego rana, 23 listopada, skacowani dwaj książęta, Leszek Biały i Henryk Brodaty, udali się do sauny, by szybciej oczyścić organizm. Opis końca gąsawskich obrad w sposób najbardziej prosty i zrozumiały daje Barański i tę hipotezę na nasze potrzeby możemy przyjąć.

„Zjazd w Gąsawie zakończył się tragicznie. Na zebranych książąt uderzyli Pomorzanie Świętopełka. Uczestnicy zjazdu zostali całkowicie zaskoczeni. Gdy Pomorzanie atakowali, Leszek i Henryk zażywali właśnie kąpieli w łaźni. Nie wiadomo, co robili inni, nikt się nie bronił. Henryk omal nie zginął. Ciężko poranionego księcia uratował wierny rycerz Peregryn, który swe poświęcenie przypłacił życiem. Leszkowi udało się wydostać z łaźni, dopadł konia i pogalopował w kierunku Marcinkowa. Tam dopadli go i zabili Pomorzanie. Pozostłym książętom udało się zachować życie i zdrowie”.

Tym jedynym „pozostałym” wydaje się tylko młodszy brat Leszka, Konrad Mazowiecki. Co wtedy robił? Spał i nikt go nie niepokoił? A może opuścił Gąsawę dzień wcześniej? Jeżeli nawet tak, to – jak zauważa Jasienica – „stare prawo rodowe zobowiązywało Konrada Mazowieckiego do pomszczenia śmierci brata. Nie doszło jednak do tego, bo książę z Płocka myślał przede wszystkim o spadku po zabitym”. Na szczęście nie udało mu zbyt wiele osiągnąć, gdyż – jak określił go Józef Szuj-
ski – był człowiekiem znanym z płochości i nikczemności umysłu. Natomiast zbrodnia ta miała poważne konsekwencje dla Polski. Henryk Samsonowicz zauważa, że „mord w Gąsawie udaremnił ambitne plany Leszka – polskie ziemie zamiast się scalać, poszły odrębnymi drogami. Zamach spowodował upadek władzy centralnej w Krakowie i chaos. Przez następne 20 lat księstwa dzielnicowe były nieustannie w konfliktach”. Pomorze natomiast oderwało się od Polski na 60 lat.

O ucieczce Leszka z łaźni, czyli kontynuacji wyżej opisanych wydarzeń, opowiada następny obraz Jana Matejki „Śmierć Leszka Białego”. Gdy go oglądamy, znając już z grubsza historię zjazdu Piastowiców w Gąsawie, tak naprawdę nie trzeba zbyt wiele tłumaczyć. Widzimy na nim siedzącego nago na koniu księcia, pędzącego na oślep z rozwianymi białymi włosami, byle dalej od najeźdźców. Nie udaje się mu jednak ująć w gęsty las, gdzie mógłby zgubić zabójców. Dojeżdża do pobliskiego Marcinkowa i tam dosięga go rzucona przez pomorskiego siepacza włócznia, która wbija się w plecy. Kolejny jeździec strzela do niego z łuku. Książę nie ma szans, ginie na miejscu. Żaden z małopolskich rycerzy nie przychodzi mu z pomocą.

Dopiero później odnaleziono jego ciało, przewieziono do Krakowa i „ze czcią pochowano w kościele katedralnym”. W Marcinkowie Górnym, w miejscu domniemanego zabójstwa księcia, stoi obecnie pomnik upamiętniający jego śmierć. Leszek Biały był ostatnim princepsiem i jako książę zwierzchni, choćby nawet teoretycznie, posiadał władzę nad pozostałymi dzielnicami. Marek K. Barański: „Śmierć Leszka ponownie zdestabilizowała sytuację w Polsce. Pozostawił on po sobie nie tylko duży kompleks ziem, ale również Kraków, który w pierwszej połowie XIII w. nie utracił jeszcze swego szczególnego znaczenia. O przejęciu spadku po Leszku myślało kilku Piastów, a mianowicie Władysław Laskonogi, któremu należał się on na mocy układu z Leszkiem, Konrad Mazowiecki, który jako brat zmarłego miał prawo do opieki nad wdową i synem Leszka. Trzecim konkurentem był książę śląski Henryk Brodaty. Niebawem doszło do walk o Małopolskę”. To już jednak inna historia.

Trudno eksponować na co dzień te dwa obrazy obok siebie w muzealnej sali, bo są własnością różnych muzeów. Szkoda, bo ukazują prawie całe wydarzenie, jakie rozegrało się w listopadzie A.D. 1277. Chociaż, jak już wiemy, w rzeczywistości było trochę inaczej, niż raczył to przedstawić mistrz Jan na pierwszym z obrazów. Matejko się pomylił? Nie, on bowiem – jak zauważa Waldemar Łysiak – „syntetyzował wydarzenia, tworząc godła ikonograficzne, a nie kronikę fotograficzno-scenetyczną”. I tak też obraz „Sejm w Gąsawie” należy rozumieć, gdy będziemy go oglądać w muzeum. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wolność w piosence

Podczas koncertu wystąpili: Renata Przymek, Marek Piekarczyk, Aleksandra Gintrowska, Julia Gintrowska, Jakub Wocial, Łukasz Drapała, Adam Szerszeń, Rafał Bartmiński, Krzysztof Napiórkowski FOT. BARTEK MOLGA

Koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie...” 4 czerwca w Krakowie był wspomnieniem walki o wolność

Kompozycje Gintrowskiego sprzed lat w nowych aranżacjach i wykonaniach idealnie wpasowały się w obchody 30. rocznicy częściowo wolnych wyborów. Koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie...” przypominał, że bard Solidarności przez całe życie śpiewał o wolności i nawet po 1989 r. jego pragnienie niezależności nie

zdezaktualizowało się, tylko zostało inaczej ukierunkowane: nie na walkę z systemem, lecz na przypominanie o tej walce. – Człowiek, aby wiedział, dokąd idzie, musi wiedzieć, skąd pochodzi – wypowiedź muzyka zacytowała prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego Katarzyna Gintrowska.

W nowych aranżacjach Jana Stokłosy pieśni Gintrowskiego zyskały drugie, pełne oddechu życie. Okazało się, że nie są jednowymiarowe i doskonale bronią się bez konspiracyjnego kontekstu. Wykonawcy – m.in. Renata Przymek, Marek Piekarczyk czy Krzysztof Napiórkowski – nie starali się naśladować

chropowatego głosu Gintrowskiego, bo też głos ten jest przecież niepodrabialny. Zamiast imitacji zaproponowali swoją interpretację znanych nam wszystkim pieśni. Gdzie trzeba byli delikatni, tak jak Ola Gintrowska w „Modlitwie”, gdzie trzeba – bez pardonowo ostro, tak jak Łukasz Drapała w utworze „Gdy tak siedzimy nad bimbrem”. Najbardziej zaskoczyły „Mury”. Nieformalny hymn Solidarności trudno wyobrazić sobie w innej niż ikoniczna interpretacji. Tymczasem tenor Rafał Bartmiński i baryton Adam Szerszeń rozpoczęli utwór po polsku, przez cały czas po-

zostając w tonacji operowej! Ta nietypowa forma utworu wywołała na widowni żywy wzruszenie. Na zakończenie reżyserka koncertu Gabriela Gusztyn-Popławska oddała pole samemu patronowi wydarzenia – gdy na scenie stanęło puste krzesło, z głośników popłynął głos Przemysława Gintrowskiego śpiewającego „Dokąd nas zaprowadzisz, Panie”, do którego z każdym słowem dołączał kolejny, obecny tego wieczoru wykonawca.

Publiczność zgotowała artystom kilkuminutową owację na stojąco. Kolejny koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie...” odbędzie się w Poznaniu. ©

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości

MECENAS KONCERTU:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PATRONI MEDIALNI:





XX w. / Turecko-grecki konflikt o wyspę

Cypr w ogniu



Arkadiusz Karbownik

**W 1955 r. wybuchła
rebelia Greków przeciw
Brytyjczykom.
Rozpoczął się krwawy
konflikt, który trwa do
dzisiaj**

Cypyr znajdujący się pod zwierzchnością brytyjską od 1914 r. w połowie lat 50. znalazł się w ogniu antykolonialnej rewolty. Jej inicjatorami byli wywodzący się ze skrajnej prawicy płk Jeorjos Grivas oraz hołdujący lewicowym ideałom abp Makarios III. Obydwaj prowadzili działania na rzecz enosis, czyli idei zjednoczenia Cypru z Grecją.

Sama koncepcja połączenia pojawiła się jeszcze w XIX w., a po zakończeniu

II wojny światowej przypomnieli sobie o niej, by osłabić Wielką Brytanię, przywódcy AKEL – cypryjskiej partii komunistycznej. Wtedy to podchwycił ją również zwierzchnik Kościoła prawosławnego na Cyprze abp Makarios III, składając władzom brytyjskim propozycję odbycia referendum, podczas którego ludność mogłaby się wypowiedzieć w sprawie ewentualnej unii z Grecją. Londyn zdecydowanie odrzucił ów koncept, mając świadomość niebezpieczeństwa utraty władzy nad tą ważną ze strategicznego punktu widzenia wyspą.

Pomimo brytyjskiego sprzeciwu nieformalne referendum na Cyprze jednak się odbyło. Przytłaczająca większość jego uczestników – bo aż 96 proc. – opowiedziała się za połączeniem z Grecją. Wynik referendum stanowił dla Makariosa poważny argument w rozmowach, które podjął z rządem greckim w kwestii przystąpienia do negocjacji z Brytyjczykami w sprawie unii z Grecją. Jednak władze w Atenach nie były skore do inicjowania takich rozmów, choćby z powodu długu wdzięczności, który miała Grecja wobec

Wielkiej Brytanii w związku z pomocą udzieloną w latach 1945–1947 w walce z komunistyczną rebelią. Ta pasywna postawa władz niebawem została przełamana, na skutek intensywnej akcji propagandowo-informacyjnej prowadzonej w Grecji przez Makariosa. Próby rozmów grecko-brytyjskich na temat enosis nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Brytyjczycy, co było do przewidzenia, odrzucili wszelkie greckie sugestie w tej sprawie. Negatywna odpowiedź Wielkiej Brytanii skłoniła Greków do skierowania wniosku o debatę nad koncepcją zjednoczenia do ONZ. Ten krok spowodował wzrost napięcia politycznego między oboma krajami.

W międzyczasie z polityczną pomocą Londynowi przybyli przywódcy – stanowiącej 18 proc. mieszkańców wyspy – społeczności Turków cypryjskich. Od początku z dużym zaniepokojeniem śledzili oni grecką polityczną aktywizację w kwestii zjednoczenia. Turcy początkowo domagali się utrzymania na wyspie status quo. Kiedy jednak dostrzegli, że będzie to niemożliwe, zaproponowali



Grecy stanowili trzon kolonialnej policji. Bojownicy EOKA zastraszali ich
FOT. ARCHIWUM

dy dały asumpt do opracowania strategii walki o zjednoczenie, którą zamierzał wdrożyć. Jego radykalne pomysły wywołania wojny partyzanckiej nie spotkały się jednak ze zrozumieniem abp. Makariosa, który hołdował bardziej pokojowym metodom. Również rząd w Atenach przeciwny był tworzeniu partyzantki. Dopiero niepowodzenia dyplomatyczne spowodowały, że płk Jeorjos Grivas otrzymał zielone światło do podjęcia akcji zbrojnych.

10 listopada 1954 r. przybył on na wyspę i niemal z marszu rozpoczął rekrutację do szeregów EOKA. Bazę rekrutacyjną organizacji stanowili członkowie nacjonalistycznej Pancypryjskiej Organizacji Młodzieżowej PEON. Staranny dobór kadr sprawił, że w momencie wybuchu antybrytyjskiego powstania EOKA była strukturą nieliczną. Początkowo miało się ono rozpocząć 25 marca 1955 r. – w święto niepodległości Grecji. Jednak 25 stycznia 1955 r. brytyjski niszczyciel HMS „Comet” zatrzymał statek „Agios Georgios”, wiozący na Cypr amunicję dla rebeliantów. Zdarzenie to spowodowało pewne zamieszanie w szeregach EOKA i doprowadziło do przesunięcia terminu wybuchu rebelii.

Ostatecznie wybuchła w nocy z 31 marca na 1 kwietnia 1955 r., a zwiastowały ją przeprowadzone w wielu miastach na Cyprze zamachy bombowe. W Nikozji grupa EOKA pod wodzą Markosa Drakosa uszkodziła nadajniki Cyprus Broadcasting Service. Z kolei w Larnace grupa skazanego potem na dziewięć lat więzienia Stavrosa Posskottisa przeprowadziła zamachy na gmach sądu i komisariat policji. Pierwszego dnia rewolty „Diogenes” – taki obrał sobie pseudonim płk Grivas – wezwał w rozklejanym na murach

oświadczeniu wszystkich greckich Cypryżyków do poparcia walki o enosis.

Zasadniczym elementem strategii Grivasa było początkowo zastraszanie Greków pracujących w kolonialnej policji, której stanowili główny trzon kadrowy. W jednym z wywiadów tak określił cel swoich działań: „Moim głównym celem było sparaliżowanie policji... Moje grupy miejskie miały zabijać policjantów, którzy okazywali zbyt wielką gorliwość w brytyjskiej służbie, a grupy wiejskie miały atakować posterunki policji, zabijając pojedynczych policjantów i wciągając w zasadzkę policyjne patrole”. Pułkownik nie miał wątpliwości, że greccy policjanci, znający dobrze społeczność, z której się wywodzili, będą dla EOKA największym zagrożeniem. Dlatego stróże prawa stali się głównymi celami akcji likwidacyjnych.

Już 11 sierpnia 1955 r. w zamachu zginął sierż. Kostas Kostopoulos. Kilka nacień dni później kule dosięgły innego funkcjonariusza – Herodoutusa Poullisa. Zabójca tego ostatniego, 22-letni Michalis Karaolis, został ujęty, skazany na śmierć i powieszony w Nikozji. Był pierwszym z ośmiu straconych przez Brytyjczyków terrorystów z EOKA. Uliczne egzekucje policjantów doprowadziły do tego, że niektórzy z nich zaczęli współpracować z greckim podziemiem. Funkcjonariusz Polikarpos Georgadijs utworzył nawet sieć 20 agentów infiltrujących struktury policji kolonialnej. Brytyjczycy z biegiem czasu przestali ufać swym greckim podwładnym. Część z nich zaczęła odchodzić ze służby, a innych, podejrzewanych o związki z konspiracją, zwalniano. W ich miejsce z Wielkiej Brytanii sprowadzono znanych z bezwzględności funkcjonariuszy wywodzących się z północnoirlandzkiej Royal Ulster Constabulary. W ramach

podjętej reorganizacji służb

policyjnych Brytyjczycy zaczęli na masową skalę przyjmować do policji cypryjskich Turków, co zasadniczo zmieniło proporcje etniczne w kolonialnych organach bezpieczeństwa.

Posunięcia te skutkowały zdecydowanym wzrostem poparcia dla EOKA i niechęcią

taksim, czyli podział wyspy na część grecką i turecką. Ów koncept stał się ważkim argumentem podnoszonym przez Wielką Brytanię w prowadzonej kampanii sprzeciwu wobec greckich postulatów. Tymczasem w Grecji działania na rzecz idei zjednoczenia zaczęły przybierać na sile, z chwilą utworzenia komitetu na rzecz enosis, na którego czele stanął abp Makarios. Przełomową decyzją komitetu było wyrażenie zgody na zbudowanie na Cyprze greckiej podziemnej organizacji konspiracyjnej. Przyjęła ona nazwę EOKA – Narodowa Organizacja Cypryjskich Bojowników – a na jej czele stanął płk Jeorjos Grivas.

Grecki terror

Jeszcze w lipcu 1951 r. odbył on na wyspie swój pierwszy rekonesans. Rok później pojawił się tam znowu. Te wyjaz-



wobec Brytyjczyków, których Grecy coraz powszechniej zaczęli postrzegać jako okupantów. Widząc nieudolność władz w walce z terrorystami na wyspie, premier Wielkiej Brytanii Anthony Eden postanowił dokonać zmiany na stanowisku gubernatora Cypru. Dotychczasowego – Roberta Armitage – zastąpił przybyły na Cypr 3 października 1955 r. marszałek John Harding. Nowy zarządca wyspy miał spore doświadczenie w zwalczaniu guerrilli na Malajach oraz w Kenii. Jednym z jego pierwszych posunięć było skoordynowanie w walce EOKA działań cywilnej administracji, wojska, policji i służb specjalnych. 27 listopada 1955 r. gubernator ogłosił stan wyjątkowy.

Brytyjskie tortury

W ramach wprowadzonych nowych przepisów sprawcy zamachów terrorystycznych czy osoby ujęte z bronią w ręku miały być skazywane na karę śmierci. W więzieniach można było

użycia kija, postanowił także pokazać marchewkę w postaci rozmów z przywódcą cyprijskich Greków Makariosem III. Wierzył może nieco naiwnie, że w ich trakcie uda mu się przekonać arcybiskupa do akceptacji brytyjskich rządów. Szybko się zorientował, że szans na jakikolwiek kompromis w tej kwestii nie ma, i podjął decyzję o aresztowaniu biskupa oraz deportowaniu go 9 marca 1956 r. na Seszele. Makarios zwolniony został stamtąd po ponad roku.

EOKA na aresztowanie arcybiskupa odpowiedziała atakami terrorystycznymi. W przeciągu trzech tygodni marca 1956 r. przeprowadziła aż 246 takich akcji. Sam Harding stał się celem zamachu, lecz ukryta w jego sypialni bomba z powodu niskiej temperatury panującej w pomieszczeniu nie wybuchła. Bez względu na metody EOKA spowodowała, że również strona brytyjska nie przebiegała w środkach. Odczuli to na własnej skórze aresztowani członkowie organizacji. Wobec wielu z nich zastosowano w trakcie przesłuchań tortury. Ustalono

z ośrodków dochodzeniowych Andreas Panayiotou.

W obliczu pojawiających się informacji o torturowaniu więźniów głos zdecydował się zabrać marszałek Harding, tłumacząc postawę swoich podkomendnych: „Co się tyczy złego, surowego traktowania po schwytaniu, myślę, że coś takiego nieuchronnie się zdarza. Bądź co bądź, jeśli żołnierze albo policjanci biorą udział w operacji antyterrorystycznej i widzą, jak ich koledzy giną podczas akcji, wtedy oczywiście mają skłonność do surowego zachowania względem pojmanych nieprzyjaciół i jest to coś zupełnie naturalnego, coś, czemu nie można zapobiec rozporządzeniami. Nie sądzę, żeby na Cyprze działało się to w jakimś poważnym stopniu, ale z pewnością zdarzały się przypadki, kiedy schwytanego człowieka z EOKA w trakcie aresztowania traktowano dosyć ostro. Jest to całkowicie naturalne i w moim przekonaniu dopuszczalne”.

W katalogu działań, które zaczęto stosować w walce z EOKA, znalazły się także te związane z wykorzystaniem grup kontrterrorystycznych. Były to tzw. patrole Q złożone z Brytyjczyków oraz byłych partyzantów EOKA, którzy zdradzili organizację i przeszli na stronę kolonialistów. Formacje te bardzo szybko pokazały swoje znakomite umiejętności. Patrole Q, podające się za partyzantów, przenikały do stanowiących ich zaplecze wsi, zdobywając wiele cennych informacji. Dzięki ich działaniom udało się w ciągu sześciu miesięcy schwycić lub zabić 35 bojowników EOKA oraz przejąć 60 sztuk broni. Jednak pomimo osiąganych sukcesów do całkowitego unicestwienia EOKA nie doszło, o czym przekonali się Brytyjczycy w listopadzie 1956 r., kiedy to w 416 atakach i zamachach zginęło 39 osób (21 z nich było Brytyjczykami).

Na początku roku 1957 brytyjskie oddziały wojskowe zadały EOKA poważne straty. 19 stycznia żołnierze z Suffolk Regiment zabili w walce jednego ze znanych dowódców partyzantów Markosa Drakosa. Kilkanaście dni później 2. Batalion Pułku Spadochronowego ujął 21 partyzantów i zdobył 46 sztuk broni. 3 marca 1957 r. Brytyjczycy odkryli miejsce pobytu jednego z głównych bojowników – Grigorisa Afxentiou. Jego czterech podkomendnych zdecydowało się poddać Brytyjczykom. On sam postanowił walczyć

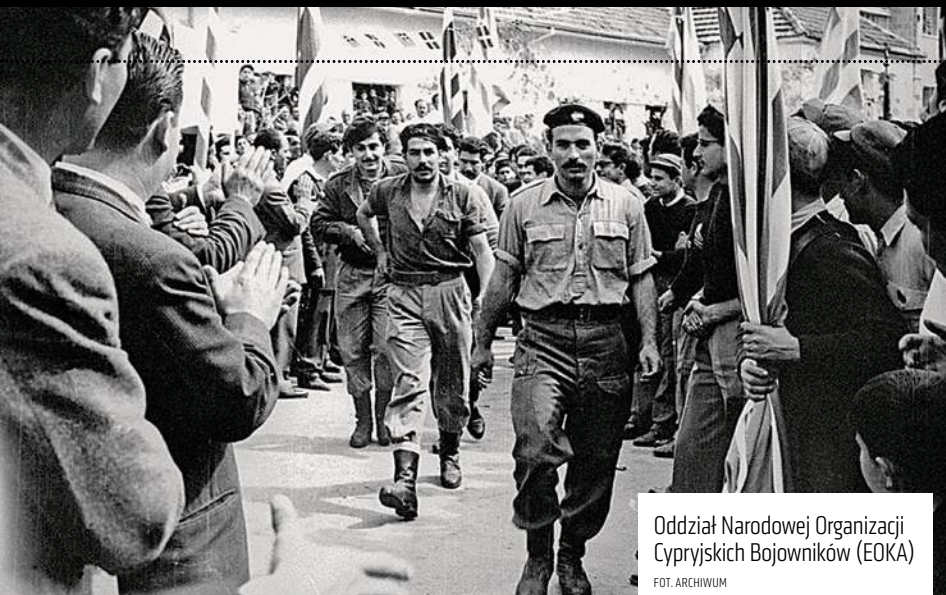
Cypr

- strefa kontrolowana przez ONZ
- strefa kontrolowana przez brytyjską armię
- część północna kontrolowana przez Turków
- część południowa kontrolowana przez Greków



osadzać młodocianych poniżej 18. roku życia. Wprowadzono cenzurę, system kar finansowych, banicję, godzinę policyjną, zakazano strajków. Marszałek Harding poza całą gamą przeróżnych kar, czyli

potem, że doszło do 317 takich przypadków. Użycie tortur doprowadziło do śmierci 13 osób. Jednym z tych, którzy przeżyli trzeciego stopnia przesłuchań, był zmarły 19 listopad 1956 r. w jednym



Oddział Narodowej Organizacji
Cypryjskich Bojowników (EOKA)

FOT. ARCHIWUM

do końca. Zginął, gdy jego kryjówkę obłano benzyną i podpalono.

Turcy pod broń

17 marca 1957 r. Grivas ogłosił zawieszenie broni. Trwało ono rok. W jego trakcie nastąpiła erupcja napięcia między społecznością turecką a grecką. Konflikt ten tlił się od dłuższego czasu. Turcy cypryjscy masowo wstępujący do formacji policyjnych coraz bardziej angażowali się w działania skierowane przeciw EOKA. Ta aktywność budziła chęć odwetu. 11 stycznia 1956 r. czteroosobowe komando egzekucyjne EOKA zabiło bardzo skutecznego w rozpracowywaniu greckiego podziemia policjanta Abdullaha Alego Rізę. Turcy cypryjscy coraz bardziej obawiający akcji terrorystycznych postanowili powołać do życia 29 listopada 1957 r. własną organizację samoobrony TMT – Organizację Tureckiego Oporu (Türk Mukavemet Teşkilatı).

Inspiratorami powstania nowej struktury byli Rauf Denktas, prawnik Mustafa Tandırsevdi i dr Durhan Narbantoglu. Nawiazali oni w tej sprawie kontakt w Turcji z ekspertem od działań nieregularnych gen. Danisem Karabelenem. Ankara w sierpniu 1958 r. wysłała na Cypr misję kilku oficerów na czele z ppłk. Rізą Vuruskanem, który przybył na wyspę pod fałszywym nazwiskiem Ali Conan i rozpoczął pracę jako audytor bankowy. Zadaniem przybyłych „gości” było objęcie „opieki” nad Organizacją Tureckiego Oporu. Jej bojówkarze 12 czerwca 1958 r. zabili w okolicach wsi Gönelyi ośmiu nieuzbrojonych greckich cywili. TMT dokonywała również zamachów na Turków utrzymujących zażyłe kontakty z Greka-

mi. W Limassol zabito fryzjera Ahmeda Ibrahima. Poza nim zamordowani zostali również: działacz związków zawodowych Ahmed Yahya oraz Fazıl Önder – redaktor naczelny jednej z tureckich gazet.

Fakt zaangażowania Turcji i przywódców społeczności Turków cypryjskich – w czym nie miały udziału Brytyjczycy – w konflikt brytyjsko-grecki spowodował, że abp Makarios zdecydował się zrezygnować z idei enosis i zaakceptować koncepcję utworzenia niepodległego państwa cypryjskiego. Zdecydowanie przeciwny temu rozwiązaniu był, chcący kontynuować walkę do ostatecznego zwycięstwa, płk Grivas. W sporze obu liderów przeważał głos mającego większy autorytet abp. Makariosa, który zdawał sobie sprawę z tego, że w przypadku zjednoczenia z Grecją podział wyspy stanie się nieuchronny.

Dlatego zarówno duchowy, jak i polityczny przywódca społeczności Greków cypryjskich zdecydował się podpisać 19 lutego 1959 r. kończące toczący się konflikt, a zawarte w Londynie grecko-turecko-brytyjskie porozumienie (negocjacje w sprawie toczyły się w Zürichu). Zgodnie z nim Cypr miał się stać niepodległym państwem. Funkcje prezydenta republiki miał pełnić Grek, a jego zastępcą miał być Turek. Pozostałe stanowiska w rządzie miały być obsadzone proporcjonalnie w stosunku do liczebności danej społeczności. W zakończonym konflikcie – a w zasadzie, jak się okazało, pierwszej jego fazie – śmierć poniosło 104 brytyjskich żołnierzy, 51 policjantów (w tym 15 Greków i 22 Turków), 26 brytyjskich cywili, siedmiu tureckich i aż 203 greckich. Zginęło też w różnych okolicznościach 90 członków EOKA.

Tuż po uzyskaniu niepodległości głową cypryjskiego państwa został abp Makarios, a jego zastępcą – Fazıl Kükük. W latach 1963–1964 wyspę ogarnęły zamieszki. Podczas ich trwania zginęło ok. 300 osób. Po raz kolejny sprawą Cypru zajęło się ONZ, wysyłając na wyspę rozjemcze siły „białych hełmów”. Nie zatrzymało to nadchodzącej kolejnej fazy konfrontacji. Związana ona była z głębokimi podziałami, które zaistniały w obozie Greków cypryjskich. Katalizatorem, który je uruchomił, było przejście władzy w Grecji w 1967 r. przez juntę czarnych pułkowników. Jej przywódcy zaczęli dążyć do obalenia władzy prezydenta Makariosa. Zasadnicza rola w tym dziele miała przypaść jego dawnemu rywalowi Grivasowi. Pojawił się on na wyspie, tworząc w 1971 r. terrorystyczną organizację EOKA-B. Jej działania miały na celu osłabienie rządów arcybiskupa. Już po śmierci Grivasa (zmarł na niewydolność serca w styczniu 1974 r.) członkowie EOKA-B zorganizowali inspirowany z Aten, a przeprowadzony 15 lipca 1974 r. zamach stanu.

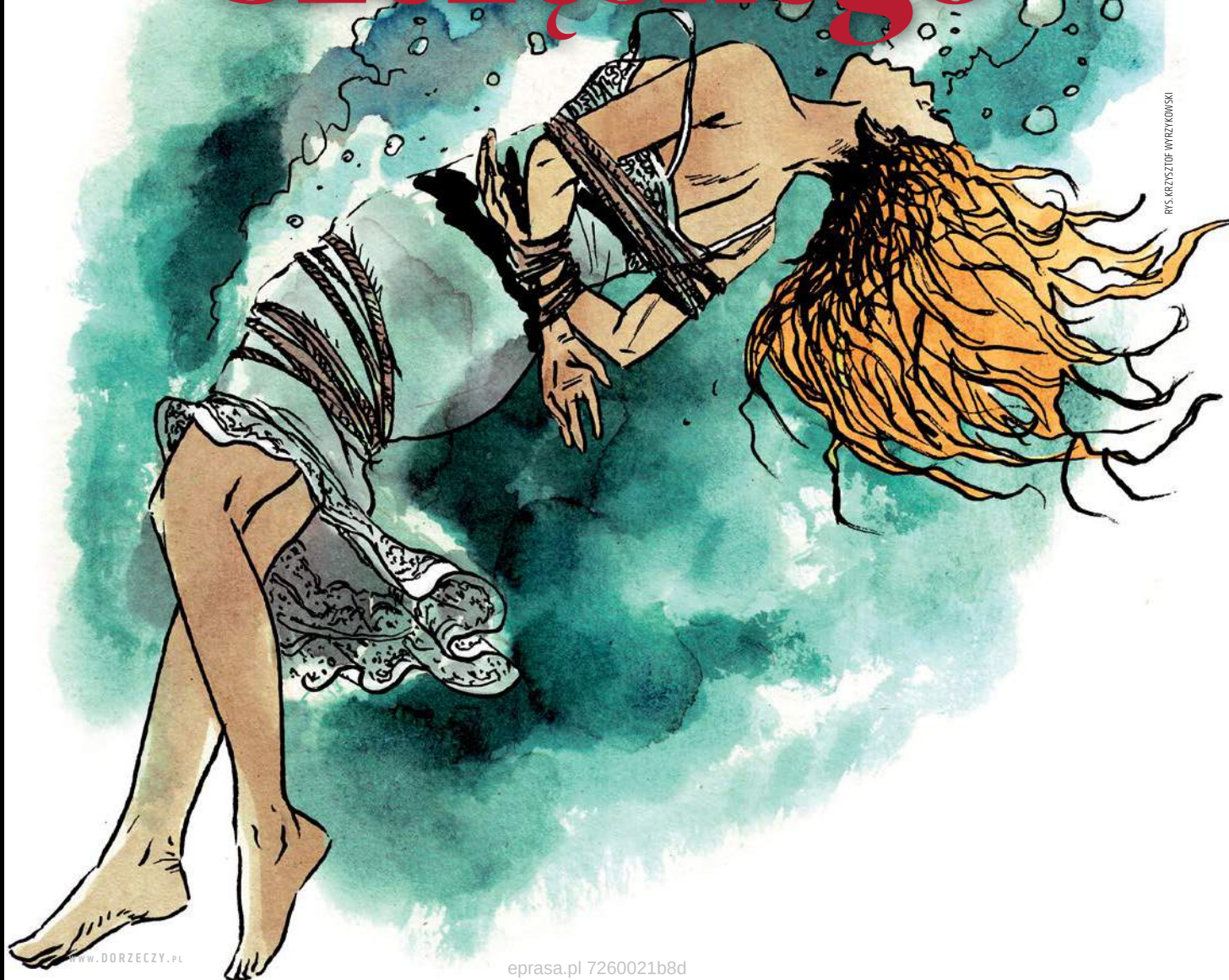
Początkowo wydawało się, że plany zamachowców się powiodły, albowiem arcybiskup w obawie o swe życie opuścił Cypr, a władzę na wyspie przejął organizator masakr Turków w 1963 r., nazywany Rzeźnikiem z Omorfity, Nikos Sampson. Co prawda ogłosił on, że celem zamachu było tylko pozbawienie władzy Makariosa, a nie represjonowanie mniejszości tureckiej, ale władze w Ankarze, znając jego przeszłość, nie zamierzały sprawdzać prawdziwości nowego prezydenta i podjęły decyzję o realizacji planu „Atilla”, czyli lądowaniu na wyspie wojsk tureckich. Nastąpiło to 20 lipca 1974 r. W wyniku krwawych walk Turcy zdobyli jedną trzecią wyspy, tworząc na zajętych terenach, istniejącą do dziś, Turecką Republikę Cypru Północnego. Nikos Sampson podał się do dymisji (skazany został potem na 20 lat więzienia), a na wakujące stanowisko prezydenta powrócił abp Makarios III. Klęska poniesiona na Cyprze doprowadziła w Grecji do upadku junty czarnych pułkowników. (Sprawa podzielonego Cypru nadal wzbudzała jednak w kolejnych dziesięcioleciach konflikty na samej wyspie oraz problemy w stosunkach międzyrządowych – z kwestią przyjmowania Cypru do Unii Europejskiej łącznie).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

XVIII w.

/ Najbogatszy magnat i skromna szlachcianka

Nieszczęsna wybranka Szczęsnego



RYŚ: KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI



Sławomir Koper

Wielki magnat kazał uprowadzić wybranekę swojego syna. Dziewczyna została uduszona futrami, a jej ciało zatopione

W połowie XVIII stulecia za najbogatszego magnata Rzeczypospolitej uważano Franciszka Salezego Potockiego. Był właścicielem ogromnych majątków na Ukrainie, nazywano go nawet „małym królem Rusi”. Nie było w tym wielkiej przesady, na dużych obszarach Ukrainy jego słowo znaczyło więcej niż króla i jego urzędników, od jego łaski i dobrego humoru zależał los aż 400 tys. ludzi. W skład jego majątku wchodziło bowiem 70 miast i kilkaset wsi, posiadał także 11 królewszczyzn.

Ród Potockich

Pierwsze informacje o rodzinie Potockich pochodzą jeszcze z XIII w., ale jej przedstawiciele zaczęli dochodzić do znaczenia dopiero 300 lat później. Tak jak wiele innych magnackich rodów zdobyli majątek na kolonizacji terenów ukraińskich, bo wyludnione i urodzajne ziemie nad Dnieprem sprzyjały szybkiemu powstawaniu fortun. Dowodem rosnącego znaczenia Potockich było stanowisko hetmana wielkiego koronnego, które piastowali kolejno od 1646 r. dwaj przedstawiciele rodu: Mikołaj i Stanisław Rewera Potoccy. Ten drugi był pradiadkiem Franciszka Salezego.

W budowie potęgi Potockich nie przeszkodziło nawet to, że pierwszy hetman w rodzinie fatalnie zapisał się w dziejach kraju. Do historii przeszedł jako główny winny porażki pod Korsuniem z rąk Kozaków i Tatarów. Duży wpływ na wynik bitwy miało bowiem to, że Potocki był alkoholikiem, inna sprawa, że jego zastępcą, hetman polny Michał Kalinowski, miał wyjątkowo słaby wzrok i wydawał absurdalne rozkazy. W efekcie obaj trafili

do niewoli, co było wyjątkowym upokorzeniem dla Rzeczypospolitej.

Kompromitacja pod Korsuniem nie przeszkodziła jednak, by Potoccy jeszcze kilka razy sięgali po buławę hetmańską, poza tym kolekcjonowali wszelkie możliwe godności i honory. Przedstawiciele rodu byli wojewodami, starostami, hurtowo zbierali też urzędy dworskie. Ród rozpadł się na kilka linii, a z upływem czasu w jego szeregach można było znaleźć także różnego rodzaju dziwaków i gwałtowników.

Jednym z nich był zmarły w 1782 r. Mikołaj Bazyli Potocki, mecenas sztuki, ale także osobnik pełen pychy łączący dewocję z pijaństwem, a obżarstwo z okrucieństwem. Zasłynął ze specyficznych polowań – uwielbiał strzelać ze śrutu do kobiet ze swoich posiadłości, które zmuszał do wchodzenia na drzewa i naśladowania głosów ptaków. Wynagradzał jednak sownie swoje ofiary i raczej nie miał problemów ze znalezieniem ochotniczek. Jednocześnie przeznaczał ogromne sumy na inwestycje religijne; to właśnie on ufundował klasztor Bazylianów w Buczaczu.

Jego kuzyn, Franciszek Salezy Potocki, rezydował na ogół w Krystynopolu (obecnie Czerwonogród kilkanaście kilometrów na wschód od dzisiejszej granicy Polski), którego lokację przeprowadził jego dziadek w 1692 r. Tam też na świat przyszedł jego sukcesor, Stanisław Szczęśny, a okolice miasta stały się miejscem wielkiej miłości i tragedii młodego magnata.

Wprawdzie Szczęśny był najlepszą partią Rzeczypospolitej, jednak nie prezentował się specjalnie zachęcająco. Współcześni podejrzewali, że był nieco upośledzony umysłowo, a do tego przejawiał skłonności do egzaltacji i hysterii. Jednak majątek ojca był wystarczającym powodem, by rodzice Szczęśnego planowali małżeństwo, które miało powiększyć stan posiadania i znaczenie rodziny. Jednak starzy Potoccy nie przewidzieli, że ich syn i sukcesor zakocha się w osobie nienależącej do jego sfery.

Okazała się nią piękna Gertruda, córka starosty nowosielskiego, Jakuba Komorowskiego. Wprawdzie ojciec dziewczyny tytułował się hrabią, ale powoływał się na nadania z czasów późnego średniowiecza, a w rzeczywistości był tylko średniozamożnym szlachcicem. Jego majątek obejmował zaledwie kilka wsi,



Marcello Bacciarelli „Portret Franciszka Salezego Potockiego”

FOT. WIKIPEDIA



Jan Chrzciciel Lampi „Portret Stanisława Szczęśnego Potockiego”

FOT. WIKIPEDIA

rodzina rezydowała w Susznie koło Krystynopola. Komorowski regularnie dostawał zaproszenia od Potockiego do jego pałacu, czasami zabierał tam ze sobą swoją 16-letnią córkę. Tam też dziewczynę poznał starszy od niej o trzy lata Szczęśny.

Fatalny romans

Dzieje tragicznego mezaliansu przedstawił Antoni Malczewski, a inwokacja utworu jest jeszcze dość znana. To pochwała ukraińskich stepów i swobody:

*Ej! Ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?
Czy zaoczył zającą, co na stepie skacze?
Czy rozigraszy myśli, chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?*

„Maria” była pierwszą powieścią poetycką w języku polskim – Malczewski, korzystając ze wzorów George’a Byrona i Waltera Scotta, napisał pesymistyczną przypowieść o bezsilności człowieka wobec tajemnicy świata, w którym dopiero śmierć odsłania prawdziwą jakość bytu. Rzeczywistość była jednak bardziej prozaiczna, a Szczęsny nie dorównywał swojemu literackiemu odpowiednikowi. Okazał się wyjątkowo nędzną kreaturą, niegodną uczucia zakochanej kobiety.

Magnat zakochał się w dziewczynie z wzajemnością, od tej pory był też częstym gościem w Susznie. Niebawem Gertruda zaszła w ciążę, w tej sytuacji kochankowie postanowili się pobrać. Doskonale jednak wiedzieli, że rodzice Szczęsnego nie zgodzą się na małżeństwo, dziedzic największej fortuny Rzeczypospolitej nie mógł przecież poślubić zwykłej szlachcianki. Poinformowali jednak o sytuacji rodziców Gertrudy, którzy zaproponowali ślub w tajemnicy i postawienie Potockich przed faktem dokonanym.

Można przypuszczać, że Komorowscy od dawna wiedzieli o romansie Gertrudy i Szczęsnego. Zapewne popierali ten związek, skłigacenie się z potężnym magnackim rodem było marzeniem niejednej rodziny szlacheckiej. Oznaczało to bowiem nie tylko wielki splendor, lecz także szansę na karierę dla członków rodu.

W listopadzie 1770 r. spisano intercyzę małżeńską, a w święta Bożego Narodzenia odbył się cichy ślub w grekokatolickiej cerkwi w Nestwicach. Nie obyło się bez problemów, udzielający ślubu kapłan stwierdził, że nie dopełniono wszystkich formalności, i podobno udzielił sakramentu dopiero pod groźbą pistoletów rodziny panny młodej. W rzeczywistości zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że małżeństwo młodego magnata ze szlachcianką wywoła ogromną burzę, i nie chciał się narażać Potockim. Nic natomiast nie wskazuje na to, by Szczęsny został przymuszony do poślubienia ukochanej, jak później



Leon Wyczółkowski „Gertruda Komorowska na sianach” FOT. WIKIPEDIA

twierdzili jego rodzice. Szczerze kochał Gertrudę i zapewne miał nadzieję, że starzy Potoccy z czasem pogodzą się z mezaliansem.

Być może liczył na to, że jako jedyny spadkobierca będzie traktowany na specjalnych prawach. Jeżeli rzeczywiście tak uważał, wówczas oznaczało to, że w ogóle nie znał swoich rodziców. Ambicje Franciszka Salezego sięgały bowiem bardzo wysoko i nie było tam miejsca dla synowej szlachcianki. Pycha magnata była zresztą tak wielka, że nie przepadał za nim inni możnowładcy, a nawet własna rodzina. Uważano go za człowieka bez skrupułów moralnych, mawiano, że by osiągnąć zamierzony cel, nie przebiera w środkach, a życie innych ludzi nie ma dla niego znaczenia. Podobnie było w przypadku matki Szczęsnego, Anny Elżbiety. Wprawdzie realizowała się w pobożnych uczynkach i wydawała znaczne sumy na cele dobroczynne, ale jednocześnie była osobą niezwykle dumną, zarozumiałą i despotyczną (Zdzisław Pizun, „Historia pewnego mezaliansu”, www.kurierzamowski.pl).

Potoccy szybko dowiedzieli się o ślubie syna i nie ukrywali swojego oburzenia. Podobno przodowała w tym matka Szczęsnego, która uznała małżeństwo za „zbrodnię i niegodziwość”. Według niej miała to być intryga uknuta przez Komorowskich, którzy „uwiedli i przymusili” do ślubu jej syna (Jarosław Komorowski, „Tragedia Gertrudy Komorowskiej”, „Spotkania z Zabytkami” 12/2007). Potoccy wysłali nawet list do Rzymu z prośbą o unieważnienie małżeństwa,

gorzej, że Szczęsny okazał się całkowicie bezwolnym osobnikiem. Pod naciskiem rodziców potulnie zgodził się na porzucenie żony i podjęcie działań mających rozwiązać ten związek. Uprowadził jednak Gertrudę, że ludzie jego ojca będą chcieli ją porwać i do czasu unieważnienia małżeństwa osadzić w jednym z lwowskich klasztorów.

Zbrodnia w Popielec

W tej sytuacji dziewczyna przeniosła się do dworu w Nowym Siole, co jednak jej nie uratowało. 13 lutego 1771 r., w Środę Popielcową, podczas zamieci śnieżnej, dwór został napadnięty przez oddział liczący ok. 150 Kozaków w służbie starego Potockiego. Ciężarną dziewczynę porwano „w samej koszuli”, wrzucono na sianie i ruszono w kierunku Lwowa. Niestety, niebawem ludzie Potockiego spotkali kondukt kilkuset wozów konnych z transportem zboża. Ze względu na zasypy śnieżne nie można było ich szybko wyminąć, a porywacze obawiali się, że dziewczyna będzie wzywała pomocy. Przyciśnięto zatem związaną Gertrudę futrami, a zrobiono to tak skutecznie, że ją uduszono. Zabójcy wpadli w panikę i zdecydowali się pozbyć jej ciała. Zamordowaną dziewczynę wrzucono pod lód rzeki Rata, dopływu Bugu. Zwłoki odnaleziono dopiero wiosną, ale pochowano je bez zawiadamiania rodziny.

Wprawdzie stary Potocki nie zlecał zabójstwa synowej, ale ukrył całą sprawę i oficjalnie wciąż domagał się unieważnienia małżeństwa. Komorowscy nic nie wiedzieli o losach córki, oficjalnie bowiem dziewczynę uprowadzili „nieznani sprawcy”. Porywacze zresztą rozmawiali między sobą dla niepoznaki po rosyjsku (akurat trwała konfederacja barska), zatem oficjalnie Potockiemu nie można było nawet wytoczyć procesu o porwanie.

Prawdy dowiedział się natomiast Szczęśny. Z pokorą przyjął wiadomość o śmierci żony, wprawdzie podobno usiłował popełnić samobójstwo, podrywając sobie gardło szczyrzykiem (!), ale szybko zapomniał o ukochanej. Wyjechał za granicę, następnie poślubił Józefinę Mniszchównę, a małżeństwo doczekało się 11 dzieci. Sprawiedliwości natomiast nie uszli rodzice Szczęsnego: oboje Potocy niebawem zmarli w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Jako pierwsza, w styczniu 1772 r., odeszła Anna (plotkowano, że popełniła samobójstwo). Podobno jej pokutująca dusza miała się pojawiać w klasztorze Benedyktynek w Przemyślu. Kilka miesięcy później zmarł Franciszek Salezy. Oboje zostali pochowani w kościele Bernardynów w Krystynopolu.

Dopiero wówczas Komorowscy oskarżyli Potockich o zbrodnię, ostatecznie w 1774 r. zawarto ugodę ze Szczęsnym jako spadkobiercą morderców. Magnat zapłacił poważne odszkodowanie pieniężne, do tego przepisał na Komorowskich miasteczko Witków Nowy

i kilka wsi. Odszkodowanie umożliwiło Komorowskim uzyskanie potwierdzenia po I rozbiorze Polski swojego tytułu hrabiowskiego od władz z Wiednia.

Szczęśny Potocki już nie powrócił do Krystynopola. Przeniósł się do odległego Tulczyna, niewykluczone, że w dotychczasowej siedzibie nie mógł znieść wymownych spojrzeń służby i sąsiadów. Zresztą niebawem ostatecznie rozwiązał problem Krystynopola, przegrywając posiadłość w karty na rzecz Adama Ponińskiego. Niebawem też uczciwie zapracował na miano największego zdrajcy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jako przywódca konfederacji targowickiej odegrał decydującą rolę w upadku i rozbiorach Polski, popierając politykę rosyjską i zwalczając postępowe reformy.

Podobnie skandaliczne było jego życie prywatne. Po rozwodzie z Józefiną Mniszchówną poślubił słynną Zofię Glavani, wówczas żonę Jana Witta, syna dowódcy twierdzy w Kamieńcu Podolskim. Nowa pani Potocka słynęła z urody i ze skandalicznej przeszłości, karierę zaczynała bowiem jako prostytutka w Konstantynopolu. A chociaż została żoną najbogatszego obywatela upadłej Rzeczypospolitej, nie potrafiła mu dochować wierności. Nawiązała romans z własnym pasierbem (!), młodszym o 16 lat synem Szczęsnego z poprzedniego małżeństwa. Magnat dowiedział się o wszystkim, co zniszczyło życie rodzinne i przyczyniło się do jego śmierci.

Potocki zmarł w 1805 r. w wieku 52 lat, a pogrzeb w Tulczynie zakończył się

makabrycznym skandalem. Po egzekwacjach pozostawiono w kościele ciało magnata w otwartej trumnie, a zmarły miał na sobie mundur carskiego generała przystrojony orderami i klejnotami. W nocy do kościoła wdarli się złodzieje, obdarli zwłoki z kosztowności i nagie rzucili pod ścianę. To niemal symboliczne zdarzenie – przed laty Trybunał Narodowy skazał Potockiego na śmierć i pozbawił go tytułów i godności, a teraz jego odarto z dystynkcji i klejnotów otrzymanych za zdradę ojczyzny.

Grobowce Potockich w Tulczynie nie zachowały się do naszych czasów, podobnie stało się z miejscem pochówku Gertrudy. Wprawdzie w 1906 r. w podziemiach kościoła w Witkowie Nowym odnaleziono szczątki trojga osób, które uznano za zwłoki Jakuba Komorowskiego, jego żony i córki, ale identyfikacja była bardzo niepewna. Pochowano je w przeszklonych trumnach w kaplicy obok kościoła, a odwiedzający szczególnie uwagę zwracali na „główkę foremną, twarz o rysach drobnych, niewątpliwie kiedyś ładnych”, z mumifikowanego ciała dziewczyny. Po 1939 r. trumny jednak zniknęły i obecnie nie ma już materialnych śladów tragedii sprzed wieków. Jeżeli nie liczyć przejmującego obrazu olejnego Leona Wyczółkowskiego z 1883 r. pt. „Gertruda Komorowska na sianach”. Artysta ukazał zamordowaną dziewczynę chwilę po zabójstwie, a jeszcze przed przewiezieniem jej ciała do pobliskiej rzeki w celu zatarcia śladów zbrodni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

BELLONA

WODZU

odstania kulisy najbardziej spektakularnych akcji polskich jednostek po II wojnie światowej

Książka dostępna

KSIEGARNIE **Świat Książki**

swiatksiazki.pl

PARTNERZY

ibp

CSAT

Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Wojska Polskiego

PATRON

POLSKA ZBROJNA

SPECIAL OPS

FMG OUT

CKM

Wojsko

Defence 24

WIELKIBUK.COM



Mirosław Szumiło

**Jakub Berman obsadził
kluczowe stanowiska
swoimi
krewnymi.
Powstała
potężna
sitwa
zamieszana
w afery
i nadużycia
władzy**

Jakub Berman przeszedł do historii Polski przede wszystkim jako szara eminencja u boku Bolesława Bieruta. Jako człowiek, który faktycznie kierował komunistycznym aparatem terroru i propagandą w okresie stalinizmu. Nieznana pozostaje natomiast historia stworzonego przez niego klanu rodzinnego, usadowionego w elitach władzy Polski Ludowej.

Nepotyzm jest zjawiskiem występującym we wszystkich ustrojach politycznych i epokach historycznych. Nie inaczej było w Polsce rządzonej przez komunistów, choć wątek ten wciąż nie został opisany przez historyków. Jednym z dobitnych przykładów może być klan zło-

W PRL

/ Nepotyzm szarej eminencji Bieruta

Czerwony klan Bermana

RYS. POTRZYWIŹYKOWSKI



Jakub Berman na trybunie
zjazdu zjednoczeniowego
PPR i PPS, 1948 r. FOT. PAP

żony z krewnych Jakuba Bermana i jego żony Gustawy. Fakt ten ujawnił słynny uciekinier z bezpieki płk Józef Światły, który w 1954 r. w audycjach nadawanych na falach Radia Wolna Europa demaskował kulisy władzy w PRL. Stwierdził on, że Berman „rozprowadził po kluczowych stanowiskach swą rodzinę”, a w szczególności „Ministerstwo Zdrowia przekształciło się w duży stopniu w domenę prywatnych wpływów towarzysza Jakuba”. Jednakże relacja Światły była uważana przez wielu historyków za przesadzoną lub opartą na zasłyszanych plotkach. Toteż tematu do dziś nie zgłębiano.

Brat żony

Tymczasem konfrontacja opowieści Światły z innymi źródłami potwierdza zawarte w niej informacje o funkcjonowaniu rodzinnego klanu Bermana w elicie władzy. Pisano o tym do Moskwy w tajnych raportach z ambasady sowieckiej w Warszawie. Zwrócono w nich uwagę właśnie na sytuację w Ministerstwie Zdrowia, którym faktycznie kierował dyrektor jednego z departamentów Zygmunt Grynberg, szwagier Bermana, były syjonista. Wspierała go w tym jego

siostra Gustawa, czyli małżonka Bermana.

Zygmunt Grynberg był synem nauczyciela religii żydowskiej z Warszawy. W trakcie studiów medycznych na Uniwersytecie Warszawskim wstąpił do lewicowej żydowskiej organizacji młodzieżowej Jugend, a następnie do partii Poalej Syjon Lewica. Podczas okupacji niemieckiej Grynberg uciekł z warszawskiego getta i ukrywał się u polskiej rodziny, a następnie brał udział w powstaniu warszawskim w szeregach AL. Po wojnie należał do PPR. Od 1945 r. był dyrektorem Departamentu Organizacyjnego, a następnie Departamentu Planowania i Budżetu w Ministerstwie Zdrowia. Charakterystyka partyjna Grynberga z 25 września 1951 r. w dużej mierze potwierdza opinię o jego szerokich wpływach. Stwierdzono w niej m.in.: „Przejawia się u niego zbytnia pewność siebie w postępowaniu i współpracy z departamentami fachowymi. Cecha charakterystyczna: chęć wkraczania do spraw i osób niepodlegających jego kompetencji, co w konsekwencji jest źródłem częstych konfliktów z innymi odpowiedzialnymi pracownikami ministerstwa”.

Gustawa Berman również studiowała medycynę na Uniwersytecie Warszawskim. Należała do organizacji mło-



Adolf Berman z żoną i synem FOT. WIKIPEDIA

■ dzieżowej Pochodnia, gdzie zapewne poznała Jakuba. W okresie II wojny światowej przebywała wraz z mężem w Związku Sowieckim. Początkowo pracowała w „specjalnej poliklinice” dla aktywu partyjnego i oficerów Armii Czerwonej w Białymstoku. Po ewakuacji na wschód była zatrudniona razem z mężem jako wykładowca w strukturach Kominternu. Po powrocie do Warszawy w 1945 r. została naczelnikiem Wydziału Stomatologicznego w Ministerstwie Zdrowia i jednocześnie praktykowała w klinice rządowej. Od 1950 r. kierowała Zakładem Stomatologii w Państwowym Instytucie Reumatologicznym w Warszawie.

W 1952 r. wybuchła afera w Ministerstwie Zdrowia, której głównym bohaterem był Grynberg. Światło opisywał tę sprawę następująco: „Afera polegała na tym, że popełniono ogromne nadużycia na ciężkie miliony złotych z lekarstwami sprowadzanymi z zagranicy, głównie z penicyliną i streptomycyną. Dysponentem tych lekarstw był Grünberg. Miał one iść do aptek dla chorych. Grünberg przydzielał je do aptek, to prawda, ale swoim zaufanym ludziom, którzy na-

tychmiast sprzedawali te lekarstwa na czarnym rynku i płacili Grünbergowi za to grube procenty. Był to więc przydział fikcyjny. Grünberg nie miał obowiązku wyliczać się z tego i wiadomo było, że dzięki tym operacjom uskładał sobie dobrych kilka kilogramów złota”.

Oczywiście zwykli Polacy nie dowiedzieli się o tej aferze. Sprawą zajął się słynny X Departament MBP, który rozpracowywał „wrogów wewnętrznych” w partii komunistycznej. Według Światły obszerny donos w tej sprawie złożył mieszkający w Polsce agent sowiecki nazwiskiem Petruszyński. W tym

czasie Stalin zaostrzył kurs antysemicki, czego przejawem było wykrzyk tzw. spisku lekarzy kremlewskich. W ramach planowanej czystki zbierano też haki na Bermana. Śledztwo w sprawie Grynberga przerwano po śmierci Stalina i w ten sposób Berman uratował swoją głowę. W zachowanej dokumentacji X Departamentu nie ma śladów tej afery, co wskazuje na to, że dokumenty zostały później zniszczone.

Opowieść Światły i dokumenty sowieckie znajdują potwierdzenie w anonimowej relacji wysokiej rangi urzędnika MSZ, który w 1949 r. zbiegł na Zachód. Podkreślał on szczególną rolę Grynberga i jego siostry jako zaufanych lekarzy systemu: „Udało im się, wykorzystując wielkie nazwisko i bezgraniczne wpływy brata względnie szwagra (Bermana), opanować w zupełności wielką i niesłychane możliwości kryjącą w sobie dziedzicę całokształtu organizacji służby zdrowia w Polsce dzisiejszej. Praktycznie Grynberg przy osobach nieznaczących ministrów figurantów – ludowiec dr Litwin lub dzisiejszy minister ze Stronnictwa Pracy, zdzieciniały już staruszek, dr Michejda, był czynnikiem decydu-

Śledztwo w sprawie szwagra Bermana – Zygmunta Grynberga – przerwano po śmierci Stalina i w ten sposób Berman uratował swoją głowę

jącym w Ministerstwie Zdrowia. [...] Wszystko to, co zagranica przez pierwsze lata ofiarowała Polsce (urządzenia całych szpitali, medykamenty itd.), szło praktycznie przez ręce Grynberga. O podziale tych skarbów decydował tylko jedynie Grynberg. W akcji tej zupełnie specjalną rolę odgrywała siostra Grynberga, a żona Bermana”. Według tej relacji Bermanowa wyjeżdżała często do Szwecji, gdzie załatwiała różne interesy służące materialnemu zabezpieczeniu „dynastii Bermanów i Bieruta”. Cytowany dygnitarz z MSZ był osobą dobrze poinformowaną, a jego relacja dotycząca komunistycznej elity władzy w Polsce w wielu kwestiach znajduje potwierdzenie w innych źródłach.

Mężowie sióstr

Dwóch innych swoich szwagrów Berman usadowił w Polskim Radiu, kierowanym przez jego zaufanego towarzysza Wilhelma Billiga. Mąż najmłodszej siostry Jakuba – Ireny, Aleksander Olecki (Sztraubbaum), posiadał tylko wykształcenie zawodowe. Od 1929 r. działał w ruchu komunistycznym i za to trzy lata spędził w polskim więzieniu. W latach II wojny światowej znalazł się razem z innymi członkami rodziny Bermanów w Związku Sowieckim. W 1943 r. został oficerem politycznym WP. Po wojnie pracował kolejno w redakcji „Trybuny Pomorskiej” i Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej (RSW) „Prasa”, a następnie w 1948 r. przeszedł do Polskiego Radia. Kierował kolejno działem publicystyki krajowej i redakcją polityczno-informacyjną. Powszechnie był uważany za szarą eminencję, „politruka” z ramienia kierownictwa PZPR. Oficjalnie oceniano go jako „dziennikarza o dobrym wyczuciu politycznym”, ascetycznego w sposobie bycia, niezbyt sprawnego organizacyjnie, szorstkiego w obejściu.

W Polskim Radiu pracował również w okresie powojennym kolejny szwagier Jakuba Bermana – Adolf Blicher, absolwent studiów inżynierskich w Paryżu, który ożenił się z Anną, siostrą Gustawy i Zygmunta Grynbergów. W okresie II wojny światowej oboje przebywali w Związku Sowieckim. Po wojnie Blicher miał pewne zasługi w odbudowie rozgłośni w Raszynie, za co otrzymał od Bieruta order Polonia Restituta IV klasy. Potem



Grób Jakuba Bermana na Powązkach Wojskowych. FOT. WIKIPEDIA

wysłano go wraz z żoną na placówkę do Nowego Jorku w roli szefa firmy handlu zagranicznego Polasco, która przynosiła jednak ogromne straty. W 1951 r. oboje odmówili powrotu do kraju. Kilka lat później otrzymali prawo stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Młodszy brat

Należy także przypomnieć postać Adolfa Bermana, młodszego brata Jakuba, którego kariera polityczna do 1945 r. rozwijała się odrębną ścieżką, ale później była już powiązana z pozycją brata. Adolf był psychologiem i nauczycielem, absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, działaczem partii Poalej Syjon Lewica. W czasie wojny pozostał pod okupacją niemiecką, na terenie warszawskiego getta. Z ramienia Żydowskiego Komitetu Narodowego pełnił funkcję sekretarza Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Brał udział w powstaniu warszawskim. Po 1945 r. był przewodniczącym Centralnego Komitetu Żydów Polskich i przywódcą partii Poalej Syjon Lewica.

Jego powiązania z bratem miały niewątpliwie wpływ na pewne posunięcia kierownictwa PZPR w sprawach żydowskich. Nielegalna emigracja Żydów do Palestyny organizowana przez Koordynację Syjonistyczną (zwaną Brichą) latem i jesienią 1946 r. (po pogromie kieleckim)

była tolerowana po cichu przez władze, co było efektem uzgodnień poczynionych przez przywódców syjonistycznych z członkami Biura Politycznego Jakubem Bermanem i Marianem Spychalskim. Kierownictwo PPR pozwoliło nawet radykalnie narodowym syjonistom z Hagany szkolić się w obozie w Bolkowiu na Śląsku i zapewniło im komunistycznych instruktorów wojskowych.

W kwietniu 1949 r. Adolf Berman został jednak usunięty ze stanowiska Centralnego Komitetu Żydów Polskich. Nie znamy wszystkich okoliczności tej decyzji, ale należy przypuszczać, że w związku z nowym kursem antysemickim wytyczonym przez Moskwę Jakub nie miał możliwości zablokowania tego posunięcia. Rok później, na fali emigracyjnej, Adolf wyjechał do Izraela. Wstąpił do marksistowsko-syjonistycznej partii Mapam i został członkiem Knesetu. W 1954 r. wraz z grupą rozłamowców z Mapam przeszedł do Komunistycznej Partii Izraela.

Jakub Berman pozostał w kierownictwie PZPR dzięki śmierci Stalina, ale jego pozycja uległa osłabieniu. Nowy sowiecki przywódca, Nikita Chruszczow, kontynuował w złagodzonej formie kurs antysemicki. Również w Polsce doszło do czystek personalnych w aparacie władzy. W styczniu 1954 r. dr Grynberg został nagle odwołany ze stanowiska dyrektora departamentu w Ministerstwie Zdrowia. Objął posadę naczelnego redaktora Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich. W 1957 r. utracił to stanowisko w związku z zarzutami popełnienia nadużyć finansowych. Oleckiego po październiku 1956 r. wyrzucono z Polskiego Radia i z szeregów PZPR. Pracował w Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie prowadził dokumentację prasową.

Klan Bermana rozpadł się wraz z jego upadkiem politycznym na fali odwilży 1956 r. Jednakże w komunistycznych elitach funkcjonowały nadal tego typu kliki oparte na powiązaniach rodzinno-towarzyskich. Jest to fascynujący temat, wciąż czekający na swojego historyka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Miroslaw Szumilo

– pracownik naukowy UMCS w Lublinie i Biura Badań Historycznych IPN. Badacz elit komunistycznych w Polsce.

1585 r. / „Elizabeth: The Golden Age” – film w reżyserii Shekhara Kapura

Anglia **ponad**



Jakub Ostromecki

/ Za Elżbiety I rosła liczba powieszonych katolików, których głowy i poćwiartowane ciała pokazywano ku przestrodze na London Bridge



prawdą

Cate Blanchett jako Elżbieta I

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Elżbieta I FOT. WIKIPEDIA

Shekhar Kapur swoim drugim filmem o Elżbiecie Wielkiej schlebia pisanej od 400 lat angielskiej polityce historycznej, której ważnym elementem jest tzw. legenda negra. Chodzi o przedstawianie Hiszpanii jako kraju ciemniaków i fanatyków religijnych, agresorów i zbrodniarzy. Kapur tłumaczył potem, że film nie jest antyhiszpański ani antykatolicki, ale sprzeciwia się jedynie „ekstremalnym formom religii”. Nie chodzi tu o katolików ani protestantów, ale o fundamentalizm i tolerancję. Jedyni ekstremiści w filmie to oczywiście katolicy.

Król Hiszpanii Filip II w filmie to dość niebezpieczny dziwak i krwawy

błazen, który podryguje na koślawych, pająkowatych nóżkach w mrocznych korytarzach pałacu-klasztoru w Escorial. Wszędzie snują się za nim mnisi i księża, wyśpiewując ponure pieśni. Król skupiony jest na jednym celu: obaleniu „wsztecniczy i bluźnierczyń Elżbiety, która nie ma prawa do angielskiego tronu”.

Jakże inna na tym tle jest Anglia. Dzisiejszy bezwyznaniowy, tolerancyjny widz uzna tamtejszy dwór niemal za swój. Nie ma tu żadnych demonów w sutannach, ale normalni dworzanie ze swoimi namiętnościami i z racjonalnym podejściem do świata. Kapurowi nie wystarczają dialogi. W scenach zatopienia Wielkiej Armady musi posłużyć się patosem i symbolizmem. Z rozbitych

galeonów w toń morską lecą: krucyfiksy, różańce i monstrancje. Wolę życia przejawia tylko koń wyrzucony z pokładu tonącego okrętu. Z brzegu obserwuje tę scenę królowa Elżbieta w zbroi i z czerwonymi włosami ustylizowanymi na antyczną Boudikę (królowa Brytów, postrach Rzymian z I w. n.e.). Im więcej tonie hiszpańskich galeonów, tym więcej światła pada na jej postać.

Królowa dobitnie oświadcza dworzanom i doradcom, że będzie bronić, uwaga, „wolności sumienia i wyznania”! Pod koniec zaś oświetlona niczym święta wygłasza z ekranu mowę do widzów: „Jestem waszą królową, jestem sobą!”.

Wypowiedź Kapura na temat konfliktu Anglii z Hiszpanią powinna stanowić motto tzw. gender studies: „Moja interpretacja Elżbiety pokazuje ją jako osobę dużo bardziej tolerancyjną od Filipa – i tak było w istocie. Jest całkowitą prawdą, że miała w sobie ten rodzaj kobiecej energii. To konflikt pomiędzy Filipem, który nie miał umiejętności akceptowania różnorodności i ludzi mających inne zdanie, a Elżbietą, która miała tę kobiecą umiejętność. Stała cały czas na stanowisku tolerancji”.

„Angielska tolerancja”

Jak wyglądała ta angielska tolerancja w praktyce? Pod koniec lat 70. wielu członków Kościoła anglikańskiego zaczęło z powrotem przechodzić na katolicyzm. „Jeśli w 1559 roku był jeden zagrzały katolik, to teraz jest ich dziesięciu” – pisał doradca Cecil cytowany przez Carolly Erickson w biografii królowej Elżbiety. Odpowiedź władzy był brutalna. „Królewscy agenci najeżdżali domy i budynki uważane za miejsca zgromadzeń konwertytów, ścigali księży i aresztowali wszystkich katolików, o których wiedzieli, że dystansują się wobec protestanckich nabożeństw, i wymierzali im rozmaite kary”. Zwieńczeniem owej kampanii była okrutna egzekucja trzech katolickich duchownych: Brianta, Campiona i Sherwina w Londynie, w 1581 r. Nieszczęśnicy zostali powieszzeni, a następnie wypatroszeni i poćwiartowani. Jako że Briantowi tego dnia źle założono wisielczy sznur, wnętrzości wyrwano mu na żywo. „Wypatroszonym

zwłokom obcięto głowy i każde z nich podzielono na cztery części, by zawiesić je w miejscach najbardziej uczęszczanych przez londyńczyków". Kilka lat później w okrutny sposób zabito ciężarną katoliczkę Margaret Clitherow, miażdżąc ją drzwiami jej własnego domu.

Prawdą jest, że na życie Elżbiety dybało wielu spiskowców. Królowa odpowiedziała terrorem. „Życie w Londynie zamieniło się w koszmar. W nocy na ulicach rozlegały się budzące zgrozę krzyki, w świetle pochodni przesłuchiowano podejrzanych i słychać było odgłosy ciężkich kroków dudniących po bruku. Rosła liczba powieszonych, których głowy i poćwiartowane ciała pokazywano ku przestrodze na London Bridge” – pisała Erickson.

Filmowa wizja tolerancyjnej XVI-wiecznej Anglii urąga również Irlandczykom. Za panowania Elżbiety i za jej zgodą działał na Zielonej Wyspie Humphrey Gilbert. Był to potomek francuskich hugenotów, przyrodni brat występującego w filmie na pierwszym planie Waltera Raleigha. Królowa w 1569 r. powierzyła mu dowództwo w zrewoltowanym hrabstwie Munster. Chełpił się: „Zabijałem każdego, który przynależał, żywił, towarzyszył lub utrzymywał jakichkolwiek wyrzutków lub zdrajców”. Okaleczone głowy ofiar Gilbert kazał potem wbijać na piki i ustawiać w rzędach wzdłuż ścieżki prowadzącej do swojego namiotu. Według dowódcy widok głów ojców, braci, dzieci, krewnych i przyjaciół wprowadzał pośród przeciwników paraliżujący strach. „Terror szerzony pośród ludu skraca wojnę” – mawiał w duchu Machiavellego. W nagrodę za trwającą cztery lata pacyfikację Elżbieta pasowała rzeźnika na rycerza. Kapur, zgodnie z brytyjską propagandą, milczy na temat owoych masakr.

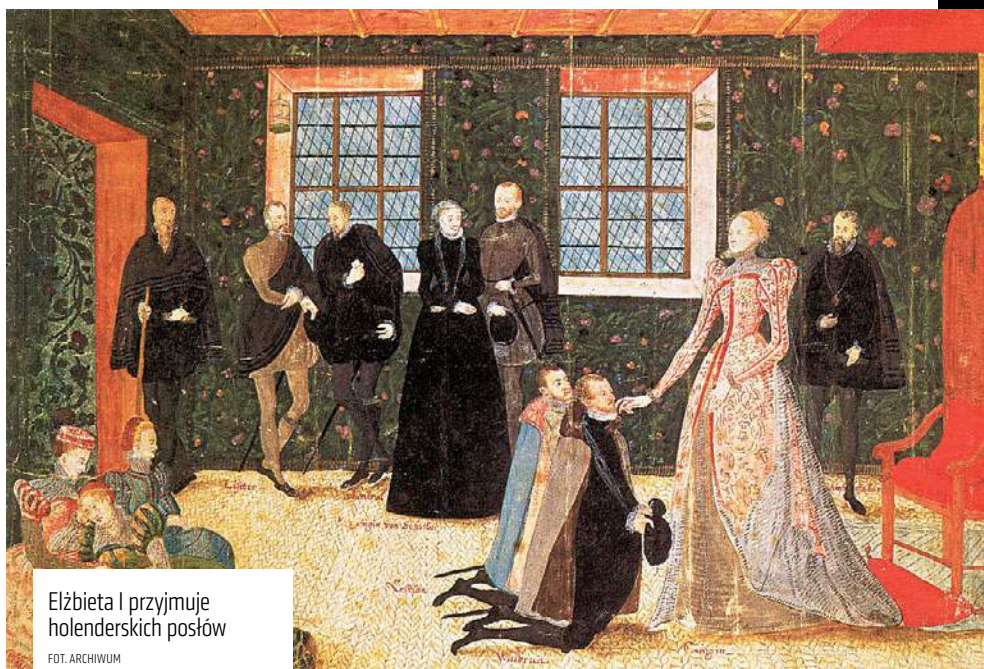
Straszna Hiszpania

Hiszpania też miała na koncie przesładowania, ale nie była wcale siedliskiem ciemnoty. „Król założył tam seminarium i szkołę i zachęcał mnichów do rozwijania zainteresowań naukowych. Podarował klasztorowi swoje książki, mapy i starożytności, igrał z myślą, czy nie zbudować również obserwatorium astronomicznego” – czytamy o pałacu Escorial w biografii Filipa II Geoffreya

Parkera. Groteskowy, z naszego punktu widzenia, wygląd dworzan nie musiał charakteryzować tylko Hiszpanów: „Pyszni się pretensjonalnymi kaftanami o wymyślnych krojach, z wielkimi rękawami, zdobionymi kamieniami szlachetnymi i monstrualnie krótkimi, szerokimi spodniami wypchanymi wełną, gałganami lub otrębami, by zachowały sztywność i odchyłały się od nóg. Chodzenie w takich spodniach stawało się sztuką” – pisała Erickson o młodych arystokratkach na angielskim dworze.

na jej życie. Jednak i Filip dwukrotnie był celem zamachowców, tym razem francuskich. Oboje władcy umieli również zaskarbić sobie miłość poddanych. Filip, podróżując często bez eskorty, przestawał ze zwykłymi wieśniakami, studentami czy z mieszczanami. Kostyczny i niedostępny był tylko w kontaktach z ambasadorami i pierwszymi dwiema żonami.

W filmie przyczyny wojny Hiszpanii z Anglią to alternatywna wizja dziejów. Filipa do wojny popycha przede wszyst-



Elżbieta I przyjmuje holenderskich posłów

FOT. ARCHIWUM

Filip II cierpiał na artretyzm i to z tego powodu Kapur kazał aktorowi groteskowo utykać. Elżbieta też jednak nie była okazem zdrowia i urody, o czym reżyser nie chce pamiętać. Również ona utykała – raz z powodu wrzodu nad kostką, raz z powodu bólu w biodrze. Jej twarz pokrywały ślady po ospie.

Dziwactwa były cechą obydwu monarchów, nie tylko Filipa. To Angielka, nie Hiszpan, miała w zwyczaju kłąć, poniżać, szarpać i bić swoje dwórki pod wpływem złego humoru. Jedną przy tej okazji cięła po dłoni kuchennym nożem. W filmie wyzwiska i szarpanie dwórki zdarzają się tylko raz, ale większość widzów znalazłaby dla tej akurat sytuacji usprawiedliwienie – wszak dwórka Bess Throckmorton odbiła królowej Raleigha!

Terror, który rozpętali doradcy Elżbiecie, tłumaczy się często próbami zamachu

kim fanatyzm religijny. Reszta okoliczności nie ma dla reżysera większego znaczenia. Straty poniesione przez Hiszpanię wskutek korsarskich napadów Anglików interesują go tylko w kontekście kariery Raleigha. Nie liczy się to, że Filip miał pretensje do angielskiego tronu wynikające ze związków rodzinnych, że Anglia wspierała antyhiszpańskie powstanie w Niderlandach, i co najważniejsze – sprawy kolonii. Anglicy uważali podział świata między Hiszpanów i Portugalczków za głęboko niesprawiedliwy. Oni też przecież chcieli mieć prawo do łupienia Indian.

Jednym z ważniejszych wątków filmu jest spisek mający na celu zabicie Elżbiety. Filmowy zamachowiec Anthony Babington, inspirowany przez jezuitę Ballarda, wpada do kaplicy, gdzie modli się Elżbieta z dwórkami. Wykrzykuje



obelgi i groźby, wyciąga pistolet, celuje w królową, naciska spust, ale broń nie wypala. Wszyscy spiskowcy trafiają więc do lochu, ale sekretarz stanu Walsingham zastanawia się, dlaczego jezuita nie naładował pistoletu, który wręczył zamachowcowi. W tym samym czasie sekretarz przechwytuje listy Marii Stuart mające świadczyć o jej podżeganiu do zamachu. Szkocka królowa zostaje zatem ścięta. Dopiero wtedy Walsingham dostrzega, że Filip przewyższył go w knuciu intryg. Wszystko było ukartowane przez Hiszpanów. Elżbieta miała przeżyć zamach właśnie po to, by rozkazać ścięcie Marii. W ten sposób Filip może powiedzieć całemu światu, że płynie do Anglii pomścić zamordowaną szkocką królową. Zdobyte królestwo może zachować jednocześnie dla siebie lub swojej córki bez potrzeby oddawania jej Marii Stuart, która miała przecież pewne prawa do angielskiej sukcesji.

Prawdziwy Spisek Babingtona miał dużo mniej spektakularny przebieg i został zduszony w zarodku, choć operacja przechwycenia korespondencji szkockiej królowej, w której Anglicy użyli kilku podwójnych agentów i prowokatorów, mogłaby służyć za wzór nawet dla dzisiejszych służb wywiadowczych. To sama Maria, być może prowokowana przez wywiad Walsinghama, była głównym inspiratorem zamachu, nie Filip. Hiszpański monarcha potrzebował przecież katolickiej królowej żywej, aby mogła zasiąść na tronie po obaleniu Elżbiety. Pomysł samodzielnych rządów nad Anglią był niedorzeczny nawet dla tak potężnego człowieka jak Filip II.

Korsarz

Walter Raleigh pojawia się na zamku Whitehall, oprócz znoszonego ubrania mając tylko sławę żeglarza oraz tupet i urok osobisty. Stojąc w tłumie dworzan, rzuca nagle pod nogi swoją kurtkę, ostrzegając królową: „Uważaj Pani, kałuża!”. Potem na audyencji przedstawi kilka egzotycznych roślin i bulw, a także dwóch indiańskich wodzów, których przywiózł właśnie z nowo założonej kolonii w Ameryce.

Elżbieta lubiła takich oryginałów jak Raleigh, a oprócz tego bardzo potrzebo-

wał fachowców od niszczenia hiszpańskich statków, toteż korsarz szybko dostaje zaproszenie do królewskich komnat, co – jak łatwo się domysleć – staje się początkiem romansu. Doradcy królowej są nadąsani. Lata

przecież lecą, a Elżbieta zamiast szukać małżonka wśród koronowych głów Europy, zabawia się z awanturnikiem-poetą, który absolutnie nie nadaje się na króla. Przez cały film Raleigh jest szarmancki, uczuciowy, humanitarny, szaleńczo odważny.

Z dowolnej biografii angielskiego korsarza, choćby autorstwa Henrietty

Nawet najwięksi śmiałkowie kierujący branderami nie zachowywali się jak filmowy korsarz. W krytycznym momencie uciekali na rufę...

Buckmaster, wyłania się jednak zupełnie inny obraz śmiałka. Gdy rozgrywa się akcja filmu, jego zasługi związane były raczej z lądem niż morzem – daleko na zachód wyprawiał się jego kuzyn Richard Grenville. Raleigh dostał wprawdzie misję założenia kolonii w dzisiejszej Karolinie Północnej, ale osobiście tam nie dotarł. W 1585 r. był już na dworze dobrze znany. Nie potrzebował forteli, aby dostać się w pobliże królowej.

W latach 70. Raleigh był oficerem armii angielskiej, która tłumiła irlandzkie powstanie Desmondów. Był dowódcą odznaczającym się brawurą i jednocześnie okrutnym. W listach do królowej nie krył potrzeby egzekucji irlandzkich elit. W czasie walk z Wielką Armadą nie dość, że nie dowodził ani jednym okrętem, to jeszcze całą kampanię spędził na wybrzeżu, mając przydzielony do obrony pas ziemi, skąd wywodził się jego ród. W bitwie walczył natomiast jego galeon.

Kapur udratyzował bitwy morskie Wielkiej Armady z Anglikami. To dlatego główne starcie toczy się przy północnych brzegach kanału La Manche. Wszystko musi przecież obserwować z wysokości klifu królowa. Wynik nie jest pewny. „Tracimy zbyt dużo okrętów” – alarmuje w pewnym momencie głównodowodzący Charles Howard. Dodaje jeszcze, że Hiszpanie „mają przewagę ogniową”.

W krytycznym momencie jeden z dowódców wpada na pomysł wysłania na stłoczonych Hiszpanów branderów. Pierwszy płonący okręt naprowadzony jest oczywiście przez Raleigha. Bohaterski korsarz płynie na nim sam, z dziobu wypatrując celu. W ostatniej chwili skacze do morza. Brandery czynią spustoszenie w hiszpańskim szyku. Galeony zaczynają płonąć, wybucha amunicja. Reszty zniszczenia dopełnia ogień angielskich dział.

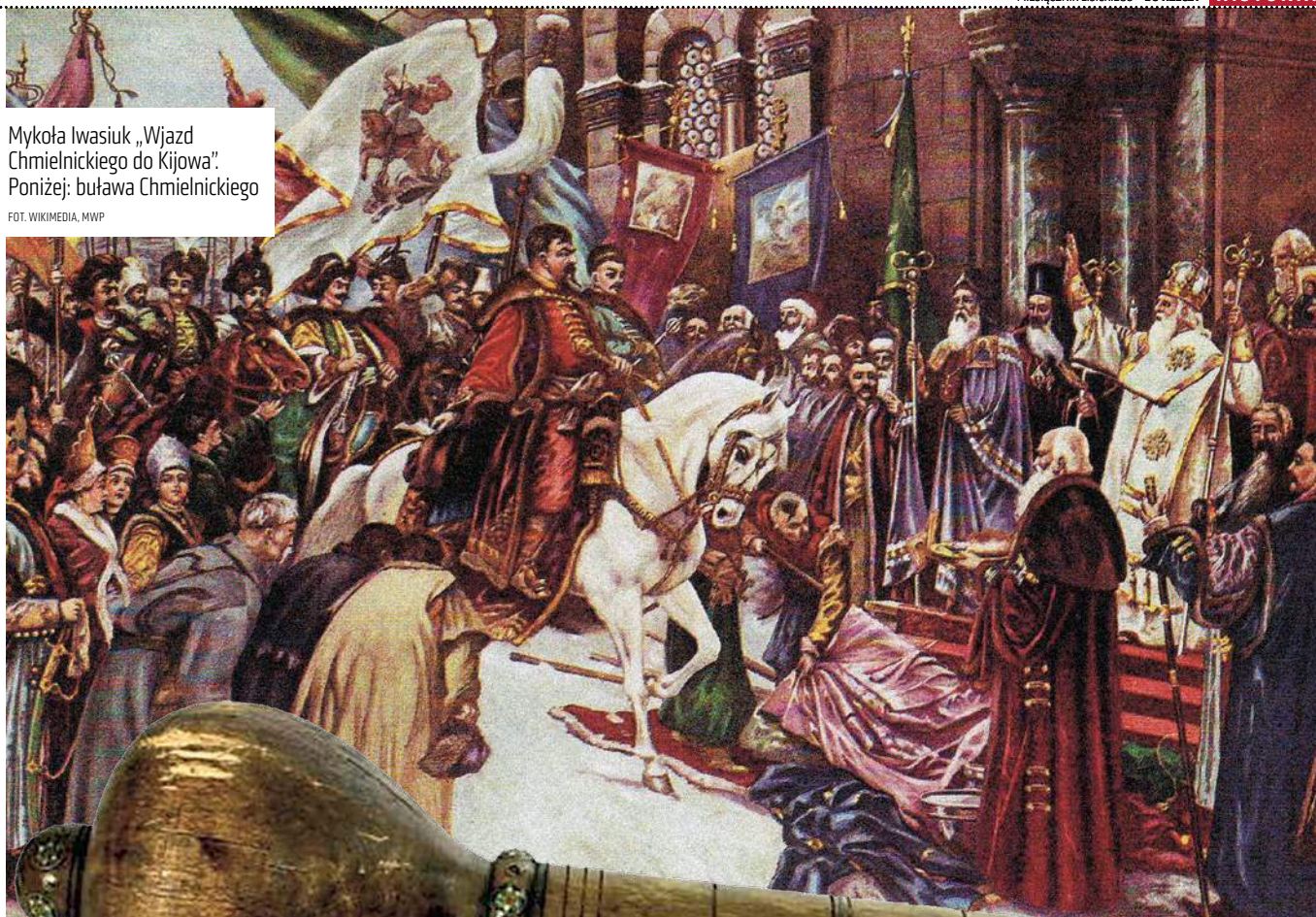
Jeśli Elżbieta miałaby obserwować starcie flot, to musiałaby to robić z wybrzeży Kornwalii czy wyspy Wight. Niewiele by jej to dało, albowiem pierwsze trzy starcia morskiej kampanii były nierozstrzygnięte. Hiszpanie stracili w nich co prawda dwa statki, ale w wyniku katastrof wewnątrz swojego szyku, a nie ognia nieprzyjaciela czy abordażu. Decydujący bój tej wojny rozegrał się na wysokości Gravelines u wybrzeży Francji. Hiszpanie rzucili tam kotwice nie dlatego, że mieli zbyt rozciągnięty szlak, ale w oczekiwaniu na posiłki z Niderlandów. Tam faktycznie dopadły ich brandery, co rozproszyło flotę i naraziło na ataki Anglików. Kilka hiszpańskich galeonów zostało zniszczonych, ale Anglicy wbrew dramatycznym kwestiom z filmu nie stracili ani jednego.

Raleigh – jak już powiedzieliśmy – nie brał w ogóle udziału w tej bitwie. Nawet najwięksi śmiałkowie kierujący branderami nie zachowywali się jak filmowy korsarz. W krytycznym momencie uciekali na rufę, gdzie wcześniej wyrąbano spory otwór. Przez niego dostawali się na holowaną za okrętem szalupę. Owa „przewaga ogniowa”, którą straszy filmowy Howard, jak na ironię powinna być przyczyną strachu Hiszpanów, nie Anglików. To przecież angielskie statki, dzięki zastosowaniu nowatorskiego systemu podwozi dział okrętowych, były w stanie oddać kilkakrotnie więcej strzałów niż Hiszpanie, o czym barwnie opowiedział Paweł Wieczorkiewicz w „Historii wojen morskich”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Mykoła Iwasiuk „Wjazd
Chmielnickiego do Kijowa”.
Poniżej: buława Chmielnickiego

FOT. WIKIMEDIA, MWP



Ukraina / Od hetmana kozackiego do prezydenta Zełenskiego

Buława ukraińskich hetmanów



Prezydent Wołodymyr
Zelenski FOT. AFP/EAST NEWS



Piotr Semka

Głowica jest inkrustowana rubinami, szmaragdami i szafirami. W środku buławy ukryto sztylet

Sługa Narodu – tak nazywa się partia Wołodymyra Zełenskiego, świeżo wybranego prezydenta Ukrainy. Ugrupowanie to idzie do wyborów z nowym logo – sylwetką prezydenta na rowerze, ale z buławą kozacką w ręku. Prezydent na rowerze to element zmiękczenia dość nadętego i pozbawionego luzu wizerunku ukraińskich przywódców. Powagi Zełenskiemu ma dodawać buława. Należy ona do insygniów zwierzchników państwa ukraińskiego wręczanych podczas prezydenckiej przysięgi.

W Polsce buławy kojarzą się już tylko z tytułem marszałka Polski. W III RP nikt tego tytułu nie otrzymał. W żadnym innym kraju buława nie stanowi najwyższego symbolu władzy państwowej. Dlaczego Ukraińcy przywiązują do niej tak ogromną wagę?

Symbol władzy

Niepodległa Ukraina widzi swe korzenie w Rusi Kijowskiej Włodzimierza Mądrego i w Hetmanacie kozackim, który wyłonił się w XVII w. Po Rusi Kijowskiej współczesna Ukraina odziedziczyła sym-

bol Tryzubą, a po hetmanach kozackich – symbol buławy.

Ukraińcy za pragęnę swą tradycję państwowej uważają Sicz Zaporoską, która powstawała od XVI w. jako społeczność uciekinierów spod władzy magnatów na Zaporozżu. Ta specyficzna quasi-republika wolnych wojowników wyrastała w luźnej łączności z Rzeczpospolitą, która od czasów Stefana Batorego próbowała jakoś wpręgnąć ten anarchiczny twór w swój system wojskowy.

Siłą rzeczy to polskie i litewskie symbole władzy były tu wzorem. Na tej zasadzie przywódca Kozaków – ataman koszowy – kopiował status hetmana w systemie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony. W ślad za władzą hetmańską symbolem władzy atamańskiej stała się buława. A potem, gdy Chmielnicki stworzył państwo kozackie, a Rzeczpospolita uznawała godność wiernych jej hetmanów kozackich, buława stała się atrybutem najwyższej władzy.

Sama ta nazwa ma korzenie tureckie i wywodzi się od obucha – broni zakończonej najeżoną kolcami głowicą, służącą do rozbijania hełmu i czaszki przeciwnika. Jej geneza sięga starożytnego Egiptu, Mezopotamii, Persji, a wreszcie imperium osmańskiego.

To stamtąd przybywały do Polski bojowe lub ozdobne buławy wykonywane z drogieńskich kruszców, inkrustowane drogimi kamieniami, często z rączką z kości rzadkich zwierząt. W Polsce buława stała się oznaką władzy hetmana w XVI w., a potem hetmanów kozackich.

Na ich portretach trzymana w ręku buława jest wyraźnie eksponowana jako symbol najwyższej władzy. Na pomniku Bohdana Chmielnickiego w Kijowie z 1888 r. konna postać wskazuje buławą na wschód. Gest ten jest zależnie od sympatii interpretowany jako wskazanie wroga lub – jak chcą rusofile – jest wezwaniem do sojuszu z Rosją.

Buława Chmielnickiego zachowała się do dziś i jest w Polsce. Zdobyte na Kozakach insygnium długie lata znajdowało się w zbiorach Ordynacji Krasińskich. Po II wojnie światowej buława trafiła do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Wykonana jest z rogu nosorożca, który był wyjątkowo cennym surowcem na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Głowica inkrustowana jest mosiądzem, srebrnym drutem i drewnem. Kiedyś elementem buławy był trzonek z kości słoniowej, ale część ta zniknęła w czasie wojny.

W polskiej tradycji wojskowej buława miała charakter symbolu władzy hetmana, a w XX w. marszałka Rzeczypospolitej Polskiej. 14 listopada 1920 r., po zwycięstwie nad nawałą bolszewicką, wręczono ją pierwszemu marszałkowi Polski – Józefowi Piłsudskiemu. Otrzymał ją z rąk zwykłego żołnierza frontowego. Wcześniej poświęcił ją w czasie uroczy-

stej mszy biskup połowy Stanisław Gall. Kolejna uroczystość wręczenia buławy odbyła się 16 lat później, w 1936 r., gdy prezydent Ignacy Mościcki wręczył ją marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi.

Przeciwnicy tej nominacji wskazywali, że tytuł marszałka i wręczenie buławy winny być jedynie uwieńczeniem zwycięskiej wojny. A nawet największe zasługi Śmigłego-Rydza z wojny 1920 r. nie dawały podstaw do aż tak wysokiej nominacji. Po wojnie, w maju 1945 r., komunistyczna Krajowa Rada Narodowa wręczyła buławę – wraz z tytułem marszałka – Michałowi Roli-Żymierskiemu. Jego następcą, Konstanty Rokossowski, komunistyczny marszałek z sowieckiej nominacji, odrzucił propozycję otrzymania buławy, twierdząc, że taka uroczystość kojarzyłaby mu się z „sanacyjnymi” czasami.

W ZSRS buławy wręczono marszałkom po II wojnie światowej, ale jako pamiątkowy podarunek w ozdobnym pudełku. Tak było np. z marszałkiem Aleksandrem Wasilewskim. Nie używano ich w czasie publicznych wystąpień sowieckich marszałków.

Powrót do tradycji

Pierwszym odniesieniem do prastarej symboliki ukraińskiej było – po upadku komunizmu nad Dnieprem – wprowadzenie w 1991 r. przysięgi prezydentów Ukrainy na Ewangelię Peresopnicką, uznawaną za narodowy skarb Ukrainy. Jest to gruba, iluminowana Biblia wykonana w latach 1556–1561 w monasterze Panny Najczystszej w Peresopnicy na Wołyniu. Ta ważąca 9,3 kg księga zawiera przekład Ewangelii z języka staro-cerkiewno-słowiańskiego na mowę ruską. Od 1948 r. ten bezcenny manuskrypt przechowywany jest w Bibliotece Narodowej Ukrainy im. Władimira Wiernadskiego w Kijowie.

Już w grudniu 1991 r. stanowiła ona element przysięgi prezydenta Leonida Krawczuka. Potem kolejni kładli rękę na ewangeliarzu peresopnickim, a palcami dotykali egzemplarzu obecnej konstytucji ukraińskiej.

Dopiero w 1999 r. – po drugiej wygranej następcy Krawczuka, Leonida Kuczmy – pojawiła się idea wręczenia nowemu prezydentowi poślizanej buławy jako symbolu głowy państwa.

Było to nawiązanie do buław hetmanów kozackich jako wodzów państwa ukraińskiego. Datowany na 29 listopada 1999 r. „dekret o symbolice państwowej głowy państwa” zalicza do insygniów prezydenckich: sztandar, łańcuch i właśnie buławę.

Punkt 10 ustawy stanowi, że „Buława Prezydenta jest wykonana ze złożonego srebra. Ramiona i wierzch maczug są ozdobione dekoracyjnymi ornamentami i ozdobione drogimi kamieniami. Obudowa... wykonana jest z mahoni, ozdobionego reliefowym wizerunkiem Małego Godła Państwowego Ukrainy wykonane z złotego metalu.

Jak podkreśla się w ustawie: „Buława Prezydenta Ukrainy świadczy o ciągłości wielowiekowych tradycji historycznych formacji państwa ukraińskiego”.

Głowica buławy jest inkrustowana rubinami, szmaragdami i szafirami. W środku buławy jest ukryty sztylet, który ujawnia się po wykonaniu odpowiedniego ruchu. Sztylet ma złoty graverunek w języku łacińskim, który brzmi: „Omnia reventur” („Wszystko wraca”). Napis po łacinie był demonstracją zwrotu Ukrainy na Zachód i odsunięcia się od tradycji ruskich.

Buławę podaje nowo wybranemu prezydentowi na czerwonej aksamitnej poduszce oficer gwardii honorowej Ukrainy.

Gdy w 2005 r., już po pomarańczowej rewolucji, prezydencką przysięgę składał Wiktor Juszczenko, uroczystości towarzyszyła buława Chmielnickiego, którą



Bohdan Chmielnicki FOT. WIKIPEDIA

na tę okazję – oraz na potrzeby wielkiej wystawy o liderze powstania kozackiego z połowy XVII w. – wypożyczono ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Ukraińcy od lat sugerują Polsce oddanie tej pamiątki, ale jednocześnie odrzucają wnioski Warszawy o odzyskanie np. części dawnych kolekcji lwowskich: Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zbiorów Orzechowicza, biblioteki ks. Witolda Czartoryskiego, regaliów i pamiątek historycznych ze zbiorów Łozińskiego, pamiątek narodowych ze zbiorów Muzeum Narodowego im. Jana III. W końcu buława Chmielnickiego trafiła z powrotem do Warszawy. Juszczenko w trakcie niektórych wieców wymachiwał przed rodakami kopią buławy Chmielnickiego, tyle że była to kopia wręczona mu w przededniu objęcia urzędu prezydenta przez starszyznę ukraińskiego kozactwa pod pomnikiem Chmielnickiego w Kijowie.

Buława wykonana za prezydentury Leonida Kuczmy posłużyła do uroczystości zaprzysiężenia wszystkich kolejnych prezydentów – Wiktora Janukowycza, Pawła Poroszenki i ostatnio Wołodymyra Zełenskiego.

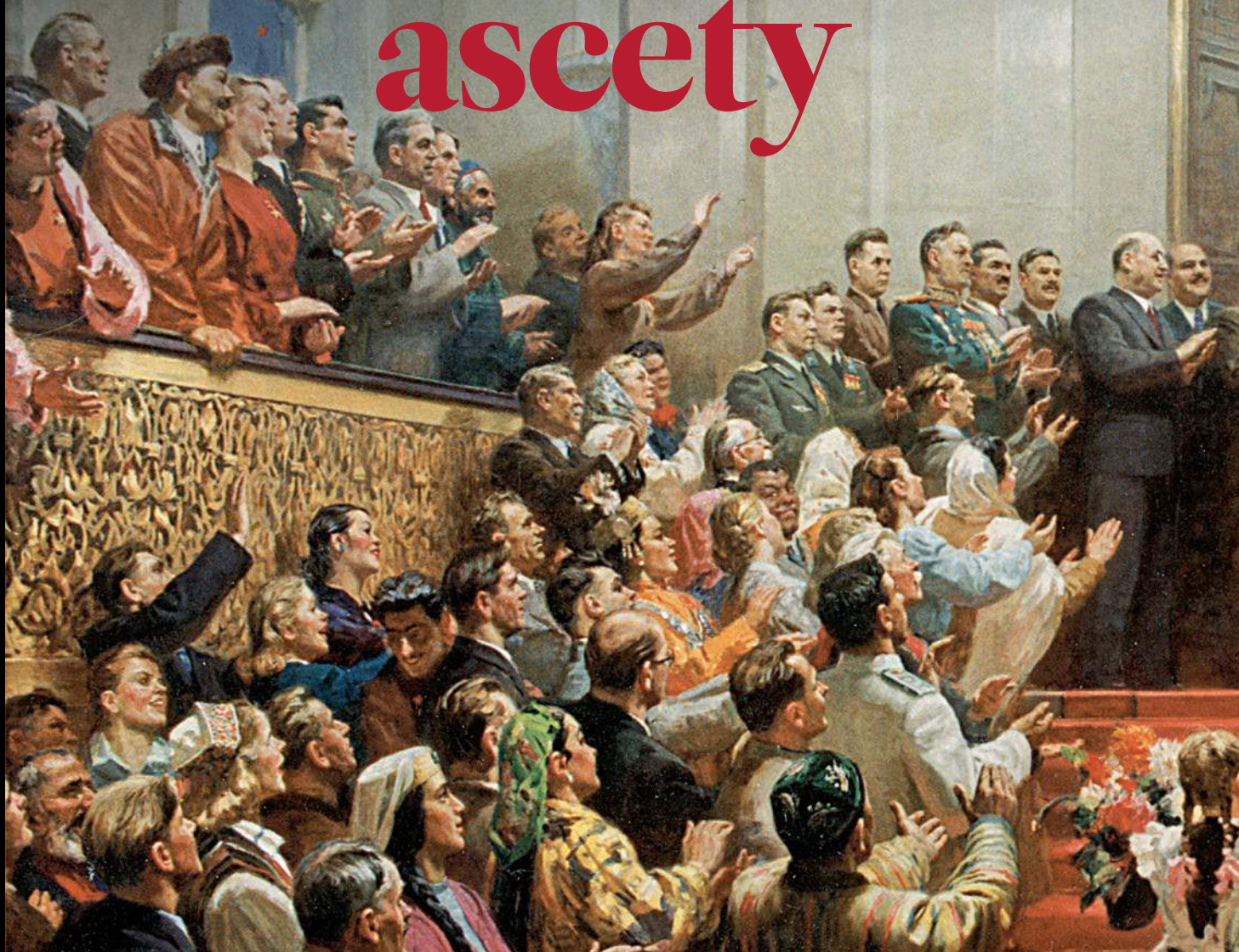
Przy okazji warto wspomnieć o popularnym wśród Ukraińców przekonaniu o złych znakach w czasie przysięgi. Czarna seria zaczęła się w czasie przysięgi Janukowycza, gdy otwarte, spore drzwi do sali Rady Najwyższej jakiś niespodziewany przeciąg zamknął z hukiem w trakcie przysięgi. Janukowycz nie ukończył kadencji i po masakrze na Majdanie musiał uciekać do Rosji. W 2014 r., w trakcie przysięgi Poroszenki, stracił przytomność obecny na sali generał, jeden z deputowanych. Wreszcie w czasie ostatniej przysięgi Zełenskiego kolejny przeciąg zrzucił z aksamitnej poduszki z buławą legitymację prezydencką.

Obserwując szacunek Ukraińców dla starodawnych symboli, odczuć można pewną zazdrość. Polskie uroczystości objęcia prezydentury pozbawione są symboli sprzed wieków. Dlaczego prezydenckiej przysięgi nie można by składać na średniowieczne modlitewniki albo na miecz Szczerbiec? A może polski minimalizm prezydenckiej przysięgi oznacza, że jesteśmy na tyle już zakorzenieni w historii, iż nie potrzebujemy pamiątek z dawnych wieków?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pamięć ZSRS / Kilka słów prawdy o życiu bolszewickiego imperatora

Mit Stalina ascety



Mikołaj Iwanow

/ Dacze, limuzyny, służba, egzotyczne wina i potrawy. Józef Stalin lubił otaczać się luksusem

Po upadku światowego komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego na początku lat 90. ubiegłego stulecia pojawiła się nadzieja, że na wschód od Polski już nigdy nie odrodzi się imperium zdol-

Jurij Kugach „Chwała
wielkiemu Stalinowi!”

FOT. GETTY IMAGES



ne zagrozić sąsiadom. Wydawało się, że po przemówieniu prezydenta Federacji Rosyjskiej Borysa Jelcyna w amerykańskim Kongresie duch mocarstwowości znikł za Bugiem na zawsze. „Świat może spać spokojnie – mówił Jelcyn – idea komunizmu, która rozsiewała na ziemi

ziarna wrogości społecznej, nienawiść i bezprzykładne okrucieństwo, która zastraszała ludzkość, upadła na zawsze. Jestem tu dlatego, aby zapewnić: nie damy jej odrodzić się w naszym kraju... Doświadczenia ostatnich dziesięcioleci uczą nas: komunizm nie ma

oblicza ludzkiego! Wolność i komunizm są sprzeczne”.

Minęło zaledwie parę dziesięcioleci, kraj Jelcyna się zmienił. Nie wchodzimy w szczegóły obecnej polityki międzynarodowej Rosji, którą można krytykować na różne sposoby. Zwrócimy jednak uwagę na bardzo niepojęte zjawisko. Duch imperialny odradza się w duszach ludzkich. Świadomość bycia imperium okazuje się tym spoiwem, które dziś jednoczy społeczeństwo, które daje wyjątkowo wysokie poparcie przywódcom kraju, reagującym na zapotrzebowania duchowe własnego narodu.

Według danych jednego z nielicznych niezależnych ośrodków badania opinii społecznej Centrum Lewada w ostatnich latach tęsknota za imperialną przeszłością ogarnia coraz szersze kręgi społeczeństwa rosyjskiego. Ostatnie badania przeprowadzone na terenie całej Rosji wykazały, że ponad 70 proc. Rosjan uważa, iż Stalin odegrał raczej pozytywną rolę w historii. Stale wzrasta liczba osób, które negują nieludzkie, terrorystyczne oblicze stalinizmu. Dzisiaj jedynie 45 proc. ankietowanych stwierdza, że ofiary stalinizmu były niepotrzebne. Dziesięć lat temu w podobny sposób traktujących terror komunistyczny było ponad 60 proc. W kraju powstają nowe pomniki Stalina, mnożą się książki o „wielkim zwycięzcy Hitlera”, powstają filmy fabularne i seriale o życiu prywatnym kremlowskiego dyktatora.

18 rezydencji

W społeczeństwie nadal szeroko rozpowszechnione są opowieści o ascetyzmie Stalina i innych sowieckich przywódców. To są niewątpliwie mity, stanowiące dziś swoistą żywną glebę dla odrodzenia imperialnej świadomości narodu. Pogłębiają te mity również rosyjskie środki masowego przekazu, zarówno te pod kontrolą państwa, jak i niezależne. Na podobne półprawdy istnieje ogromne zapotrzebowanie społeczne. Dotyczy to przede wszystkim samego Stalina. Wielu Rosjan jest święcie przekonanych, że „przywódca narodów” spał w twardym żołnierskim łóżku, ubierał się na co dzień w ten sam przarty mundur, jadł i pił bardzo skromnie, otrzymywał zapłatę za swoje kierowanie państwem na poziomie wysoko

■ wykwalifikowanego robotnika i nigdy nie pozwalał sobie ani swym bliskim na jakikolwiek przepych w życiu prywatnym. Jakże dalekie są te mity – pociągające dla milionów Rosjan – od prawdy historycznej.

W rzeczywistości przepychu, otaczającego przywódcę państwa proletariackiego, mogłoby pozazdrościć wielu monarchów, imperatorów i innych absolutnych władców. Niewielu współczesnych miliarderów Zachodu i Wschodu może pozwolić sobie na podobny styl życia. Córka Stalina, Swietłana, w swoich wspomnieniach o życiu prywatnym ojca, wydanych początkowo na Zachodzie, pisze: „On nigdy nie wydawał żadnych pieniędzy, zupełnie nie miał takiej potrzeby. Jego codzienne potrzeby, mieszkania, służące, jedzenie, ubranie opłacało państwo. Na jego stół jadalny przywożono ryby ze

cone w twierdze. Stalin nie bez podstaw obawiał się zamachu na własne życie, dlatego teren rezydencji (przeważnie od 50 do 100 ha) otaczano kilkoma ogrodzeniami: drutem kolczastym, wysokim metalowym płotem, zasiekami. Specjalne oddziały NKWD pilnowały bezpieczeństwa rezydencji od zewnątrz. Niekiedy takie oddziały liczyły po kilka tysięcy osób. Wewnątrz ogrodzenia czuwała już osobista ochrona dyktatora.

Każda z rezydencji miała stały personel obsługi, pracujący nawet wtedy, kiedy Stalina tam nie było. Mnogość i skład tego personelu poraża. To byli lekarze i pielęgniarki, kucharze i kelnerzy, kierowcy, ogrodnicy i nawet toksykolog, mający za zadanie sprawdzać jakość jedzenia przed spożyciem przez Stalina i jego otoczenie. W momencie przybycia Stalina do tej czy innej rezydencji liczba

Stalin był tylko raz, w niektórych nie było go wcale, jednak wszędzie zawsze wszystko było gotowe na jego ewentualne odwiedziny.

Wyposażenie tych rezydencji nie miało nic wspólnego z ascetyzmem. Przepych i bogactwo przerażają. W rezydencji Nowyj Afon, znajdującej się w górach kaukaskich, zbudowano specjalny tunel podziemny prowadzący na zamkniętą piękną plażę. Każda z moskiewskich rezydencji miała podziemny bunker, który w razie potrzeby mógł przekształcić się w centrum dowodzenia krajem. W rezydencji Missiury zbudowano specjalną wannę porcelanową, która nie pozwalała wodzie stygnąć. W rezydencji Borżomi schody były zbudowane w ten sposób, aby Stalin, cierpiący czasem na zapalenie korzonków, miał wygodę wchodzenia na górę. Meble dla rezydencji wykonywano z bardzo drogiego drewna. W Moskwie robeniem mebli dla rezydencji Stalina zajmował się specjalny zakład meblarski.

Wszyscy pracownicy rezydencji Stalina, od lekarza do sprzątaczk, byli etatowymi pracownikami NKWD, co gwarantowało im niesamowite przywileje: dostęp do specjalnych sklepów z deficytowymi towarami, wysokie zarobki, własne bezpieczeństwo itd. Jednak dostać się na podobną posadę nie było prosto. NKWD sprawdzało każdego kandydata bardzo szczegółowo. Funkcjonowanie rezydencji odbywało się według zasady: w każdej chwili trzeba być gotowym do przyjęcia wysokiego gościa – gospodarza. Dlatego prawie w każdej rezydencji były dwie równorzędne ekipy obsługi – tak, aby można było pracować non stop 24 godziny na dobę.

Na utrzymanie wodza w Związku Sowieckim wydawano ogromne pieniądze, czego nigdy nikt nie kontrolował i nawet nie próbował skontrolować. Sam Stalin nie interesował się kwotami na swoje utrzymanie. Wystarczało jedynie jego kiwnięcie głową lub ironiczna aluzja i na Kreml lub do jednej z rezydencji dostarczano wszystko, czego chciał dyktator. Oto, jak jeden z bywalców na Kremlu opisywał prawie codzienne wieczery u Stalina. „Zwyczajnie kolacja u Stalina rozpoczynała się o 10 lub 11 wieczorem i kończyła się o 4–5 nad ranem. Zapraszano 8–12 osób, przeważnie z jego najbliższego otoczenia. Wykwintne dania podawano na stół w ogromnych ilościach. Szampan, koniak, wyborne wina



specjalnych stawów, bażanty, baranki ze specjalnej hodowli, wino gruzińskie specjalnie dobrane. Świeże owoce dostarczano z Gruzji samolotem. Za to wszystko on nigdy nie płacił ani grosza. Wszystkie sprawy finansowe załatwiał specjalny wydział zaopatrzeniowy NKWD. To były olbrzymie sumy. Kierownik osobistej ochrony Stalina generał Własik obracał milionami w jego imieniu”.

Na terenie kraju specjalnie dla Stalina zbudowano od podstaw lub gruntownie zmodernizowano 18 rezydencji. Niektóre z nich przypominały pałace przekształ-

personelu obsługującego zwiększała się natychmiast dwu- lub trzykrotnie. Stały personel niektórych rezydencji przekraczał 50 osób.

Dzisiaj wiadomo o 18 rezydencjach: trzech w Moskwie, czterech w Soczi, siedmiu w Gruzji i czterech na Krymie. Są to Kunczewo, Semionowska, Zubałowo (Moskwa); Nowa Macesta, Puzańówka, Riwierka, Blinówka (Soczi); Zimna Rzeczka, Ritz, Nowyj Afon, Suchumi, Missiury, Borżomi, Tzchatubo (Gruzja); Koreiz, Gorłowinka, Trapeznikowo, Jawejnaja (Krym). W niektórych z tych rezydencji

gruzińskie, wódka bez ograniczeń. Sam gospodarz pił nie tak dużo, przeważnie słodki szampan lub swoje ulubione wino Chwanczkara. Natomiast zmuszał do picia innych według zasady: »co trzeźwy ma w głowie, pijany ma na końcu języka«. Odmowa picia była traktowana przez Stalina podejrzliwie, jako chęć ukrycia prawdy. Przy stołach był duży zapas czystych talerzy, sztućców i kryształowych kieliszków, aby zapewnić obsługę na wysokim poziomie. Czasem gospodarz mówił kilka słów w języku gruzińskim, co w tłumaczeniu oznaczało »czysty obrus«. Obsługa reagowała natychmiast. Cztery kelnerzy brali obrus z czterech rogów i podnosili go do góry. Całe jedzenie: kawior czerwony i czarny, kotlety różnych rodzajów, kapusta po gruzińsku, smażone przepiórki (które Stalin uwielbiał szczególnie), razem ze sztućcami, z niedopitymi kieliszkami i talerzami trafiało jakby do worka. Kelnerzy przy akompaniamentcie bijącej się porcelany i kryształów natychmiast wynosili te worki. Na świeży obrus serwowano nowe porcje wymienitego jedzenia, dopiero co przygotowanego».

Pociąg pod specjalnym nadzorem

Stalin, jak wiadomo, prawie nigdy nie składał oficjalnych wizyt zagranicznych. Jedyne jego dłuższy pobyt za granicą był jeszcze w okresie przedrewolucyjnym, i to w Polsce. W 1914 r. Stalin odwiedził Lenina w Poronieniu i przez prawie dwa miesiące pod jego kierownictwem procował nad swoją najbardziej znaną w świecie książką „Marksizm i kwestia narodowościowa”, uznawaną później za swoistą biblię komunistyczną w sprawach narodowościowych. W rzeczywistości swą pracę Stalin wykonał pod dyktando Lenina, który chciał zrobić ze swego młodszego kolegi Gruzina, głównego specjalistę partyjnego w sprawach narodowościowych.

W roku 1945 przyszła kolejna okazja na podróż zagraniczną. Tym razem do pokonanych Niemiec. Stalin był przekonany, że to Związek Sowiecki pod jego przywództwem pokonał III Rzeszę. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone jedynie mu pomagały. Czuł się właścicielem Europy. Wschód kontynentu był już pod

jego dominacją, na Zachodzie komunizm również – nawet bez pomocy Armii Czerwonej – głęboko zapaścił korzenie. Komuniści weszli w skład rządów we Francji i Włoszech. Liderzy ich partii – Maurice Thorez i Palmiro Togliatti – pisali do Moskwy, że zwycięstwo komunizmu w ich krajach jest bliskie. W tej sytuacji trzeba było pokazać światu zarówno moc, jak i przepych życia przywódcy tego zwycięskiego kraju.

Podróż Stalina na pokojową konferencję w Poczdamie była zorganizowana wzorowo i z niesamowitym przepychem. Dla Stalina zarezerwowano piękną, 15-pokojową willę. Z Moskwy dostarczono różne delikatesy według gustu Stalina. Były tam: jego ulubione kuropaty, różne rodzaje kawioru, wymienite gruzińskie wina i koniaki, ryby, które znaleźć można jedynie w rosyjskich rzekach syberyjskich, i wiele, wiele innych smakołyków. Miało to wszystko zasmakować rozmówcom Stalina w Poczdamie, głównie premierowi Wielkiej Brytanii Churchillowi i nowemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Trumanowi.

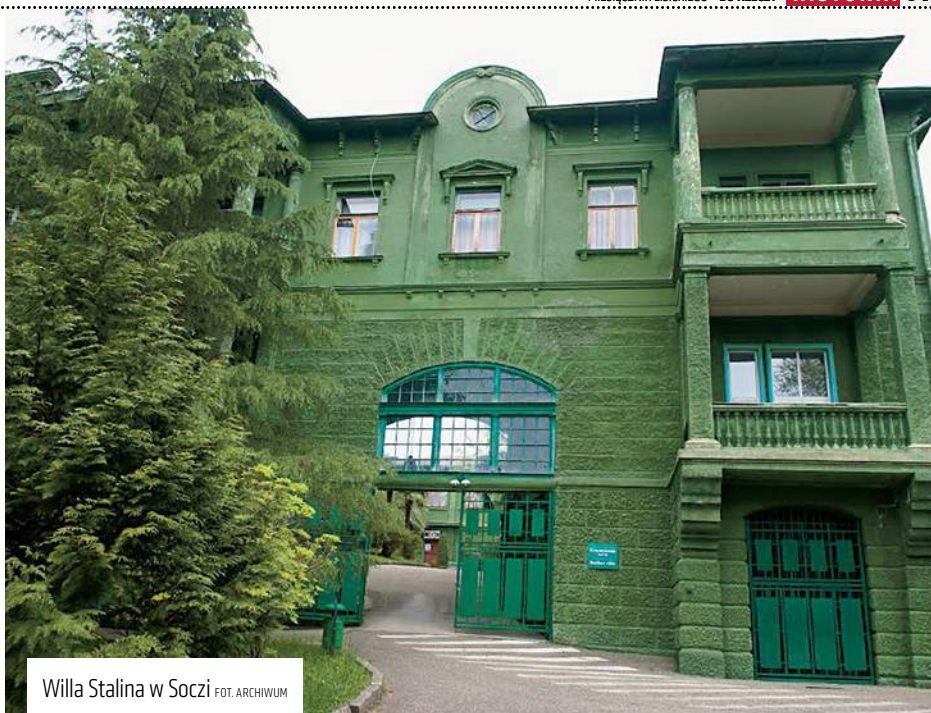
Przejazd kremlowskiego władcy do Niemiec przypominał podróż średnio-wiecznej koronowanej osoby. Stalin podróżował specjalnym opancerzonym pociągiem. Wzdłuż trasy w celu zapobieżenia dywersji rozmieszczono kilka specjalnych brygad NKWD liczących do 17 tys. żołnierzy. Każdy kilometr trasy pilnowało od 6 do 15 żołnierzy. Przed pociągiem Stalina na trasie kursowało

osiem pociągów pancernych. W Poczdamie bezpieczeństwa Stalina miało pilnować siedem pułków NKWD. Bezpośrednio samą willę kremlowskiego władcy – 1515 komandosów.

Bolszewizm przejął władzę od imperium carskiego jako ruch wyraźnie ascetyczny. Jednym z pierwszych postanowień Biura Politycznego komunistów Lenina po upadku caratu było zrezygnowanie z wysokich pensji urzędników państwowych. Każdego członka partii zobowiązano do pozostawienia dla siebie jedynie równowartości pensji wykwalifikowanego robotnika, resztę trzeba było oddawać z powrotem. Było to postanowienie wyraźnie propagandowe i kompletnie utopijne. Nie zdało egzaminu nawet w ciągu kilku pierwszych lat władzy sowieckiej. Nie dało się zmienić istoty świadomości ludzkiej, mimo że niektórzy bolszewicy z najbliższego otoczenia Lenina uporczywie próbowali trzymać się podobnej zasady. Kiedy zmarł Feliks Dzierżyński w 1926 r., nie było w czym go pochować. Miał jeden jedyny mundur wojskowy. Politbiuro musiało szybko decydować o uszyciu mu jakiegoś przyzwoitego garnituru.

Również Stalin prawie zawsze pokazywał się ludziom rzekomo w tym samym półwojskowym frenczu. Propaganda komunistyczna nie szczędziła wysiłków, by przestawić „Ojca Narodów” jako człowieka wyjątkowo skromnego. Jak widzimy, mit ten przetrwał do dziś.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Willi Stalina w Soczi. FOT. ARCHIWUM

Wywiad / Z Geraldem Posnerem – współautorem książki o Josefie Mengelem



rozmawia Piotr Włoczyk

Diabelskie eksperymenty „Anioła Śmierci”

/ Swoimi makabrycznymi badaniami chciał odkryć sekret ciąż bliźniaczych. Drugiego takiego potwora nie było w całym Auschwitz-Birkenau

PIOTR WŁOCZYK: Ile ofiar ma na swoim sumieniu Josef Mengele?

GERALD POSNER: Zachodnioniemiecki akt oskarżenia przeciwko Mengelemu mówił przynajmniej o 39 selekcjach na rampie w Auschwitz-Birkenau, w których brał on udział, machając ręką raz na lewo, a raz na prawo. Oznacza to, że ten lekarz SS wysłał do komór gazowych co najmniej dziesiątki tysięcy ludzi. Mengele skazywał jednak ludzi na śmierć nie tylko na rampie. Słynął m.in. z „leczenia” tyfusu poprzez cyklon B – wysyłał do komór gazowych

całe zainfekowane baraki, co bardzo się podobało jego zwierzchnikom.

Najpotworniejsze jest oczywiście to, co robił z dziećmi...

Niestety, nie sposób powiedzieć nawet w przybliżeniu, ile dzieci zamordował „Anioł Śmierci”. Akt oskarżenia przeciwko Josefowi Mengelemu mówił m.in. o 153 dzieciach zabitych na jego polecenie „w celu przeprowadzenia sekcji”. Wiadomo też, że osobiście rozkazał zabić 100 dzieci strzałem w tył głowy.

Skąd się wzięła jego fascynacja bliźniakami?

Dla kogoś, kto zajmuje się eksperymentami medycznymi – w tym przypadku pseudomedycznymi – niemal nieograniczony dostęp do bliźniaków jednojajowych mógł wydawać się szczytem marzeń. Ich DNA jest przecież identyczne. Jeden bliźniak służył więc jako przedmiot do eksperymentowania, a drugi jako materiał porównawczy. Po śmierci bliźniaka poddawanego eksperymentom od razu zabijany był zdrowy bliźniak, a ekipa Mengelego porównywała oba organizmy.

Jego machina badawcza pracowała pełną parą latem 1944 r., gdy Niemcy zwozili do Auschwitz-Birkenau węgierskich Żydów. Mengele zajmował się



Richard Baer, Josef Mengele, Rudolf Höss. Obok: list gończy FOT. WIKIMEDIA

WANTED



Dr. Josef Mengele

For his crimes against humanity

Josef Mengele was responsible for the death of 400,000 persons at Auschwitz Concentration Camp. He tortured children and made their parents suffer. He brutalized people with horrible medical experiments.

Mengele is 74. Height 1.7m (5'10"). Eyes, greenish brown. He became a citizen of Argentina in 1964, a citizen of Paraguay in 1969.

Rewards worldwide total more than U.S. \$2,375 million for information leading to the arrest and extradition of Dr. Josef Mengele.

Contact: Martin Mendelsohn, P.O. Box 33126, Washington, D.C. 20033, or call Simon Wiesenthal Center, (813) 853-9036. All information will be held confidential.

REWARDS-U.S.\$2.375.000

jednak w tym wszystkim nie jestem w stanie pojąć od ponad 30 lat, czyli od momentu, gdy zacząłem się zajmować życiorysem „Anioła Śmierci”. Jeżeli Mengele rzeczywiście chciał zbadać mechanizm powstawania ciąży bliźniaczej, to dlaczego badał z uporem maniaka bliźniaki, a nie ich matki i ojców? Wiadomo przecież, że bliźniaki były przez niego wyłuskiwane na rampie, natomiast ich rodzice byli poddawani „normalnej” selekcji. Mengele uważał się za geniusza medycyny, ale już wtedy wielu lekarzy dość sceptycznie patrzyło na jego kwalifikacje w tym zakresie...

Wspomnił pan, że jego drugą obsesją było genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci.

Mengele chciał odegrać kluczową rolę w procesie oczyszczania „rasy panów”. Ideałem były oczywiście niebieskie oczy, więc „Anioł Śmierci” badał, czy jest w stanie trwale zmienić kolor oczu, wstrzykując do nich barwniki. Testowano to na 36 dzieciach z jednego z baraków w Birkenau. Po wszystkim Mengele nie potrzebował ich, więc zostały one wysłane do komory gazowej.

Vera Kriegel, będąca jednym ze świadków, wspominała, że w laboratorium Mengelego zobaczyła ścianę w całości wypełnioną gałkami ocznymi. Jej świadectwo sprawia, że włos jeży się na głowie: „Były przytwierdzone szpilkami,

jak motyle. Pomyślałam, że jestem już martwa i znajduję się w piekle”.

Co się działo z tymi „preparatami”?

Były one wysyłane do Berlina do Instytutu Antropologii, Dziedziczności Ludzkiej i Genetyki im. Cesarza Wilhelma. Jego dyrektorem był prof. Othmar Freiherr von Vershuer, powszechnie poważany genetyk, który był mentorem Mengele. Gałki oczne trafiały do von Vershuera w skrzyniach opatrzonych napisem: „Materiały wojenne – Pilne”.

Czy te eksperymenty miały jakikolwiek sens?

W bardzo wielu z nich nie sposób się doszukać jakiegokolwiek sensu. Ich opisy wyglądają bowiem jak sadystyczne szaleństwo. W innych obozach niemieccy lekarze wrzucali przykładowo więźniów do lodowatej wody, aby sprawdzić, ile czasu człowiek wytrzyma w takich warunkach i jakie są najlepsze sposoby na ogrzanie go. To barbarzyństwo mogło się jednak jakoś przydać niemieckim siłom zbrojnym. Tymczasem w przypadku Mengele widzimy całą serię eksperymentów, które wydają się kompletnie bezużyteczne – poddawanie ludzi elektrowstrząsom czy naświetlanie wiąznięć promieniami X. Bywało też dużo gorzej. Świadkowie mówią też o takich eksperymentach, które wyglądają jak piekło na ziemi...

wówczas wieloma rzeczami, od przeszczepów szpiku kostnego aż do bakterio-logii. Najbardziej jednak zafiksowany był na dwóch tematach: ciążach bliźniaczych i genetycznym warunkowaniu cech aryjskich u dzieci.

Skupmy się na tym pierwszym zagadnieniu. Nawet dziś wydaje się, że naturalne poczęcie bliźniaków to wciąż dla nauki wielka zagadka.

Tak, do dziś nie wiemy, jak to się dzieje, że niektóre kobiety zachodzą w ciążę bliźniacze. Mengele miał nadzieję, że w obozowych laboratoriach rozwikła tę tajemnicę i to właśnie dzięki niemu III Rzesza zacznie szybko uzupełniać straty wojenne – Niemki będą masowo zachodziły w ciążę bliźniacze. Jednego



Selekcja na rampie w obozie Auschwitz-Birkenau. FOT. WIKIMEDIA

W pańskiej książce jest relacja m.in. o tym, jak „Anioł Śmierci” zaprowadził pewnego dnia „grupę kobiet [...] pod» Czarną Ścianę« między blokami 10 i 11 głównego obozu, gdzie zostały one zastrzelone. Następnie odcięto im piersi, a mięśnie udowe służyły później jako materiał badawczy w laboratorium Mengelego”. Mamy też opisy zszywania ze sobą bliźniaków w niewiadomym celu, wrzucania dzieci do ognia, zaklejania piersi matek karmiących, by zobaczyć, ile dni niemowlę przeżyje bez pokarmu. Na tym tle praktykowane przez Mengelego wstrzykiwaniu fenolu bezpośrednio w serce więźnia wygląda niemal „humanitarnie”...

Oczywiście nie możemy mieć pewności, że wszystkie opisy są w pełni zgodne z rzeczywistością, ale też nie mamy powodu, by je podważać. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Mengele był zdolny do wszystkiego, w tym do wrzucania dzieci do ognia czy do makabrycznego zszywania ze sobą ludzi.

Lata temu zrobiłem oś czasu, na którą naniosłem relacje świadków zbrodni Mengelego. Jedno nie ulega wątpliwości – z każdym kolejnym miesiącem jego pracy w Birkenau opisy stają się coraz bardziej potworne. Widać, że Mengele stopniowo zmieniał się w bestię w ludzkiej skórze.

Widzimy coraz więcej relacji o celowym zarażaniu dzieci strasznymi chorobami, operacjach bez znieczulenia, wykonywaniu niepotrzebnych amputacji czy rzeczach kompletnie niepojętych, np. całkowitej wymianie krwi między dwiema parami bliźniaków. Efekt takiego „eksperymentu” był nietrudny do przewidzenia.

Z relacji personelu obozu oraz więźniów wynika, że Mengele wręcz rwał się do przeprowadzania selekcji na rampie. Dlaczego?

Żaden inny lekarz SS w Auschwitz-Birkenau nie zgłaszał się równie często jak on do selekcji nowych więźniów. Mengele wychodził z założenia, że tylko on potrafi skrupulatnie wyciągać z tłumu tych, którzy najbardziej nadawali się do jego eksperymentów. Każdy lekarz w obozie wiedział oczywiście, że bliźniaków trzeba kierować na prawo, ale Mengele miał przymus kontroli i nie ufał nikomu w stu procentach. Przyjazd nowych transportów towarzyszył chaos, ludzie byli często brudni, rodziny były poroździelane, więc w takich warunkach jego cenni bliźniacy mogli się po prostu zgubić w tłumie. I właśnie dlatego „Anioł Śmierci” tak często stał na rampie w Auschwitz-Birkenau, gdzie dla umilenia pracy pogwizdywał sobie arie Pucciniego.

Tego człowieka cechowała niesamowita ambicja – był głęboko przekonany o swojej wyjątkowości. Widział w sobie genialnego naukowca, który będzie w stanie dokonać przełomu w nazistowskiej eugenicie. Ta chora ambicja

w połączeniu z jego młodzieńczą energią pchała go do tego, aby pod każdym względem robić więcej niż inni lekarze – częściej brać udział w selekcji i częściej przekraczać granicę sadyzmu podczas przeprowadzania eksperymentów.

Jak patrzył na dzieci, które powoli zabijał swoimi „badaniami”? Przecież w 1944 r. sam został ojcem.

W swojej chorej logice uważał, że ratuje te maluchy przed komorami gazowymi i równocześnie przyczynia się do wielkiego postępu w medycynie.

Po wielu latach powiedział swojemu synowi podczas ich tajnego spotkania w Brazylii, że bliźnięta powinny być mu dożgonnie wdzięczne, bo gdyby nie on, to bardzo szybko zginęłyby w Auschwitz. Absurd w czystej postaci: domaganie się wdzięczności od ofiar tortur.

Świadkowie wspominają, że Mengele rozdawał dzieciom, na których eksperymentował, cukierki, a nawet nowe ubranka...

Nie można jednak traktować rozdawania prezentów jako okazywania ludzkiej twarzy. Te gesty nie miały nic wspólnego z dobrocią. Mengele dawał im cukierki na tej samej zasadzie, na jakiej treser daje psu smakołyk po poprawnie wykonanej komendzie. Dzieci w ten sposób czuły podświadanie, że miały u niego dług, w związku z czym





GERALD POSNER, JOHN WARE „MENGELE. POLOWANIE NA ANIOŁA ŚMIERCI”

ZNAK

mogły odczuwać konieczność podopieczności się mu.

Cała pańska praca nad opisaniem zbrodni Mengelego i powojennego pościgu za tym zbrodniarzem zaczęła się chyba trochę przypadkowo. Jak do tego doszło?

Byłem wtedy prawnikiem. Mój znajomy z Departamentu Sprawiedliwości powiedział, że zgłosił się do nich Marc Berkowitz, mieszkaniec stanu Nowy Jork, który chciał pozwać rząd RFN. To było w 1980 r., zanim jeszcze odnaleziono ciało Mengelego. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Pamiętajmy, że ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych dostawały od niemieckiego rządu pewną stałą kwotę. Nieważne, czy ktoś przeżył za drutami dwa tygodnie czy dwa lata. Przy tych wypłatach nie miało też żadnego znaczenia, czy dana osoba była poddawana potwornym eksperymentom, czy nie. Tymczasem Marc Berkowitz miał duże problemy zdrowotne i brakowało mu pieniędzy na opłacenie leczenia. Marc i jego siostra bliźniaczka byli ofiarami „Anioła Śmierci”.

Co dolegało temu człowiekowi?

Marc miał ogromne problemy z kręgosłupem i płucami. Najgorsze jest to, że nie wiadomo, co konkretnie Mengele mu wstrzykiwał, ponieważ nie zachowała się dokumentacja medyczna. W każdym razie reperowanie zdrowia było w jego przypadku bardzo kosztowne.

Nie zależało mu na jakimś wielkim odškodowaniu, tylko na pokryciu kosztów leczenia. Niemcy nie chcieli oczywiście o niczym takim słyszeć. Bali się, że jeden przypadek pociągnie za sobą całą masę podobnych żądań. Niemcy dbali o swoje finanse...

Co się udało panu w tej sprawie zrobić?

Niestety, sędzia uznał, że amerykański wymiar sprawiedliwości nie jest w stanie w żaden sposób pomóc Marcovi. To była bolesna porażka. Po drodze zebrałem jednak mnóstwo materiału na temat Mengelego i postanowiłem przekuć to na książkę.

Co pański klient opowiadał panu na temat „Anioła Śmierci”?

Marc był wówczas 12-letnim chłopcem i w chwilach wolnych od eksperymentów Mengele wykorzystywał go

jako gońca. Marc widział dzięki temu te części obozu, które były niedostępne dla innych...

Opowiadał mi, że gdy Mengele kłutł ich igłami, coś z nich wyciągał, a za chwilę coś w nich wstrzykiwał, on starał się, jak mógł, żeby nie płakać, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Zależało mu na tym, żeby Mengele go pochwalił... To się zdarzało dosyć często w przypadku dzieci, które Mengele torturował wraz ze swoim zespołem, a potem „nagradzał” je jakimiś drobiazgami. Mengele budował chore relacje ze swoimi ofiarami.

Co wiadomo o jego pozycji w obozie? Mengele był w końcu weteranem walk z Sowietami, a to się chyba nie zdarzało zbyt często wśród obozowych lekarzy?

„Anioł Śmierci” zdecydowanie wyróżniał się wśród reszty lekarzy SS. Tylko on służył na froncie wschodnim i tylko jemu przyznano za walkę Krzyż Żelazny. Jego legendę w tym makabrycznym środowisku wzmacniało jeszcze to, że został na froncie ranny. To robiło wrażenie na jego współpracownikach.

Wraz ze zbliżaniem się frontu stawał się coraz bardziej przybity, uważał, że Sowieci pogrzebią jego wiekopomne badania. Musiał być kompletnie załamany, gdy nocą 17 stycznia wyjeżdżał z Auschwitz, zabierając swoje archiwum.

Co się stało z prof. von Verschuerem, który całymi garściami korzystał z makabrycznych eksperymentów swojego protegowanego? Czy został po wojnie skazany na wieloletnie więzienie za współudział w zbrodniach?

Znaczna część całego horroru, który Mengele rozpętał w Auschwitz-Birkenau, była albo bezpośrednio zlecona przez von Verschuera, albo była dokonywana tylko po to, by mu zaimponować. Pamiętajmy, że von Verschuer kierował samym sercem nazistowskiego programu „czyszczenia rasy”. Niestety, nic złego mu się nie przytrafiło po wojnie – suchą nogą przeszedł przez denazyfikację i wciąż był bardzo cenionym naukowcem.

Alianci ścigali wprawdzie nazistów z krwią na rękach, ale niemieccy naukowcy, którzy mieli krew na sumieniach,

w znacznej mierze zostali pozostawieni w spokoju. To, co się stało z von Verschuerem, to raczej reguła niż wyjątek. Nie mogę przeżyć jeszcze jednej rzeczy – po wojnie nikt go nawet nie pytał, po jaką cholere oni to wszystko robili. Jestem pewien, że gdyby ktoś go o to zapytał, von Verschuer chciałby to jakoś wyjaśnić, ale żaden niemiecki dziennikarz nie zainteresował się niestety tym tematem.

Jedynie, co może dawać ofiarom Mengelego pewną minimalną dozę satysfakcji, to myśl, że ich kat – choć mieszkał w rajskiej Ameryce Południowej – do końca swoich dni żył w strachu, iż za moment usłyszy pukanie do drzwi...

Tak, nie ulega wątpliwości, że Mengele przeżył ostatni rozdział swojego życia w ciągłym strachu.

Chociaż wydaje się, że początkowo myślał, iż upiekło mu się na emigracji na zachodniej półkuli. Kiedy w 1956 r. poszedł do niemieckiej ambasady w Buenos Aires i poprosił o paszport na nazwisko Josef Mengele, wydaje się, że był pewien swego. Pojechał nawet na wakacje do Szwajcarii. Był na tyle spokojny o swój los, że trafił pod swoim nazwiskiem do książki telefonicznej! Wszystko się zmieniło w momencie, gdy Izraelczycy porwali Adolfa Eichmanna. Resztę życia spędził w ciągłym stresie, że zostanie porwany i stanie przed obliczem sprawiedliwości.

Mengele swoje ostatnie lata przeżył w miejscu, które – z jego perspektywy – musiało być piekłem dla nazistów.

Chodzi panu o to, że mieszkając na przedmieściach São Paulo żył w bardzo biednym sąsiedztwie, pełnym ludzi o ciemnym kolorze skóry? Z pewnością musiał odbierać to jako piekielne miejsce, bo do końca życia był obrzydliwym rasistą. Szczerze nienawidził miejsca, w którym musiał się ukrywać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Gerald Posner

(ur. 1954 r.) – jest amerykańskim dziennikarzem śledczym, autorem wielu książek na temat dziejów III Rzeszy. W Polsce ukazała się właśnie jego książka pt. „Mengele. Polowanie na Anioła Śmierci z Auschwitz”.

1941 r. / Kto podrzucił bombę brytyjskim dyplomatom?



Bomba w Pera Palace



Marian Zacharski

W luksusowym hotelu w Stambule eksplodował ładunek wybuchowy w walizce. Tropy prowadzą do niemieckiego wywiadu

Nie byłoby tego artykułu bez belgijskiego przemysłowca i wizjonera Georges'a Nagelmackersa, który najpierw założył firmę Compagnie Internationale des Wagons-Lits, a następnie stał się pomysłodawcą uruchomienia słynnego, ultraluksusowego pociągu Express d'Orient łączącego Paryż z Konstantynopolem (od 1930 r. Stambuł). W 1891 r. zmieniono jego nazwę na Orient Express.

Pierwszy pociąg wyruszył w drogę z paryskiego dworca Gare de l'Est do Giurgiu w Rumunii 5 czerwca 1883 r. Z Giurgiu pasażerowie przepływali promem do Warny, skąd pociągiem linii Orientbahn i raz jeszcze promem, w tym przypadku austriackiej firmy Lloyd, docierali do tureckiej metropolii. Sukces tego luksusowego połączenia był tak wielki, że zdecydowano się na szybką rozbudowę infrastruktury. Dzięki temu od 1890 r. pociąg kursował na trasie Paryż-Wiedeń-Budapeszt-Sofia i dalej



pola, pełnej ambasad, tętniącej życiem nie tylko kulturalnym, lecz także życiem tzw. zakazanych przyjemności, został otwarty nowy luksusowy hotel, Pera Palace, który z miejsca stał się obowiązkowym adresem dla wymagającej klienteli. Nie tylko pasażerów Orient Expressu, których przenoszono prosto z peronu stacji Sirkeci do hotelu w wymoszczonych poduszkami lektykach.

Głównym projektantem hotelu był znany francusko-turecki architekt Alexandre Vallaury. W każdym z 145 pokoiów regularnie przebywały osoby o wielkich nazwiskach. Słynna agentka wywiadu, Mata Hari, lubiła pokój 104, aktorka Greta Garbo preferowała ten, który krył się za drzwiami nr 103, francuska aktorka Sarah Bernhardt lubiła pokój nr 304, pisarz Ernest Hemingway – 218, wygnany z Rosji rewolucjonista Lew Trocki – 204, szach Iranu – 202, Jacqueline Kennedy Onassis – 308, pisarka Agatha Christie – 411. Oprócz wymienionych i wielkiej rzeszy niewymienionych znamienitych ludzi kultury, polityki, przemysłu, a także całkowicie niepospolitych kurtyzan czy ludzi prowadzących ciemne, aczkolwiek wysoce dochodowe interesy, z przepychu hotelu korzystali przedstawiciele rodzin królewskich (Edward VIII, George V) i cesarskich (Wilhelm II, Franz Joseph). Wielu gorących zwolenników Agathy Christie do dziś chce wierzyć, że jej bestsellerowa książka „Morderstwo w Orient Expressie” napisana została w pokoju 411 i że dusza autorki nadal żyje w jego wnętrzu. Stąd od czasu do czasu entuzjaści teorii paranormalnych spotykają się w nim i odbywają

tylko dla nich zrozumiałe seanse spirytystyczne. Od 1917 r. w miarę regularnym gościem hotelu był Mustafa Kemal Atatürk, uważany za ojca nowoczesnej Turcji powstałej z pozostałości po imperium osmańskim. Pokój nr 101 jest dzisiaj muzeum tej wielkiej postaci.

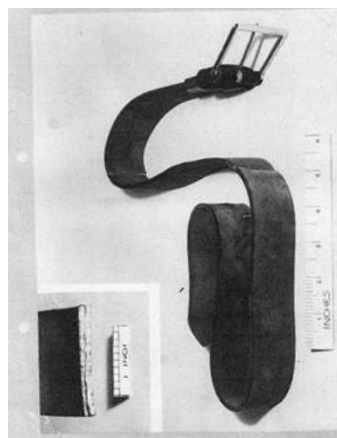
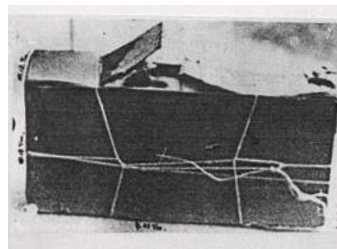
Tajemnicze walizki

Idylla dotrwała do czasów II wojny. Jej wybuch nie tylko zmienił oblicze przede wszystkim Europy, lecz także wpłynął na politykę Turcji, a stąd już bardzo krótka droga wiodła do wydarzeń, które zasadniczo wpłynęły na dalszą historię hotelu. Warto wiedzieć, że w tym okresie

Pera Palace w Stambule, tak samo jak hotel Palace w portugalskim Estoril, był ulubionym miejscem zatrzymywania się dyplomatów oraz oficerów i agentów wywiadów państw alianckich. Niemcy nie należeli do grona mile widzianych gości.

Nagle 11 marca 1941 r. w godzinach porannych w otwartym pomieszczeniu bagażowym Pera Palace wybuchła bomba o dużej sile rażenia. Spowodowała ogromną panikę wśród gości i personelu. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku przybyłe na miejsce służby medyczne oraz jednostki policji zastały zdemolowane piętro z porozrzuconymi siłą wybuchu meblami, walizkami, urwaną windą. Doliczono się czterech ofiar śmiertelnych oraz kilkudziesięciu, prawdopodobnie 30, rannych.

Wystraszeni goście hotelu składający się w znacznej części z personelu ambasad brytyjskiej w Sofii, którzy w związku z zerwaniem przez ich rząd stosunków



Walizka z bombą, pasek z niplitu, zapalniki FOT. ZBIORY AUTORA

do Konstantynopola bez aż tak wielu uciążliwych przesadek. W tym samym roku powstała nowa stacja docelowa – Sirkeci.

Bogaci klienci płacili, ale jednocześnie wymagali odpowiedniego traktowania. Również po wyjściu z luksusów otaczających ich w wagonach sypialnych i restauracyjnych kultowego pociągu. Dlatego Nagelmackers powołał do życia nową firmę, Compagnie Internationale des Grand Hotels. Tą drogą w 1892 r. w europejskiej dzielnicy Konstantyno-

■ dyplomatycznych z Bułgarią dopiero co dotarli do Stambułu, pełni przerażenia głośno wyrażali swoje przekonanie, że za atakiem na pewno stoją Niemcy. „Nie ma najmniejszej wątpliwości, że oni już tu są” – zdenerwowani powtarzali to zdanie jak mantrę. Wśród zabitych były dwie Brytyjki z sofijskiego poselstwa Królestwa Wielkiej Brytanii: stenografka Eleanor Armstrong oraz Gertrude Ellis, prywatna sekretarka ministra pełnomocnego George’a Williama Rendela. Zginęło również dwóch tureckich portierów hotelowych. Główny cel zamachowców, czyli minister pełnomocny i jego żona Geraldine, przebywali w tym czasie na wyższym piętrze i z zamachu wyszli bez szwanku. Gorzej sprawa przedstawiała się z ich córką, Ann, która w momencie eksplozji przebywała w lobby, nadzorując prawidłową dystrybucję bagaży części z 50-osobowej grupy ewakuowanego poselstwa.

Natychmiast uruchomione śledztwo już po kilku dniach dało wstępny obraz przebiegu tych tragicznych wydarzeń. Według ministra pełnomocnego George’a W. Rendela bomby znajdowały się w dwóch walizkach, które tuż przed wyjazdem z Sofii ukradkiem zostały dołączone do bagaży podręcznych należących do pracowników ewakuowanego poselstwa. Dwaj urzędnicy ataszatu wojskowego, S.A. Embury i D. de Bethal, byli odpowiedzialni za bagaże. Po przekroczeniu bułgarsko-tureckiego przejścia granicznego w Swilengradzie bez sukcesu próbowali ustalić tożsamość właściciela czy właścicieli tych nieszczęsnych dwóch

Gestapo-Müller: „Ustalono, że polskie grupy oporu przygryzowały maść zawierającą gaz musztardowy celem użycia przeciw ludności niemieckiej...”

walizek. W związku z fiaskiem tych prób wspólnie podjęli decyzję o ich otwarciu.

Wewnątrz każdej z nich odkryli stopy brudnej bielizny, zestawy podstawowych przyborów do golenia, po kilka starych tureckich gazet, które najpewniej miały służyć skierowaniu podejrzeń na stronę turecką, a także suche baterie elektryczne o bliżej niestwierdzonym przeznaczeniu. W jednej walizce znajdowały się dwie baterie, a w drugiej tylko jedna. Presja czasu nie pozwoliła im na głębsze refleksje nad tymi nietypowymi elementami bagaży podręcznych. W Stambule walizka z dwiema bateriami została przez de Bethala osobiście zabrana do hotelu Pera Palace, a drugą zajął się S.A. Embury, dostarczając ją do drugiego miejsca postoju pracowników ewakuowanego poselstwa, do hotelu Alp. W momencie wybuchu Embury był w drodze do Pera Palace. Szybko dobiegł do miejsca tragedii. Po pobieżnym obejrzeniu skutków eksplozji doszedł do wniosku, że najprawdopodob-

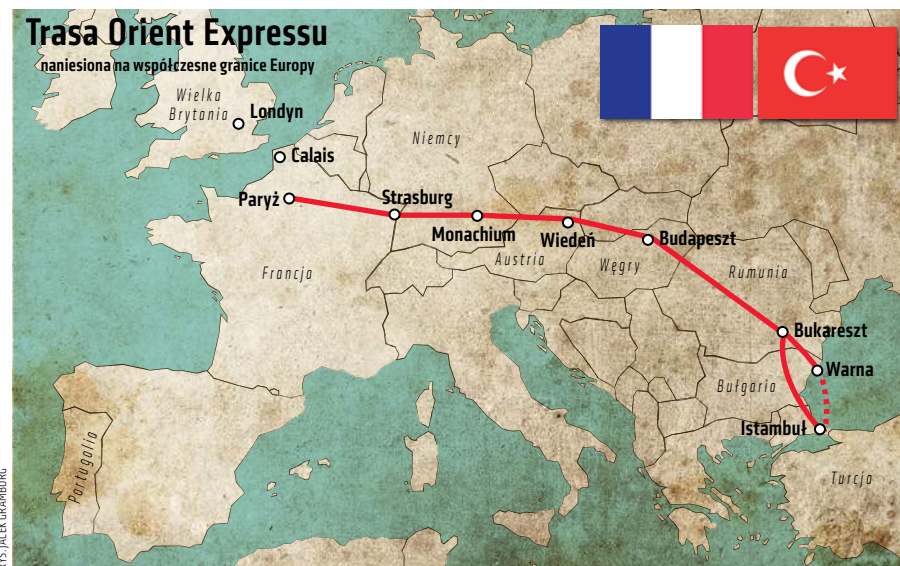
niej suche baterie z bardzo tajemniczych walizek mogły być bombami przygotowanymi przez wroga.

Natychmiast wrócił do hotelu Alp, wyciągnął ostatnią baterię z tajemnicznej walizki i wrzucił do wykopu w pobliżu budynku hotelowego. Chwilę potem poinformował turecką policję o swoich podejrzeniach. Jej eksperci po przejściu z wykopu i rozebraniu na części suchej baterii znaleźli w niej znaczną ilość trotylu oraz zapalnik.

Ambasador Rendel był przekonany, że bomby miały eksplodować w trakcie jazdy pociągu, powodując jego wykoślenie, a przez to wiele ofiar nie tylko wśród personelu poselstwa, lecz także niewinnych pasażerów. W ostatnim zadaniu swojego wstępnego raportu brytyjski poseł stwierdził, że stosunkowo niewielką liczbę ofiar śmiertelnych wśród personelu kierowanego przez niego poselstwa oraz przebywających na terenie hotelu obywateli Turcji i innych państw zawdzięczać można tylko, po pierwsze i przede wszystkim, zrządzeniu Opatrzności, a po drugie, zachowaniu w tego typu sytuacji wręcz niezwyklej przytomności umysłu i natychmiastowemu przeprowadzeniu odważnej akcji przez pracownika ataszatu, S.A. Embury’ego, której celem było zapobieżenie ewentualnej drugiej eksplozji, tym razem w hotelu Alp.

Ponieważ zniszczenia infrastruktury hotelu były znaczne, w 1942 r. władze tureckie w oficjalnym piśmie zwróciły się do kierownictwa brytyjskiego poselstwa o pokrycie kosztów napraw, a także wypłacenie stosownych odszkodowań dla rodzin zabitych i rannych obywateli Turcji. Strona brytyjska nie odpowiedziała na ten apel. Bezpośredni uczestnik tych wydarzeń, Embury, na którym ogniskowały się tureckie podejrzania o udział w przestępstwie i którego lokalna policja chciała pilnie przesłuchać, był już w tym czasie zatrudniony w poselstwie brytyjskim w Teheranie, a więc poza zasięgiem tureckiego wymiaru sprawiedliwości.

W swojej odpowiedzi na wezwanie do rekompensaty rząd brytyjski zaproponował ze znaczną zwłoką władzom tureckim, aby dochodziły swoich roszczeń u władz bułgarskich, bo właśnie na terytorium tego państwa, według trudnych do podważenia ustaleń, w sposób tajny podrzucono walizki z bombami. Jednocześnie min. Anthony Eden zalecił, aby zarówno Embury, jak i de Bethal pod





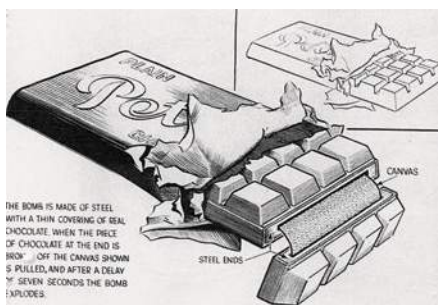
Orient Express FOT. ARCHIWUM

żadnym pozorem nie podejmowali prób przyjazdu do Turcji lub tylko przejazdu tranzytem przez jej terytorium. Sprawa odszkodowań ciągnęła się latami. Jeszcze w 1955 r., podczas negocjacji umowy handlowej między Wielką Brytanią a Bułgarią, nie obyło się bez dyskusji na ten temat. Niestety, nie znam ani sposobu, ani daty jej ostatecznego uregulowania.

W trakcie każdego konfliktu zbrojnego wszystkie w nim uczestniczące, bezpośrednio lub pośrednio, strony regularnie uciekały się do przeprowadzania krwawych akcji sabotażowych. Stąd też poważne grona naukowców, inżynierów i techników nieustannie pracowały wówczas i pracują nadal nad nowymi materiałami wybuchowymi i sposobami ich skrytego użycia. Z perspektywy czasu można śmiało powiedzieć, że hotel Pera Palace i jego goście oraz pracownicy mieli dużo szczęścia, iż wyżej wspomnianej akcji nie przeprowadzono w drugiej połowie 1944 r.

Nipolit w czekoladzie

Właśnie w tym czasie Niemcy wprowadzili „do służby” sabotażowej nowy, brutalnie silny i skuteczny ładunek wybuchowy, tzw. nipolit. Jego konsysten-



cja oparta była na połączeniu nitrocelulozy i silnych ładunków wybuchowych z rozmaitymi stabilizatorami oraz elementami gwarantującymi plastyczność finalnego produktu. Nipolit był wodoszczelny oraz nie wymagał nadmiernej delikatności w obchodzeniu się z nim. Te wszystkie cechy razem wzięte powodowały, że Niemcy mogli ukrywać go w rozmaitych przedmiotach codziennego użytku, takich jak buty (zółwki i obcasy wykonane były z nipolitu), galanteria skórzana (paski, torby czy walizki z wyjątkiem okuć w całości wykonane były z tego groźnego materiału), płaszcze przeciwdeszczowe, kałamarze, podstawy odborników radiowych. Nipolit ukrywano także w puszkach z konserwami, w gaśnicach, mydle, bryłach węgla, puszkach służących do przechowywania oleju silnikowego, akumulatorach itp.

Ciekawym przykładem ukrycia ładunku wybuchowego była tabliczka

czekolady. Oryginalnie zapakowana i pokryta cienką warstwą czekolady bomba uruchamiana była poprzez złamanie rzadka kostek z tym przysmakiem, co powodowało, że ukryte wewnątrz płótno zostawało przeciągnięte do przodu, uwalniając w ten sposób zapalnik. Wybuch następował po siedmiu sekundach (jak na kopii rysunku z lewej).

Żeby przekonać szanownych czytelników, że w operacjach sabotażowych nie ma ani świętych krów, ani granic, których się nie przekracza, przytoczę sprawę stosowania trucizn przez polski ruch oporu. W lutym 1944 r. RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) przesłał do wszystkich jednostek policji państwowej, wydziałów RSHA, szefa urzędu zdrowia Rzeszy, szefa wydziału medycznego Wehrmachtu i Wydziału III Abwehry okólnik dotyczący pojemników zawierających krem Nivea wymienianych ze specjalnie spreparowanym gazem musztardowym. Pod dokumentem podpisał się słynny Gestapo-Müller. Stwierdzał on m.in., co następuje:

„Z poufnych informacji wynika, że wrogowie na terytoriach wschodnich wspomagani przez terrorystów i ich wspólników już próbowali lub będą próbować wcisnąć puszkę kremu Nivea z gazem musztardowym żołnierzom Wehrmachtu i niemieckim cywilom. Około 2 lata temu w Generalnej Guberni ustalono, że maść zawierająca gaz musztardowy została przygotowana przez polskie grupy oporu celem użycia jej wobec ludności niemieckiej. Odpowiedzialność sprawdzenia tej poufnej informacji spoczęła na jednostkach Sipo i SD [stacjonujących] na okupowanych terenach wschodnich. Ponieważ istnieje możliwość, że część z tych puszek kremu Nivea może zostać wysłana pocztą przez Niemców stacjonujących na okupowanych terytoriach wschodnich i tą drogą dotrzeć do rąk ich rodzin, wymagane jest natychmiastowe powiadomienie mnie [Müllera] o każdym zatruciu gazem musztardowym w związku z użyciem kremu Nivea lub innej maści”.

Z oczywistych względów sprawdzenie tej ostatniej informacji pozostawiam tym, którzy na co dzień dostępują aktów łaski kierownictwa polskich archiwów gwarantujących, po pierwsze, wstęp, a po drugie starannie dozowany dostęp do najpilniej strzeżonych informacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Rosalak

/ Polacy zostali oskarżeni o dokonanie pogromów Żydów. Sprawę na miejscu przybyli zbadać specjaliści anglosascy wysłannicy

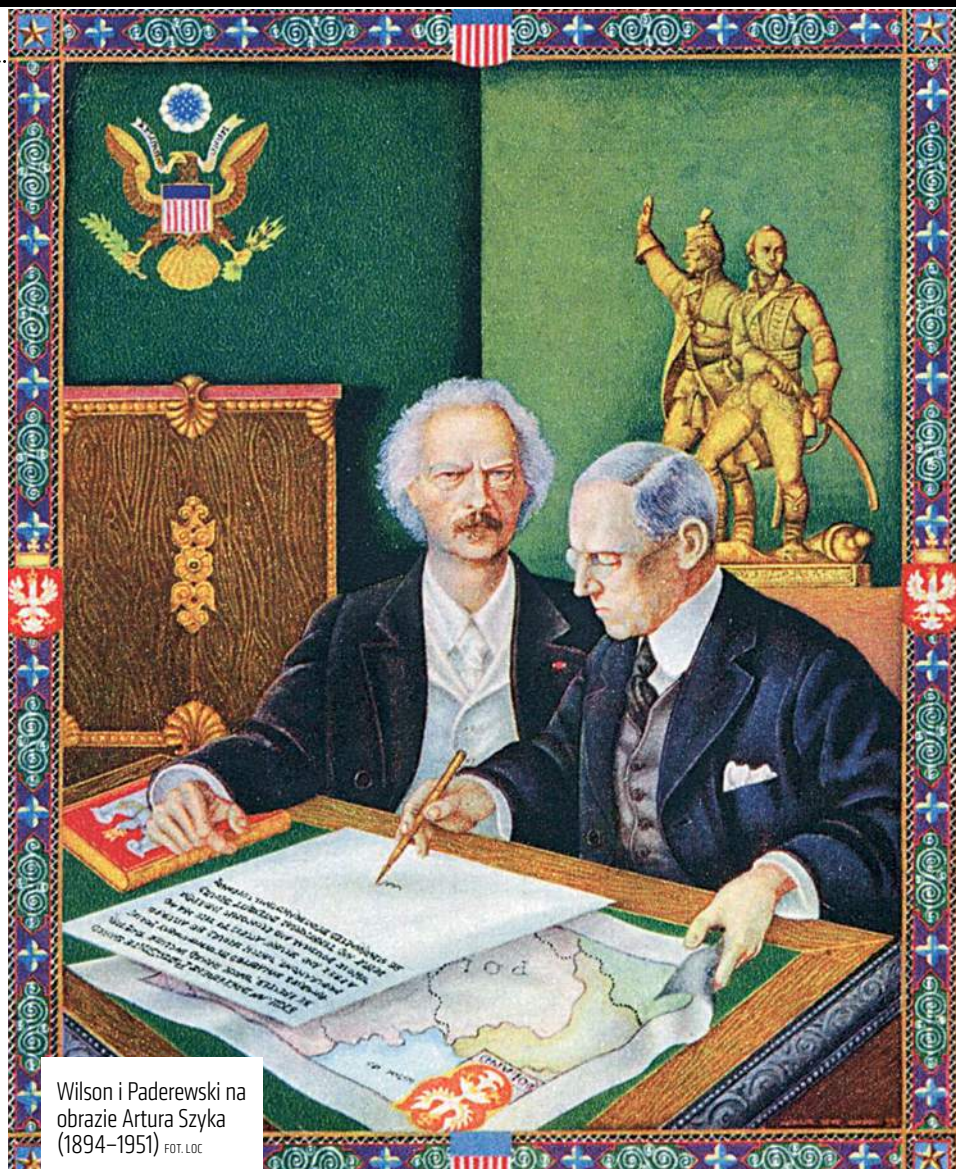
Czy Amerykanin żydowsko-niemieckiego pochodzenia Henry Morgenthau był właściwym człowiekiem do oceny antyżydowskich wystąpień przełomu lat 1918 i 1919 w Polsce? Co zawiera jego raport? Dlaczego odrębny dokument złożyli dwaj inni członkowie komisji rządu amerykańskiego i co oni zauważyli? Na czym polegał rozdzwiek w podobnej komisji wysłanej przez Brytyjczyków? Oto niektóre z nasuwających się pytań o tzw. raport Morgenthaua.

To było 100 lat temu. Sprawy, które badała komisja Morgenthaua, są u nas wspominane raczej pobieżnie, a były wykorzystywane do antypolskiej polityki. I to nie tylko przed wiekiem, lecz także obecnie.

Zaprosił Paderewski

Historycy rosyjscy podają (zbiór dokumentów „Kniha pogromów”, Moskwa 2007), że podczas rewolucji, w latach 1918–1922, na ziemiach dawnej Rosji zginęło 100 tys. Żydów. W 1919 r., podczas białego terroru po obaleniu reżimu komunistycznego na Węgrzech, śmierć spotkała ok. 3 tys. Żydów. Zajścia antyżydowskie wybuchły także w Czechach, na Morawach oraz na Słowacji. Prasa zachodnia skupiła jednak swoją uwagę na Polsce. Gołostownie podawano, że w czasie różnych incydentów, zamieszek i pogromów, w których brało udział zarówno wojsko, jak i ludność, zginęły tysiące Żydów.

Historyk Feliks Koneczny pisał o tym z oburzeniem i goryczą: „Zmówili się przeciwko Polsce Żydzi zewsząd...



Wilson i Paderewski na obrazie Artura Szyka (1894–1951) FOT. LOC

100 lat temu / Komisje USA i Wielkiej Brytanii

Prawda i fikcja o pogromach Żydów

Wymysły [o pogromach w Polsce – przyp. M.R.] obiegały tuzinami prasy żydowską Anglii i Ameryki. Agencje telegraficzne Kopenhagi, Sztokholmu i inne roznoszą posiew fałszów i haniebnych kłamstw...”. Akcja dyfamacyjna została zorganizowana akurat w czasie, gdy Żydzi (patrz: „HDR” nr 75) domagali się utworzenia w granicach Rzeczypospolitej autonomicznego państwa w państwie, czyli Judeo-Polonii.

Z kolei Henry Ford – ten sam, który zrewolucjonizował produkcję samochodów – pisał, że polonofobicznymi doniesieniami znajdująca się w żydowskich rękach prasa amerykańska uzasadnia przyjęcie do USA 250 tys. Żydów, rzekomo prześladowanych w Polsce („Międzynarodowy Żyd”, 1920–1921). We wspomnieniach „Moje życie i dzieło” (I wydanie amerykańskie – 1922 r.) wyjątkowo wysoko oceniał Polaków jako pracowników rzetelnych i pomysłowych. Jednak i Morgenthau to dla Forda „człowiek cieszący się doskonałą opinią zarówno prywatną, jak i publiczną”.

Aby stać się sygnatariuszem zawartego 28 czerwca 1919 r. traktatu wersalskiego, Polska (i inne „nowe” państwa) musiała podpisać tzw. mały traktat wersalski. Gwarantował on mniejszościom etnicznym i religijnym pełnię swobód, opiekę i ochronę państwa oraz możliwość odwoływania się w sporze z państwem bezpośrednio do Ligi Narodów. Premier rządu polskiego Ignacy Jan Paderewski miał zapewne dosyć tej poniżającej dla Polski sytuacji. Toteż zaproponował zaprzyjaźnionemu z nim prezydentowi USA wysłanie komisji rządu amerykańskiego mającej zbadać, jak rzeczywiście ma się kwestia antyżydowskich wystąpień w Polsce. Woodrow Wilson komisję niezwłocznie wysłał, a jej przewodniczącym mianował Morgenthaua.

Henry Morgenthau (1856–1946), zwany Seniosem, urodził się w rodzinie bawarskiego właściciela wielkich zakładów tytoniowych. Ojciec ze względu na cła przeniósł produkcję za ocean, a syn zbił tam majątek na handlu nieruchomościami i jako bankier. Skutecznie wsparł kandydaturę Woodrowa Wilsona na prezydenta i w 1913 r. został ambasadorem USA w Turcji. W 1915 r. był tam świadkiem ludobójstwa Ormian, które pochłonęło ok. 1,5 mln ofiar; miał więc poczucie skali zbrodni popełnianych ze



Henry Morgenthau Senior

FOT.LOC

względów rasistowskich i religijnych. W 1916 r. wrócił do Stanów i po ponownym wyborze Wilsona na prezydenta pracował w Departamencie Stanu (miano Morgenthaua Juniora nosił jego syn, także Henry, który był sekretarzem skarbu w administracji Franklina Delano Roosevelta).

Raport Morgenthaua

Komisja amerykańska prowadziła prace od 13 lipca do 13 września 1919 r., przemierzając „ponad 2500 mil po rosyjskiej, austriackiej i niemieckiej części Polski”, przeważnie autem, w składzie: Henry Morgenthau, Edgar Jadwin – generał US Army, Homer H. Johnson – profesor prawa z Case Western Research University w Cleveland. Wedle opublikowanego na początku października 1919 r. raportu miała „bezpośredni kontakt z mieszkańcami małych miasteczek i wiosek [...] a badanie zajęć odbywało się przeważnie w obecności przedstawicieli rządu polskiego oraz społeczności żydowskich. W wielu wypadkach obecni byli także oficjele wojskowi i cywilni”.

Szybko opracowany, dość krótki raport wstępnie (punkty 1–6) zarysowuje sytuację mniejszości żydowskiej w Polsce i niektóre uwarunkowania konfliktu. Następnie (w punktach od A do H) zwięźle omawia osiem najgłośniejszych ekscesów antyżydowskich, uszeregowanych chronologicznie, i wreszcie (w punktach 7–19) formułuje ocenę przyczyn wydarzeń i wnioski, jakie mają z niej wynikać.

Rys historyczny charakteryzujący urywki: „Gdy w całej Europie było wiadomym, że Polska stała się miejscem schronienia dla Żydów, liczba przybyszów zwiększała się wraz z kolejnymi prześladowaniami na Zachodzie. Także ostatnio ich liczba wzrosła na skutek wypędzenia Żydów z Rosji, gdy tworzone strefę osiadłości...”. „Mimo że Polska stała się miejscem schronienia dla Żydów, w różnych okresach miały w niej zaiscienia antyżydowskie”. Po 1905 r. szczyt „nastrojów antysemitycznych przypaść na rok 1912, gdy Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne nominoowało jako reprezentanta Warszawy do Dumy Rosyjskiej antysemitę, na co Żydzi zareagowali poparciem dla socjalistów, którzy wygrali wybory”. Dopowiedzmy, że na jedno miejsce kandydowali: polscy patrioci – narodowiec Roman Dmowski i konserwatysta Jan Kucharzewski oraz Eugeniusz Jagiełło z internacjonalistycznej PPS Lewicy. Żydzi stanowili większość wśród elektorów różnych ugrupowań (42 z 80) i – wbrew umowie z Polakami – posłem z Warszawy wybrali Jagiełłę. Wywołało to oburzenie Polaków, którzy w odwecie pilniej odtąd patrzyli, u kogo kupują towary.

I nadal pkt 5: „Pod koniec wielkiej wojny chaotyczna i nienaturalna sytuacja, w jakiej znalazła się Polska, wywołała niepokoje społeczne, które... pogłębiły podziały pomiędzy ludnością żydowską i nieżydowską. Szowinizm narodowy, wywołany nagłym odzyskaniem dawno oczekiwanej niepodległości, skłonił nastroje społeczne ku antysemityzmowi i ksenofobii...”. Wygląda na to, że autor raportu niczego się nie dowiedział o niedawnej entuzjastycznej współpracy Żydów z niemieckimi okupantami oraz o wspólnych z nimi planach utworzenia Mitteleuropy, że „nienaturalną sytuacją” nazywał możliwość odzyskania przez nas niepodległości, dążenia do tego celu – „niepokojami społecznymi”, a „szowinizmem” – polski patriotyzm... Podobnych zgrzytów w dokumencie jest więcej.

Trzeba jednak zauważyć, że Morgenthau określenie „pogromy” uznał za niewłaściwe i zamienił je na „ekscesy”, a władze polskie uwolnił od zarzutu ich inicjowania. W raporcie (pkt 6) czytamy: „Misja celowo unikała słowa »pogrom«, bowiem słowo to stosuje się zarówno do drobnych zająć, jak również przygotowanych i starannie przeprowadzonych masakr. Brak stosownej definicji słowa”.



Ośmiu posłów żydowskich na Sejm Ustawodawczy w 1919 r. zaangażowanych w sprawę utworzenia Judeo-Polonii: 1. rabin Mojżesz Halpern, 2. Noach Przyłucki, 3. rabin Abraham Perlmutter, 4. Salomon Weinzieher, 5. Icchak Grunbaum, 6. dr Ozjasz Thon, 7. Jerzy Rozenblatt, 8. dr Icchak Schipper FOT. ZBIORY ŻIH

■ Dalej (w pkt 8) zamieszczony został znamieny passus: „Zajścia, o których mowa, nie wydają się planowane, bo gdyby tak było, liczba ofiar sięgałaby tysięcy zamiast ok. 280”.

A oto osiem ekscesów, którymi zajęła się komisja, w największym skrócie:

• **Kielce, 11 listopada 1918 r.** Podczas żydowskiego mitingu w poszukiwaniu broni do budynku wtargnęli policjanci i cywile. Bili oni Żydów – podobnie jak tłum na zewnątrz. Czterech Żydów zmarło, a wielu odniosło rany.

• **Lwów, 21–23 listopada 1918 r.** Po wyzwoleniu miasta z rąk Ukraińców w dzielnicy żydowskiej dokonano aktów przemocy i rabunków. Zabito 64 Żydów. Kres tumultom położyły oficerskie patrole, a winnych pociągnięto do odpowiedzialności.

• **Pińsk, 5 kwietnia 1919 r.** Po rozbiciu żydowskiego zgromadzenia, którego uczestników podejrzewano o bolszewicką agitację, polskie wojsko dokonało egzekucji 35 Żydów. Morgenthau uznał, że byli oni niewinni, a sąd nad nimi był fikcją.

• **Lida, 17 kwietnia 1919 r.** Po odbiciu miasta z rąk bolszewickich żołnierze polscy napadali na domy żydowskie i je rabowali. Zamordowano 39 Żydów.

• **Wilno, 19–21 kwietnia 1919 r.** Żołnierze polscy – przekonani, że wileńscy Żydzi strzelali do nich podczas walk z bolszewikami o miasto – weszli do ponad 2 tys. żydowskich domów. Zabito 65 Żydów. Dokonywano też rabunków.

• **Kolbuszowa, 7 maja 1919 r.** Wieśniacy poruszeni pogłoską o mordzie rytualnym zaatakowali miejscowych Żydów. Zamordowano ośmiu z nich.

• **Częstochowa, 27 maja 1919 r.** Pogłoska o postrzeleniu polskiego żołnierza spowodowała zamieszki, w wyniku których śmierć poniosło pięciu Żydów.

• **Mińsk, 8 sierpnia 1919 r.** Po wyparciu bolszewików z miasta żołnierze polscy zaatakowali miejscowych Żydów, zabijając 31 z nich i plądrując sklepy. Dokonywano tego mimo obecności przedstawicieli komisji USA i rozkazów polskiego dowództwa.

Komisja rządu USA określiła „sytuację ekonomiczną jako katastrofalną”. Czytamy (w pkt 14): „Przemysł i handel prawie zanikł. Braki, drożyzna i zła dystrybucja żywności zagrażają bytowi i zdrowiu ludności miast. W rezultacie setki tysięcy ludzi cierpi głód, są półnagzi, tysiące umierają z powodu chorób i niedożywienia. Upadek handlu odczuwany jest głównie przez Żydów, którzy prawie w całości są od niego zależni. Z powodów opisanych warunków ceny wzrosły dwu- i trzykrotnie, a ludność swą frustrację kieruje przeciw żydowskiemu handlarzom, których oskarża o istniejącą nienaturalną drożyznę”. Dodajmy tu jednak, że drożyzna służyła właśnie żydowskiemu pośrednikom...

Tworzenie kooperatyw Morgenthau skomentował następująco: „Zakładanie sklepów spółdzielczych jest postrzegane przez wielu Żydów jako dyskryminacja. Wydaje się jednak, że to zjawisko jest uzasadnionym środkiem zredukowania aktywności, a co za tym idzie – także dochodów pośredników. Niestety, odkąd tego rodzaju sklepy pojawiły się w Polsce, używa się ich do walki z żydowskimi handlarzami”. Czyżby więc handlarze mieli utrzymać monopol?

„Rząd zaprzeczył (pkt 12), by dyskryminacja Żydów była częścią jego polityki, natomiast przyznał, że mogą zdarzać się pojedyncze przypadki, w których antysemityzm odgrywa rolę. Obiecano Misji, że rząd wykorzysta wszystkie swoje możliwości, by zwalczać dyskryminację”. W raporcie czytamy (pkt 18) o tworzeniu nowej polskiej konstytucji, w której „Polska potwierdziła swą wierność zasadom wolności, sprawie-

dliwości i praw dla mniejszości. Możemy być pewni, że Polska będzie wierna temu zobowiązaniu, które tak dobrze zgadza się z jej najlepszymi tradycjami”. Morgenthau kończy swój raport (pkt 16, 17) bezosobowym wezwaniem, by Polska „otrzymała hojną pomoc moralną, finansowaną i ekonomiczną całego świata, co zapewni przyszły sukces państwa” oraz postulatem utworzenia przez Ligę Narodów komisji mającej dalej badać, jak się mają rzeczy w naszym kraju, bo „podczas dwumiesięcznego pobytu... Misja nie była w stanie zrobić więcej ponad zapoznanie się z ogólną sytuacją...”. Dzieli się też przekonaniem (pkt 19), że „wszyscy obywatele Polski winni rozumieć, że muszą żyć razem”.

Ani Żydzi, ani Polacy nie byli zadowoleni z jego raportu. Pierwsi zarzucali mu ograniczenie badań do ośmiu najgłośniejszych wypadków oraz niedocenienie fali antysemityzmu i skali prześladowań Żydów w Polsce. Drugi podkreślali udział Żydów w walce przeciw państwu polskiemu i powierzchowne traktowanie głębszych, zawinionych przez Żydów przyczyn animozji między obu nacjami.

Ryszard Tyndorf, polski prawnik z Toronto, zasłużony dla obrony dobrego imienia Polski w Kanadzie, pisał, że Morgenthau nie uwzględniał m.in. „niechęci większości Żydów do przejmowania przez Polskę władzy na Kresach Wschodnich... nie dostrzegał antypolskich wystąpień Żydów... a reakcja władz polskich wobec sprawców antyżydowskich ekscesów była bardziej stanowcza i surowa...”. Z relacji dziennikarza Franciszka Krysiaka wynika, że podczas walk we Lwowie milicja żydowska informowała Ukraińców o działaniach sił polskich, a nawet je ostrzeliwała. Oskarżeni byli o to m.in. zbiegowie z lwowskich więzień – Bernard Apfelbaum, Joel Hutter, Wiktor Tanz, Henryk Horowitz i Michał Steil.

Odrębny od Morgenthaua tekst opublikowali dwaj pozostali członkowie komisji amerykańskiej – Jadwin oraz Johnson. Tyndorf pisał, że ich zdaniem problem stosunków polsko-żydowskich tkwił w separatyzmie społeczności żydowskiej oraz konkurencji gospodarczej. Podkreślali oni, że „ekscesy najczęściej miały miejsce albo w przypadku, gdy Rzeczpospolita powstawała, lub pod wpływem warunków operacji wojskowych”. W ich raporcie mówiono o zagrożeniu bolszewickim i podano przykłady strzelania przez

Żydów do żołnierzy polskich w Wilnie i Mińsku. Podkreślono, że władze polskie nie były odpowiedzialne za ekscesy. Zwrócono uwagę na to, że władze cywilne wytoczyły ich sprawcom procesy sądowe i zarządziły wypłaty odszkodowań. Raport kończy się optymistycznie: „To jest zasługa państwa polskiego, że najwyraźniej przeszło przez ten kryzys organizacji [...] Liczni przedstawiciele żydowskich delegacji zapewniali nas, że choć byli niepokojeni przez antyżydowskie nastroje [...], to nie obawiają się o swoje życie i bezpieczeństwo”.

Samuel miły Żydom

Aż trzy odrębne teksty złożyli członkowie komisji brytyjskiej, która działała w Polsce tuż po amerykańskiej (o czym mało kto pamięta). Jej głównym członkiem był sir Stuart Samuel – dyplomata i arystokrata angielski pochodzenia żydowskiego, a towarzyszył mu brytyjski kpt. P. Wright. Każdy z nich napisał swój raport, trzeci członek misji – sir Horace Montagu Rumbold – ambasador Wielkiej Brytanii w Warszawie, opatrzył je zaś wstępem, będącym właściwie kolejnym raportem.

Ford zauważa sarkastycznie, że „z pięciu raportów, złożonych przez Morgenthaua, Samuela, Jadwina, Wrighta i Rumbolda, Żydzi w Stanach Zjednoczonych rozpowszechnili tylko jeden, raport Samuela... Tylko za żadną cenę nie można było dostać raportu członka amerykańskiego ciała dyplomatycznego, przesłanego Senatowi przez prezydenta USA”. Wezwanie Samuela, by „silna dłoń państwa poskromiła obecne podniecenie prasy polskiej”, nazywa „nałożeniem kagańca” i zauważa: „Nie ośmieliłby się żądać tego w Anglii...”.

Ambasador Wielkiej Brytanii – Rumbold – raport przewodniczącego komisji swego kraju kwituje: „Bardzo wątpliwą usługę Żydom oddaje potępienie... państwa, gdzie Żydzi prawdopodobnie najmniej cierpieli”. A kpt. Wright próbę tłumaczenia „ujemnych cech żydowskich” stwierdzeniem, że „Żydzi byli narodem uciskany i prześladowanym”, porównuje z losem innych mniejszości narodowych i ocenia, iż byli oni „narodem nie najbardziej prześladowanym,

lecz najbardziej uprzywilejowanym w Europie”. Z kolei gen. Jadwin stwierdza: „Tendencyjne zabarwienie, przesada, zmyślanie i przemilczanie faktów, jednym słowem wszystkie metody złośliwej propagandy – oto zło, z którego przyczyny Polska musi cierpieć”.

Samuel piętnował w swym raporcie „żjadliwy bojkot... który nastąpił po wyborach do Dumy w roku 1912” i zwrócił opinię publiczną nie tylko przeciw kupcom żydowskim, w których rękach znajdował się wcześniej handel z Rosją, lecz także żydowskim producentom towarów. Pisał też, że nadal „wszyscy niemal ajenci rolni, którzy pośredniczą w handlu ziemiopłodami i oddają usługi polskiemu ziemiaństwu, są narodowości żydowskiej... Żydzi tworzą niemal całkowicie stan średni. Wyżej jest arystokracja, niżej – chłopci...”.

Zarówno Rumbold, jak i Wright zakwestionowali stwierdzenie o Żydach jako wytwórcach towarów oraz podważanie prawa Polaków do konkurencji ekonomicznej z Żydami. Ambasador brytyjski przypomniał o pozbawianiu Polaków posad w administracji od 1832 r., ale za to o zgodzie Rosjan na zakładanie polskich kooperatyw i towarzystw rolniczych, co popychało Polaków do zajmowania się handlem. Zwracając uwagę na wysiłki obecnego rządu polskiego, by powściągnąć bojkot, zaznaczył: „Zmuszenie obywateli do handlu z ludźmi, z którymi ci obywatele handlować nie chcą, nie leży w mocy żadnego rządu”.

Wright napisał też sugestywne porównanie do sytuacji w Polsce: „Pouczającym będzie wyobrazić sobie, jakby w tych samych warunkach wyglądała Anglia. Cudzoziemiec przybywający do Londynu spotkałby co drugą albo co trzecią osobę – Żyda... w mieście znajdowałyby się tysiące synagog. W Newbury okazałoby się, że cała niemal ludność jest żydowska, a każdy napis byłby wydrukowany hebrajskimi literami. W Berkshire przekonałby się, że wła-

ścicielem jedyne sklepu w większości wiosek jest Żyd i że miasteczka targowe składają się przeważnie z szop i ruder żydowskich. W Birmingham wszystkie domy handlowe stanowiłyby własność Żydów, a na trzy sklepy – dwa byłyby żydowskie”.

Stuart Samuel podniósł również kwestię bojkotu Żydów w sferze publicznej: „Z powodu, że ich język jest podobny do języka niemieckiego, Niemcy podczas okupacji korzystali z ich usług chętniej niż z usług Polaków... Rząd złożył publiczne oświadczenie, że potępia bojkot, ale zdaje się, że zachowano pewną różnicę w traktowaniu ludzi, którzy służyli podczas okupacji niemieckiej... wielu Żydów... zwolniono z urzędów i nie przyjęto ich z powrotem, gdy tymczasem nie zauważyłem podobnego postępowania w stosunku do innych Polaków”.

Na to Rumbold: „Niemcy... mogli znaleźć wielu Polaków, posiadających dobrą znajomość ich języka. Była wszakże ta wielka różnica, że Polacy służyli tylko z musu Niemcom, których uważali za swych wrogów”. Wright: „Okupacja niemiecka była dla Żydów okresem radości i triumfu... Niemcy znajdowali wszędzie ludzi, którzy znali ich język i mogli oddawać im usługi. Z pomocą Żydów właśnie Niemcy stworzyli organizację w celu wyeksploatowania i ogłodzenia Pol-

ski... W każdej dzielnicy, w każdym okręgu byli oni powolnym narzędziem w ręku Niemców, a ubodzy Żydzi stali się bogaczami, jako wierni słudzy swych panów... Zdawało się rzeczą pewną, że jedno z dwóch mocarstw, Niemcy albo Rosja, musi zwyciężyć i że Żydzi, którzy dali pieniądze obydwu stronom, są zupełnie zabezpieczeni. Tymczasem pogardzana przez nich Polska zmartwychwstała wcześniej. Dziś nawet Żydom trudno

uwierzyć w jej wskrzeszenie, a jeden z nich powiedział mi, że mu się to snem wydaje”.

Czy był to dla niego film z happy endem czy senny koszmar, nie wiemy...

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Kapitan Andrzej Rak podczas uroczystości 77. rocznicy utworzenia AK FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Wywiad / Z Andrzejem Rakiem, weteranem kampanii 1939 r.



rozmawia Piotr Włoczyk

Piekiło na Kresach

PIOTR WŁOCZYK: Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z Sowietami?

ANDRZEJ RAK: Jeszcze przed wybuchem wojny. Służyłem wtedy w kompanii wartowniczej 5. Pułku Lotniczego w Lidzie w województwie nowogródzkim. Ta historia zdarzyła się w 1939 r. Na naszym lotnisku były: mnóstwo cennego sprzętu lotniczego, magazyny z częściami do tych maszyn i duża prochownia. Obiekt był strategicznie ważny, było czego pilnować. Tym bardziej że zdarzało się, iż sowieccy szpiedzy kręcili się wokół lotniska, a nawet zakradali się do środka! W nie-

wyjaśnionych okolicznościach zginęło u nas kilku wartowników. Granica była niedaleko, więc to nie była zabawa. Tego dnia służba przebiegała zupełnie spokojnie, właśnie zbliżała się północ.

Gdzie pan wtedy był?

Krążyłem akurat przy budynku prochowni. To był najważniejszy budynek. Gdyby prochownia wyleciała w powietrze, wtedy... nie byłoby czego zbierać z lotniska. Nagle obok mnie coś się poruszyło w ciemności. Widziałem tylko zarys skradającej się sylwetki. Chwyciłem za karabin i krzyczę: „Stój!”.

Zero reakcji. Zasady były w takim przypadku jasne – strzelam. Pociągnąłem za spust i widzę, że ta postać przestała się ruszać. Idę więc w tamto miejsce i widzę, jak przede mną wyrasta jakaś postać. Oczywiście było, że to nie może być żołnierz, więc jeszcze raz przykładam karabin do oka, ale równocześnie widzę, jak tamten łapie za swój pistolet. Byłem szybszy – ten człowiek zginął na miejscu. Za chwilę pobiegłem sprawdzić ogrodzenie przy prochowni. Okazało się, że było rozcięte... Koledzy się zlecieli, alarm na całe lotnisko. Zabrali rannych i zabitego. Potem doszła do nas informacja, że to

byli sowieccy szpiedzy. To była jedyna taka akcja w czasie mojej służby, ale to nie był pierwszy sowiecki wypad na lotnisko w Lidzie. Dlatego tak bardzo trzeba było przestrzegać procedur. Byliśmy zresztą bardzo skrupulatnie sprawdzani przez przełożonych. Nawiasem mówiąc, raz taka kontrola przybrała bardzo niespodziewany obrót.

Co ma pan na myśli?

Któregoś dnia stoję przy bramie wjazdowej i widzę, jak w moją stronę podąża człowiek w mundurze. To też była ciemna noc. Krzyczę: „Hasło!”. W odpowiedzi słyszę kod, ale nieaktualny! Pamiętam jak dziś, że tego dnia hasłem było „Muszka Mołodeczno”. Złe hasło to nie przelewki, więc zgodnie z instrukcjami celuję w tego delikwenta i każę mu się położyć na ziemi. Miał wprawdzie na sobie mundur oficera, ale przebierańców przecież nie brakowało. Od czegoś te procedury w wojsku w końcu były... Tak się akurat złożyło, że w tym miejscu była spora kałuża. Facet był cały przemoknięty i miał nie tęgą minę. Przybiegli inni wartownicy i wtedy się okazało, że to oficer inspekcyjny, który pomylił hasło... Chodził i sprawdzał, czy wartownicy nie śpią na służbie, co – niestety – czasem się zdarzało. Powinien być zadowolony z mojej postawy, ale to tylko moje domysły, bo już nigdy nie widziałem tego człowieka (śmiejek).

Lida była ciężko bombardowana przez Niemców na samym początku września 1939 r. To był ważny węzeł kolejowy. Jak mocno oberwało lotnisko?

Bardzo solidnie nas Niemcy zbombardowali. Zresztą to wtedy zostałem ranny po raz pierwszy w życiu. Nagle na niebie wyrósł niemiecki bombowiec nurkujący. Leciał wprost na mnie. Rzuciłem się na ziemię, ale bomba wybuchła tuż obok. Zupełnie mnie przysypało. Szrapnele trafiły mnie w rękę i w nogę. Kiedy spojrzałem na mój plecak, nie mogłem wyjść ze zdumienia. Cały był poszarpany odłamkami. W środku miałem kilka twardszych przedmiotów, które zatrzymały duże szrapnele. Gdybym nie miał wtedy na sobie plecaka, zostałemby podziurawiony jak sito.

Kiedy wiadomo już było, że wojna jest przegrana, nasz dowódca pozwolił nam na powrót do domów.

Wtedy jednak Armia Czerwona już zalewała Kresy...

To był szok i niedowierzanie, że zostaliśmy wzięci w kleszcze. Jak ci ludzie wyglądali... To była armia nędzarzy. Obdarte mundury i te niezapomniane karabiny na sznurkach. Co to za armia, która nie daje porządnego paska do broni? Razem z sześcioma kolegami z jednostki, którzy byli z moich stron, postanowiliśmy dostać się drezyną z Lidy do Mołodeczna.

Niestety, to nie było takie proste. W Mołodecznie pojmali nas Sowieci i wrzucili do budynku stacji kolejowej, gdzie przetrzymywani już byli inni polscy żołnierze. Ja jednak nie przyjmowałem do wiadomości, że czeka mnie sowiecka niewola. Nie zamierzałem im na to pozwolić.

Miał pan wybór?

Musiałem sobie stworzyć wybór. To były moje tereny, byłem u siebie, więc postanowiłem uciekać. Jestem rocznik 1914, pamiętam jeszcze mgliście, jak przez moją wioskę przewalały się masy wojsk bolszewickich w 1920 r. To była zgroza. Mieszkałem 12 km od granicy z ZSRS, więc żyliśmy z rodziną w cieniu tego zbrodniczego państwa. Każdy wiedział, że bolszewicy są zdolni do wszystkiego. Niewola u nich nie wchodziła w grę.

Jak wyglądał pański plan ucieczki?

Namówiłem kilku kolegów. W budynku stacyjnym trzymali nas pod niewielką obstawą. Mój plan nie był skomplikowany. Po prostu... zgasiłem światło. Momentalnie rzuciłem się z kolegami w kierunku drzwi i poturbowaliśmy dwóch kompletnie zaskoczonych strażników. Zabraliśmy im karabiny i w nogi! Biegliśmy wzdłuż torów kolejowych. Nikt za nami nie podążył.

Chyba Ruscy nie połapali się w sytuacji. Po chwili na moście kolejowym wpadliśmy na kolejnych dwóch sowieckich strażników. Wzięliśmy ich zaskoczenia i zepchnęliśmy ich do rzeki. Wróciłem do domu.

Mieliśmy w wiosce Piąty Bór duże gospodarstwo – dwie włóki ziemi, czyli około 40 ha. Ojciec był gajowym. Było nas sześciu chłopów – miałem czterech braci i pięć siostr – ale i tak ciężko było to wszystko obrobić, tym bardziej, że

mieliśmy też mnóstwo zwierząt. Dwa lata później spotkała nas potworna tragedia.

Wtedy z kolei przez tamte tereny przetaczały się masy wojsk niemieckich prących w głąb ZSRS.

Na czarną godzinę przygotowałem przy domu mały schron. Ta wojna była tak potworna, że wszystko mogło się zdarzyć, więc dobrze było mieć zabezpieczenie. Tamtego dnia obudził mnie pies, który wściekle szczekał. Zobaczyłem nadchodzących Niemców. Byli tuż przy domu. Zdażyłem tylko złapać po drodze młodszą siostrę i rzuciłem się z nią do schronu. Niemcy podpalił gospodarstwo, ale nie wiedziałem, co się dzieje z moimi bliskimi. Do późnej nocy siedzieliśmy tam z siostrą. Zasnęliśmy. Obudził nas kobiecy szloch. Kiedy uchyliłem wejście do kryjówki, zobaczyłem zanoszącą się lamentem teściową mojego brata. Mój rodzinny dom był spalony, tak samo jak sąsiednia chałupa należąca do brata. Na progu naszego domu leżała mama. Zastrzelona i spalona do połowy... Zostałem sierotą, bo ojciec zmarł niedługo wcześniej. Teściowa brata była w rozpacz, bo odkryła dalej ciało swojej córki, mojego brata i ich dwojga dzieci. Następnie pozwoliła mi z siostrą pomieszkać we własnym domu przez pewien czas. Bardzo nam wtedy pomogła.

Pod koniec wojny znów nie miał pan spokoju...

Nie dali mi żyć spokojnie. Gdy na nasze tereny weszli Sowieci, najpierw zostałem wysłany na krótko na wschód do pracy, a potem wcielili mnie do 1. Armii Wojska Polskiego. Przez ruiny Warszawy i Berlina dotarłem aż nad Łabę. W międzyczasie napatrzyłem się, jak wygląda sowieckie podejście do człowieka. Życie żołnierza się nie liczyło. A życie polskiego żołnierza tym bardziej. Kiedy skończyła się wojna i stanęliśmy nad Łabą, nie miałem dokąd wracać, bo nasz przepiękny, swojski Piąty Bór trafił pod sowiecki but. To był koniec moich ukochanych polskich kresów, koniec tamtego życia. Musiałem wszystko zacząć od nowa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

kpt. Andrzej Rak (ur. 1914 r.)

– jest weteranem wojny obronnej 1939 r., służył w 1. Armii WP i dotarł w jej szeregach nad Łabę.



1884–1954 / Autorka „Granicy”, „Medalionów”, „Dzienników”

Życie i miłość Nałkowskiej



Krzysztof Masłoń

Zofię Nałkowską naprawdę interesują tylko sprawy płci. Demon płci, który wszechwładnie panuje nad jej umysłem – pisał Jarosław Iwaszkiewicz

Stefan Kisielewski w „Abecadle Kisiela” obszedł się z nią – jak to Kisiel – nieco po prostaku, w każdym razie nazbyt szorstko: „Zofia Nałkowska – znałem. Była to erotoman-ka, dobra pisarka. Ona nie ukrywała erotomanii, ale raz się nacięła... Bo się zakochała w pewnym człowieku i nie mogła zrozumieć, dlaczego on nie... reaguje. A był to Karol Szymanowski, po prostu »pedał«. Ona się długo nie mogła zorientować, o co chodzi”. Od razu uściślijmy, tak było nieraz. Już po wojnie znów wybrała sobie obiekt uczuć równie niefortunnie, mianowicie znanego dramaturga Jerzego Zawieyskiego. Angażowała się też jednak w związki bardziej klasyczne, także z pisarzami młodszymi od siebie, w związku z tym ukuto powiedzenie, że do literatury polskiej młodemu autorowi najłatwiej dostać się przez łóżko Nałkowskiej właśnie (Schulz) lub Iwaszkiewicza (Miłosz).

Jednak że trudno w tej materii rywalizować z badaczami, którzy pasjonują się

tym, ile nocy spędziła pisarka ze swoimi partnerami (z twórcą „Sklepów cynamonowych” stało się to, ponoć, jeden jedyny raz), skupmy się więc raczej na innych zagadnieniach z życia autorki, znanej średnio wykształconemu Polakowi z jednej powieści „przerabianej” w szkole, czyli „Granicy”. No, może jeszcze niektórzy pamiętają „Medaliony”, ale nie byłbym tego pewny.

Zofia Nałkowska urodziła się w 1884 r. w Warszawie. Była córką Wacława Nałkowskiego, geografa, pedagoga i publicysty, oraz Anny z Safranków, nauczycielki i autorki podręczników geografii. Jej siostra, Hanna, była rzeźbiarką. Odebrała wykształcenie domowe, uczyła się przez trzy lata na pensji, uczęszczała również na wykłady tajnego Uniwersytetu Latającego, ale regularnych studiów nie ukończyła. Debiutowała wcześniej wierszami, w roku 1898, wcześniej też, bo w 1904 r., wyszła za mąż za Leona Rygiera, pisarza i pedagoga. Po trzech latach rozstała się z nim, angażując się w tym czasie, wraz z ojcem, w obronę Stanisława Brzozowskiego.

Po odzyskaniu niepodległości podjęła pracę w Biurze Propagandy Zagranicznej przy Prezydium Rady Ministrów, współorganizując Związek Zawodowy Literatów Polskich, później kilkakrotnie będąc prezesem bądź pełniąc funkcję wiceprezesa tego związku. W 1922 r. poślubiła ppłk. Jana Tomasza Gorzechowskiego, bohaterskiego „Jura”, bojownika PPS, dowodzącego brawurową akcją uwolnienia z Pawiaka w 1906 r. 10 więźniów politycznych skazanych na karę śmierci. To na podstawie jego wspomnień w 1931 r. Ryszard Ordyński zrealizował legendarny film „Dziesięciu z Pawiaka”.

Nałkowska pozostawała jego żoną przez siedem lat, mieszkała z nim m.in. w Zameczku pod Wilnem i w Grodnie. Po powrocie do Warszawy prowadziła w stolicy salon literacki, aktywnie uczestniczyła w życiu środowiska pisarskiego, wyjeżdżała też na dłużej, przede wszystkim do Francji, nie zaniebując pracy nad kolejnymi powieściami. Pierwszą z nich były, wydane jeszcze w 1906 r., „Kobiety”. Powieść przyjęta została, powiedzmy, sceptycznie, po czym funkcjonowała raczej jako kuriozum, nim została zapomniana, za to całkiem niedawno z niekłamany (?) entuzjazmem odczytała ją na nowo krytyka spod znaku feminizmu.

Profesor Grażyna Borkowska we wstępie poprzedzającym wydanie „Kobiet” z roku 2010 stwierdziła, że pisarka „jest zafascynowana seksualnością, erotyzmem – własnym i cudzym. Wiele stronicy poświęca autorka prostytucji rozpatrywanej nie jako fenomen społeczny, ale jako fenomen antropologiczny z pogranicza natury i kultury. Kiedy handluje się ciałem, kiedy kupuje się zaspokojenie nieskrywanego pożądania. Kiedy się mówi wprost bez osłonek: chcę, pragnę, daję, biorę. Dermowiczówna [bohaterka »Kobiet« – przyp. K.M.] mówi wprost również o swoim pożądaniu (»Wiosna idzie – Jezus Maria! Wiosna idzie! Słońce piecze – i wieje chłodny wiatr. Jestem taka szczęśliwa i rozszalała, jak zwierzę. Rzuciłabym się na szyję pierwszemu ładnemu mężczyźnie napotkanemu na ulicy«). Ale nie umie go równie prosto zaspokoić. Akt seksualny jest w jej oczach czynem doniosłym, przekroczeniem Rubikonu, złamaniem tabu, zdradą

■ wobec wielkiej prawdziwej miłości, której się oczekuje. Dlatego pozostaje gra – przeciągania i odpychania, flirtu, uczuć skrywanych i odsłanianych, zbliżeń i ucieczek. Gra męcząca i w każdym wymiarze – jałowa, a jednak nieunikniona, powracająca jak fala”.

Dobry tylko tytuł

Z bardzo wielu powstałych przed wojną powieści Nałkowskiej karierę – poza „Granicą” (1935) – zrobiły jeszcze „Dom nad łąkami” (1925) i „Romans Teresy Hennert” (1923), po wojnie postrzegany głównie jako przykładowa krytyka II Rzeczypospolitej i nawet sfilmowany przez Ignacego Gogolewskiego w 1978 r. Do lektury tej powieści po latach, dokładnie w roku 1961, powróciła Maria Dąbrowska. Mile zaskoczona, komentowała: „Nie pamiętałam argumentacji jej komunizujących bohaterów. Ze zdziwieniem zobaczyłam teraz, że w tej książce wyrażone zostały poglądy najzupełniej legitymujące Nałkowską z zajęcia od pierwszej chwili postawy prokomunistycznej. Są jakby żywcem wzięte z dzisiejszego »diamatu«. Ale to bardzo dobra powieść, która chyba zostanie w trwałym dorobku literatury”.

Tak się nie stało, do skarbnicy literackiej – raczej niespodziewanie – weszły „Dzienniki”, które Nałkowska prowadziła niemal przez całe swoje życie, ale najciekawsza ich część przypada na lata wojny i okupacji hitlerowskiej. Był to czas dla niej trudny, jakże odmienny od lat, gdy była żoną dostojnika państwowego, nie najwyższego wprawdzie szczebla,

za to bohatera (!), a i późniejszych, kiedy w przerwach między wojażami współredagowała ze swoim kolejnym uczuciowym partnerem, Bogusławem Kuczyńskim, „Oblicze Dnia”, otrzymywała Państwową Nagrodę Literacką i Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

Podczas okupacji żyła biednie w Warszawie, utrzymując się z prowadzenia sklepiu tytoniowego i zaliczek otrzymywanych od Zbigniewa Mitznera na przyszłą książkę, którą miały być „Węzły życia”, a które niesatysfakcjonowały nikogo chyba. Powstanie warszawskie przeżyła pod stolicą, gdzie akurat się znalazła, a następnie zamieszkała w Łodzi, by do Warszawy powrócić dopiero pięć lat później. Na razie jednak za-trzymajmy się w okupowanej przez Niemców Warszawie i wczytajmy w strony „Dziennika” Zofii Nałkowskiej, po których lekturze nawet niechętnie jej osoby zmieniły zdanie o tym pisarstwie. I tak Jerzy Andrzejewski mógł wtedy napisać: „Wspaniała Nałka!”, choć wcześniej: „Biedna Nałka!” i „Śmieszna Nałka!”, z pewnością nadto protekcjonalnie zarzucając Nałkowskiej „łatwość snucia domysłów, iż każdy, kto szuka jej towarzystwa – musi się w niej kochać”.

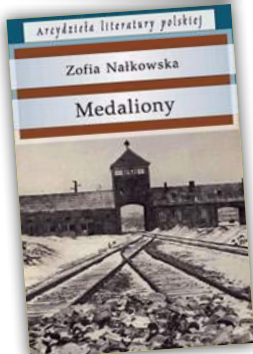
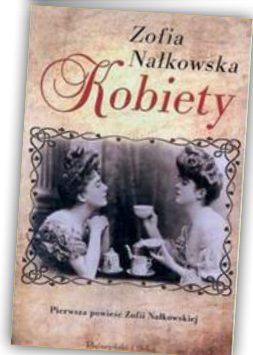
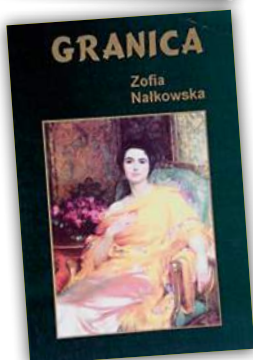
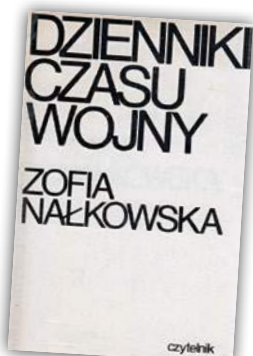
Konsekwentnie krytyczny był natomiast wobec niej Jan Lechoń, który w styczniu 1950 r. wspominał: „Żeromski, kiedy Nałkowska wydała swój »Dom nad łąkami«, powiedział mi: »W każdej kamienicy jest paru ludzi, którzy mogliby to napisać«. Brzozowski skarżył się w swoim »Dzienniku«, że są ludzie, którzy uważają Nałkowską za kobietę inteligentną. Mimo tych opinii ten ordynarny i zarazem pretensjonalny babski dorobkiewicz

w pewnej chwili zasiadł w pierwszym rzędzie literatury, wybrany został do Akademii i wreszcie stał się przodownikiem literackiej zdrady. Wszystko dlatego, że Żeromski był za wielki, aby tę babę zmiażdżyć jednym słowem w druku. I tak robi się u nas sławy, wielkości i zapomnienia”.

Nawet po śmierci pisarki nie złagodził swojej oceny: „Umarła Nałkowska. Wszystko chciało się od razu wybaczyć Tuwimowi, jej – choć mniej się miotła – pamięta się wszystko. Jeszcze jeden dowód, że wielki talent, geniusz to łaska Boska. Odmówił jej Bóg na pewno, tej pretensjonalnej osobie, zawsze się na coś snobującej, a najczęściej na wszystko razem – na panią Marię Krasińską i na rany społeczne. Czytałem niedawno jej »Niecierpliwych« jak złośliwą parodię, autoparodię. W »Niedobrej miłości« dobry jest tylko tytuł. Reszta bardzo niedobra”.

Egeria wyższego towarzystwa

„Dzienniki” udostępniane były czytelnikom stopniowo od 1970 r. Oczywiście nie mógł ich znać Lechoń, ale Iwaszkiewicz już tak. Naprawdę u podłoża wielu krytycznych głosów o pisarstwie autorki „Granicy” leży zdumienie czy wręcz zgorznienie ewidentną seksualnością pisarki. Sporo pisze na ten temat Hanna Kirchner, świetna biografka Nałkowskiej i autorka przypisów do jej „Dzienników”, zdaniem wielu znawców tematu ciekawszych niż same „Dzienniki”, w każdym razie pozostających w swojej dziedzinie klasą dla siebie. Otóż w „Nałkowskiej albo życiu pisarza” Kirchner tak odnosi się np. do stosunku Iwaszkiewicza do pisarstwa Nałkowskiej: „[...] obok słów szacunku i uznania dla pisarki i opinii o wysokiej randze »Dzienników czasu wojny«, bo o nich mowa, nie ukrywał zaskoczenia, że jej postać daleko wykracza poza stereotyp »sądów, jakieśmy sobie o Nałkowskiej stworzyli«. Podnosząc różne walory »tej bardzo pięknej książki«, sławi też »niezwykłą osobowość« pani Zofii: »niezłomna wola tej kobiety, górująca nad wszystkimi biedami, chęć utwierdzenia swego istnienia, utrzymywania się na dotychczasowym poziomie myślenia«. A zaraz przy tym orzeka: »naprawdę interesują ją tylko sprawy płci«, »demon płci, który



wszechwładnie panuje nad jej umysłem». Pomińmy fakt, kto to mówi, ale przecież ta diagnoza kłóci się z innymi sądami felietonu. Podobnie w szkicu »Wielka Dąbrowska, o Przygodach człowieka myślącego«: »Druga sprawa, która zresztą może razić wszystkich przyjaciół Dąbrowskiej, to [...] odsłonięcie rąbka swojego erotyzmu«.

Równie zdumiewający mizoginiczny wstręt do kobiecej seksualności i prawa do jej wystowienia objawił prawdziwy macho i samiec alfa, z właściwą sobie arogancją, do której zresztą chętnie się przyznaje, Czesław Miłosz. Zanim odwoła uprzednią stałą niechęć do tej postaci i wypowie swoje poruszenie i podziw po lekturze wojennych zapisków Nałkowskiej, zacznie od pogardliwego epitetu. Warto przytoczyć całość hasła z późnego „Abecadła” poety:

„NAŁKOWSKA ZOFIA. Nie lubiłem jej powieści. Jako osoba pojawiała się na horyzoncie w otoczeniu innych członków Akademii Literatury i jako egeria wyższego towarzystwa Warszawy, co nie zachęcało do jej poznania. W przeciwieństwie do moich rówieśników, takich jak Breza, Rudnicki, Gombrowicz, Zawieyski, nie należałem do jej grona. Poznałem ją w Krakowie po wojnie [błąd pamięci; poznał pisarkę w grudniu 1943 r. na »rybce« w domu Maurersbergera, ul. Senatorska 28/30. Zob. »Dzienniki 1939–1944, s. 506–507], w otoczeniu komunistycznych oficjów, ale wtedy zdaje się była już zupełnie głucha, a jej powieść »Węzły życia« zostawiła mnie obojętnym.

Przeczytałem jej dziennik, tom IV [»Dzienniki«, tom V] z lat wojennych, i doznałem wstrząsu. Odsłania się w nim z całkowitą uczciwością i okrucieństwem wobec własnej osoby, a czytelnik myśli, że oto ma przed sobą istotę ludzką, która zasługuje na najwyższy podziw. Taka, jaka jest, ze swoją komiczną samicością starej kobiety, oglądającej się bez ustanku na spojrzenia mężczyzn i ich komplementy, ze swoją listą byłych mężów i kochanków, ze swoją straszliwą miłością do matki trwającą i trwającą poza matki grób, z prawdziwie rozdzierającą litością i współczuciem dla ludzi, z wczepianiem się w nich, z Warszawą getta, likwidacji, rozstrzeliwań. Wielka



Stanisława Korwin-Szymanowska, Zofia Nałkowska, Karol Szymanowski

FOT. NAC

pisarka, która zrealizowała się w sposób dla siebie niespodziewany, dla której notatki »Dziennika« były tylko zamiast prawdziwego pisania, do czego tęskniła, a prowadzenie sklepu, ta z mora i konieczność, okazało się opatrnościowe dla dzieła, jakim jest »Dziennik«, bo gdyby nie sklep, pewnie by siedziała i pracowała nad kolejną powieścią. I warto zauważyć, że ta książka bólu, nieszczęść, rozpacz i siły woli wbrew wszystkiemu jest ateistyczna. Jak poezja Różewicza. Znamienna przez to dla pewnej fazy w dziejach polskiej literatury. Właśnie jej przekonanie, że ze śmiercią kończy się wszystko dla człowieka, nadaje »Dziennikowi« ton rozdzierający».

Jedno oschłe zdanie

Powojenna Nałkowska to temat sam w sobie, ale będący fragmentem daleko szerszej panoramy, którą nazwać by można „Intelektualiści u nowego żłoba” albo – wzorem Jacka Trznadła – „Hańba domowa”. Zofia Nałkowska w 1947 r. wybrana została na posłankę do Sejmu Ustawodawczego. Uczestniczyła w Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. Była działaczką Komitetu Obrońców Pokoju i Ligi do Walki z Rasizmem. Znowu otrzymywała nagrody państwowe, przyjmowała order, cud, że jeszcze udawało się jej coś napisać, choć z rzeczy powojennych, oczywiście poza „Dziennikiem”, ważne są jedynie „Medaliony”, powstałe po tym, jak bezpośrednio po wojnie uczestniczyła w pracach Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Chociaż i one nie zostały wcale przyjęte z ogólnym aplauzem.

Maria Dąbrowska np. nie poznała się na nich – czy nie chciała się poznać – wcale. „B. słabe – pisała – i makabra z czasów okupacji. Makabrę można opisywać tak jak Kossak-Szczucka. Podana z lodowatą elegancją pustki wewnętrznej – nudzi i razi”. To akurat nieprawda, ale animozje między pisarkami były trwałe, o czym świadczy m.in. zapis z listopada 1952 r.

z relacją z jubileuszu 40-lecia pisarskiej pracy Dąbrowskiej. Autorka „Nocy i dni” z satysfakcją odnotowała: „Owacjom nie było końca, a co dziwniejsza, wszystkie przemówienia pisarzy były tak sympatyczne i serdeczne, że się nigdy tego po współkolegach nie spodziewała. Złośliwy by zauważył: mówili tak, jakbym już umarła i nie mogła już nigdy niczym nikogo zaćmić. Tylko Nałkowska wyrzekła jedno oschłe zdanie, ktoś na to powiedział: »Nawet Słowacki, mówiąc o Mickiewiczu, nie mógłby być bardziej powściągliwy«”.

Zofia Nałkowska zmarła w rządowej lecznicy przy ul. Emilii Plater 17 grudnia 1954 r. o godz. 18. Trzy dni później Maria Dąbrowska pojechała z kwiatami do jej mieszkania w Domu Literatury: „[...] zastałem tylko jej legendarną służącą Genię [Genowefę Goryszewską – przyp. K.M.], bardzo zmienioną i markotną. Pani Zofia leżała w swoim salonie, w jakimś zaniebaniu, trumna na dwu stołkach, między którymi postawiona miska z lodem. Żadnych kwiatów i dobrze się stało, że tę trochę przyniosłam. Ubrana w granatowy kostium wyglądała bardzo pięknie i młodo. Nigdy, zwłaszcza w ostatnich latach, nie była taka za życia. Jakby odeszły z jej twarzy wszystkie zniekształcające ją ambicje światowe, miny kokietyjne, wystąpiła sama bezpretensjonalna, surowa piękność rysów”.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Przed pochówkiem trumna została wystawiona w Pałacu Prymasowskim (Ministerstwo Kultury i Sztuki). Dąbrowska wspominała: „[...] postać przy jej trumnie na »warcie żałobnej«, bez przykrości i nawet jakby z dzieciinną dumą. Na pogrzebie świeckim i w Alei Zasłużonych było zatrzęsienie aut luksusowych, ale osób może ze sto, nie więcej”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

O Śmigłym pisze się niewiele, a jeżeli już, to źle” – stwierdzają Sławomir Koper i Tymoteusz Pawłowski, autorzy książki „Tajemnice marszałka Śmigłego-Rydza”. Do dziś marszałka otacza czarna legenda, stworzona zarówno przez „sikorszczyków”, jak i komunistów. Nieudolny Wódz Naczelny w kampanii wrześniowej, który haniebnie porzucił swoje wojska – oto istota tej legendy.

Autorzy zmierzili się portretem marszałka malowanym ciemnymi kolorami. Ich obraz Śmigłego wygląda zupełnie inaczej i jest właściwie rehabilitacją.

Czarna wrześniowa legenda Śmigłego przesłoniła jego wcześniejsze dokonania. Autorzy podkreślają, że był on jednym z najlepszych dowódców, począwszy od służby w Legionach, gdy dowodził batalionem i pułkiem. W 1919 r. miał walny udział w zdobyciu Wilna, doskonale spisał się jako dowódca 3. Armii, podczas wyprawy na Kijów w 1920 r. („najlepszy polski dowódca”) i dokonał „mistrzowskiego odwrotu”, wziął udział w rozstrzygającym kontruderzeniu znad Wieprza. Wiele lat później jego dowodzenie podczas wojny z bolszewicką Rosją spotkało się z dużym uznaniem samego Józefa Stalina.

Bardzo wysoką ocenę wystawił gen. Śmigłemu Józef Piłsudski, uważając go za jednego z kandydatów na Naczelnego Wodza. I jako Naczelny Wódz w kampanii wrześniowej nie zawiodł – oceniają Koper i Pawłowski. Polska nie mogła nie przegrać samotnej konfrontacji z Niemcami, ale mieliśmy przecież sojuszników. Plan marszałka polegał na ściągnięciu wszystkich sił na przedmoście rumuńskie. Był, w ciężkich warunkach, realizowany. „Na przedmościu polskie dywizje miały doczekać ofensywy na Zachodzie i z czasem przejść do kontrataku” – podsumowują autorzy. Agresja sowiecka 17 września przekreśliła tę koncepcję.

Co do przejścia marszałka do Rumunii to autorzy aprobują decyzję Śmigłego. Marszałek stwierdzał, że nie było dla niego trudnością dołączyć do walczących oddziałów i bohatersko zginąć. Uznał jednak, że powinien kontynuować walkę u boku aliantów, organizując wojsko polskie na Zachodzie. Zabrakło może tylko, jak uważają autorzy, patetycznego gestu, którzy Polacy tak lubią i który osłodziłby klęskę. Mógł Śmigły przejść granicę jako ostatni polski żołnierz.



FOT. MAC

Książka miesiąca / Biografia marszałka

Odczernianie Śmigłego

Największe tajemnice marszałka wiążą się z jego powrotem do okupowanego kraju oraz jego planami. Autorzy burzą, białą tym razem, legendę, że Śmigły wrócił, by odkupić „winy” i walczyć jako prosty żołnierz konspiracji. Marszałek zamierzał stanąć na czele reaktywowanej POW i podporządkować jej sobie konspirację ZWZ. Ważniejsza jednak jest sprawa jego domniemyanych rozmów z Niemcami. W roku 1941 nic nie zapowiadało klęski III Rzeszy. Po stronie polskiej pojawiały się myśli o ułożeniu jakiegoś modus vivendi z III Rzeszą. Koper i Pawłowski stwierdzają, że nie ma dowodów na rozmowy Śmigłego z Niemcami, ale pozostawiają pewien margines wątpliwości. Tajemnicza pozostaje sprawa wyprawy „Muszkietierów” do gen. Andersa, z rzekomym rozkazem, rzekomo marszałka, by uderzył na wojska sowieckie. Prawdopodobnie była to prowokacja NKWD.

Śmigły zmarł w grudniu 1941 r. na atak serca. Czy aby na pewno? Tutaj także są pewne wątpliwości, których

jednoznacznie rozwiązać się nie da. Może został otruty? Komu mogłoby na tym zależeć? Autorzy odpowiadają: premierowi Sikorskiemu (uznał, że obecność marszałka byłaby dywersją w pracy konspiracyjnej w kraju – nie bez pewnej racji) i gen. Roweckiemu.

Wreszcie pogrzeb marszałka, oczywiście pod zmienionym nazwiskiem, mógł być mistyfikacją, a Śmigły stał się faktycznie internowaną osobą i zmarł pół roku później. Koper i Pawłowski uważają, że wątpliwości te można wyjaśnić tylko w jeden sposób: poprzez ekshumację szczątków, które skrywa na Powązkach nagrobek z napisem: „marszałek Edward Śmigły-Rydz”. ©©

Tomasz Stańczyk



**SŁAWOMIR KOPER,
TYMOTEUZ PAWŁOWSKI**
„TAJEMNICE MARSZAŁKA
ŚMIGŁEGO-RYDZA. BOHATER,
TCHÓRZ CZY ZDRAJCA?”

HARDE

Gorycz Waffen-SS

Untersturmführer (czyli podporucznik) Stahl służył w Waffen-SS od początku ataku na ZSRS. Występuje w roli korespondenta, zwiadowcy, dowódcy pododdziału, a czasem po prostu strzelca w okopie. Wysyłano go zarówno na południe frontu wschodniego, w stepy ukraińskie i pod Kaukaz, jak i na estońską północ. Wojnę kończył na Węgrzech, a wreszcie na południu Niemiec. W szeregach 1. Dywizji Pancerniej SS „Leibstandarte Adolf Hitler” czy 5. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Wiking” brał udział zarówno w triumfalnym parademarszu latem 1941 r., jak i w panicznej ucieczce wiosną 1945 r.

Na początku pisał: „Aż za często widzieliśmy, jak umierają te ofiary Kremla. Z twarzami bez wyrazu, tępo wpatrzeni w dal, jakby zahipnotyzowani terkotem naszych karabinów maszynowych, biegli prosto w grad pocisków. Często nawet w chwili śmierci na ich obojętnych twarzach nie pojawiał się żaden błysk świadomości czy szoku. Nadchodzili jeden za drugim, beznamiętnie niczym makabryczne marionetki...”. Pod koniec przyznaje, że Armia Czerwona zadawała ciosy nie do odparcia, a Niemcy nie potrafili zorganizować obrony: „Po raz pierwszy w czasie tej wojny widziałem całe kolumny uciekających wojsk niemieckich, z oficerami i bez nich...”

Kierowały się tylko jedną myślą: wrócić do Rzeszy”.

Odraza, z jaką polski czytelnik mógłby wziąć do ręki wspomnienia, bądź co bądź, esesmana, byłaby zrozumiała. A jednak warto je przeczytać, bo wojska SS były elitą militarnej siły III Rzeszy. Dostawały najlepszą broń, najsilniejsze czołgi, były świetnie wyszkolone i złożone z fanatycznie dzielnych (niestety, to fakt) dowódców i żołnierzy. Mogą zaciekać opisy ich bojów, taktyki czołgów, niezawodnych w niszczeniu tanków wroga armat „acht-acht” i szybkostrzelnych kcm-ów MG 42. Czy jednak trafią do nas gorzkie żale Stahla: na zawód sprawiony Ukraińcom, na pomiatanie Słowianami przez bonzów NSDAP, na atakowanie Kościoła katolickiego, na konflikt SA i Wehrmachtu, na niezrozumienie – w porównaniu z Sowietami – czym powinna być wojna totalna itd.? Skąd ta gorycz? Ponieważ przegrał. Co by było, gdyby wygrał? Takiego pytania nawet nie stawia – ani on, ani jego rodacy. ©©

Maciej Rosalak



ERICH STAHL
„PRZESZEDŁEM PIEKŁO.
Z WAFEN-SS NA FRONCIE
WSCHODNIM”

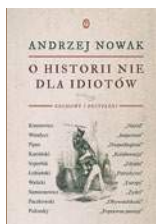
VESPER

Polski patos

Idiota to – z greki – osoba obojętna wobec spraw publicznych. Opowieść o historii, jaką snuje prof. Nowak, z pewnością dla idiotów nie jest. W rozmowach z innymi dziejopisami (m.in. Kieniewicz, Pipes, Samsonowicz) i we własnych esejach (np. o unii z Litwą) dociera do istoty wydarzeń często bolesnej, ale i dumnej oraz zwycięskiej historii Polski. Jest tam też zastanawiające – wzięte z „Poetyki” Arystotelesa – wyjaśnienie dorobku IPN jako tragedii. Elementem podstawowym jest uporządkowany układ zdarzeń (mythos), w którym występują trzy czynniki: bolesne zdarzenie (patos), dążenie do

jego rozpoznania (anagnorisis) oraz odwrócenie biegu zdarzeń (perypetia). Następuje to np., „gdy straszliwa zbrodnia zmienia się w trwałe i skuteczne ostrzeżenie. Nie dotyczy to tylko IPN. Taka refleksja obejmuje chyba historiozofię w ogóle... ©©

Maciej Rosalak



ANDRZEJ NOWAK
„O HISTORII NIE DLA
IDIOTÓW”

WYDAWNICTWO LITERACKIE



PIOTR ŚWIĄTKOWSKI
„SPRAWA FLORIANA
KNIOTKA”

VESPER

„REDAKTOR” I KAPUSIE

To zbeletryzowana historia inwigilacji poznańskiego pallotyna, ks. Floriana Kniotka (1935–2012). W latach 70. jeździł często do pallotynów we Francji, podejmując się także misji, którymi obarczała go opozycja w kraju. SB rozpoczęła więc akcję „Redaktor”, rekrutując tajnych współpracowników wśród znajomych i współbraci księdza. Przyczynek do haniebnej kwestii braku lustracji po 1989 r. ©© (m.r.)



**„PAMIĘTNIKI ŻOŁNIERZY
BATALIONU AK
„PARASOL”**

FUNDACJA HISTORIA.PL

CHŁOPCY Z „PARASOLA”

Książka zawiera m.in. wspomnienia najbliższej rodziny o Bronisławie Pietraszewiczu, dowódcy oddziału, który zastrzelił gen. Franza Kutschere, relacje z akcji odbicia go, a także innego uczestnika akcji – Mariana Sengera „Cichego” – ze szpitala. Jest również sylwetka Stanisława Jastera „Hela”, uciekiniera z Auschwitz, który został zastrzelony jako rzekomy zdrajca i konfident gestapo. ©© (t.s.)



JAKUB MORAWIEC
„DANIA”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

KRÓLOWIE I WIKINGOWIE

Kolejny tom świetnej serii wydawniczej „Początki państw”. Tym razem otrzymujemy pasjonującą opowieść o kształtowaniu się Danii. To historia wybitnych wodzów, dzielnych wojowników i brawurowych wypraw. Wielkiej chwały i wielkich łupów. Jakub Morawiec jest znakomitym znawcą średniowiecznej Skandynawii, a jednocześnie potrafi pisać w ciekawy, przystępny sposób. Książkę muszą przeczytać wszyscy interesujący się epoką wikingów. ©© (p.z.)



Napoleon i książę
Poniątkowski pod Lipskiem
MAL. JANUARY SUCHODOLSKI

Napoleon i Polacy

W powstałym zamieszaniu cesarz uznał, że najlepiej dla niego i otaczających go oficerów sztabu będzie schronić się w środku jednego z czworoboków. Wybrał nadwiślańczyków. Kochali go miłością starych, oddanych na śmierć i życie wiarusów. Napoleon wiedział, że w tym momencie nikt lepiej niż oni nie zapewni mu bezpieczeństwa.

Żadne ataki nieprzyjacielskich żołnierzy nie robiły na nich większego wrażenia. Podobnie jak na cesarzu, który ze szpadą w dłoni zagrzewał ich do walki. Wokół czworoboku wyrosła sterta ludzkich i końskich trupów. Regularne, równe salwy Polaków bezlitośnie kosiły jazdę, która w końcu poniechała krwawych, nieprzynoszących efektu szarż.

Prawda, że zgrabnie napisane? Nieoczekiwanie nasz rynek wydawniczy przebojem zdobywa znakomity popularyzator historii – Sławomir Leśniewski. Autor napisał ostatnio znakomite książki „Potop. Czas hańby i sławy” i „Drapieżny ród Piastów”. A teraz wzięł na warsztat epokę napoleońską.

Polski czytelnik przyzwyczajony jest do tego, że recenzenci chwalą książki, z których tezami się zgadzają, a krytykują te, z których tezami się nie zgadzają. Dlatego ta recenzja może być dla Państwa zaskoczeniem. Otóż ja z autorem zupełnie się nie zgadzam. W przeciwieństwie

do niego nie jestem bowiem entuzjastą tzw. legendy napoleońskiej. Uważam, że zawarta w książce negatywna ocena oficerów, którzy po upadku Napoleona służyli w wojsku Królestwa Polskiego i próbowali powstrzymać szaleństwo powstania listopadowego, jest wysoce krzywdząca.

Mimo tych zasadniczych różnic w poglądach historycznych muszę przyznać, że „Napoleoński amok Polaków” to świetnie napisana książka. Leśniewski ma wrodzony dar opowiadania ciekawych historii. A co najważniejsze, mimo że nie ukrywa swojej fascynacji Napoleonem, nie zamiata pod dywan epizodów, które cesarzowi chluby nie przynoszą.

Szczególnie wstrząsający jest rozdział poświęcony udziałowi Polaków w krwawym tłumieniu wolnościowej rebelii Murzynów na San Domingo. Dziesiątkowani przez żółtą febrę, w ekstremalnych, tropikalnych warunkach, nasi rodacy musieli brać udział nie tylko w wojnie niemoralnej i okrutnej. Konflikt nabrzmiewał do tego stopnia, że obie strony stosowały wobec siebie metody eksterminacyjne. Polacy niestety zostali przez Francuzów wciągnięci również w to bagno. Jasną stroną tej historii stanowi to, że ok. 120–150 naszych rodaków dobrowolnie przeszło na stronę Murzynów. ©©

Piotr Zychowicz



SŁAWOMIR
LEŚNIEWSKI
„NAPOLEOŃSKI
AMOK POLAKÓW”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Sekrety Medyceuszy

Ten ród był istną potęgą. Wydał z siebie m.in. dwie królowe francuskie (Katarzynę Medycejską i Marię Medycejską), a także trzech papieży (Leona X, Leona XI, Klementa VII) i wielu kardynałów. Nie było wtedy bogatszego domu bankowego od Medyceuszy. Piękny gród nad rzeką Arno, leżący u stóp Apeninów, był wprawdzie republiką, ale dzięki swoim przebiegłym machinacjom i bezdennej sakiewce Medyceusze rządili Florencją jak udziałni władcy. Na drodze do potęgi nie znali absolutnie żadnych ograniczeń, nie cofając się przed mordem politycznym.

Medyceuszy na szczyt zaprowadziły rządy Lorenzo di Piero de' Medici, którego historia nieprzypadkowo zapamiętała jako Wawrzyńca Wspaniałego. Szybko stał się jednym z najbardziej wpływowych graczy na Półwyspie Apenińskim. Jego syn Jan Medyceusz już w wieku 17 lat został przyjęty do grona Kolegium Kardynałów, by następnie, w wieku 38 lat, zostać głową Kościoła katolickiego. Leon X, bo takie imię przybrał Jan Medyceusz, uznawany jest za jednego z najbardziej kontrowersyjnych papieży w historii.

To za jego rządów Marcin Luter rozpoczął swoją reformację. Wawrzy-

niec Wspaniały zastąpił też jako jeden z największych mecenasów w historii sztuki. Medyceusze za jego czasów bardzo hojnie wspierali m.in. Michała Anioła i Leonarda da Vinci. Florencja stała się perłą renesansowej Europy. ©©

Piotr Włoczyk



MARY HOLLINGSWORTH
„MEDYCEUSZE. TAJEMNA
HISTORIA DYNASTII”

BELLONA

Walka i zbrodnie Grossdeutschland

Dywizja pancerna Grossdeutschland była bezsprzecznie jedną z najbardziej elitarnych jednostek Wehrmachtu walczących na frontach II wojny światowej. Część pierwszej monografii pułku, a potem dywizji, autorstwa oficera tej jednostki Helmutha Spaetera wydał Instytut Wydawniczy Erica.

Historia Grossdeutschland sięga

1939 r. Wtedy to nastąpiła reorganizacja stacjonującego w koszarach w Moabicie Wachregiment Berlin. Zgodnie z rozkazem z 12 czerwca 1939 r. przemianowano go na Pułk Piechoty Grossdeutschland (Infanterie Regiment Grossdeutschland). Jego zadaniem było pełnienie służby wartowniczej na kilkunastu obiektach w stolicy III Rzeszy oraz udział w paradach wojskowych. Pułk uczestniczył m.in. w paradzie z okazji 50. urodzin Adolfa Hitlera oraz obsługiwał wizytę adm. M. Horthyego, a także ministra spraw zagranicznych Włoch Galeazzo Ciano. Od 12 stycznia 1939 r. do obowiązków żołnierzy należało także strzeżenie Kancelarii Rzeszy.

Sześć dni po wybuchu wojny z Polską podjęto decyzję o skierowaniu regimentu na front jako jednostki desantu lotniczego.

Szybkie sukcesy Wehrmachtu i wkroczenie Sowietów na Kresy Wschodnie obroczyły te plany wniwecz. Dopiero w maju 1940 r., w ramach realizacji „Fall Gelb” („Żółty Plan”), żołnierze pułku wzięli udział w ataku na Francję. Autor o tym nie pisze, ale w trakcie kampanii 64 jeńców senegalskich wziętych do niewoli pod Bois d’Eraine zostało rozstrzelanych przez żołnierzy Grossdeutschland wraz z siedmioma protestującymi przeciw egzekucji francuskimi oficerami. Podobny incydent – o czym również autor milczy – wydarzył się podczas kampanii bałkańskiej. Tam pod miejscowością Pancevo zabito – w odwecie za zabójstwo niemieckiego żołnierza i ranienie kolejnego – 36 cywilnych zakładników.

Prawdziwym sprawdzianem umiejętności bojowych regimentu Grossdeutschland była inwazja na Sowiety. Pierwszy poważny kontakt bojowy z czerwonoarmistami pododdziały pułku nawiązały 30 czerwca 1941 r. Jak twierdzi Spaeter, żołnierze byli zaskoczeni zaciętością walk. Jeden z uczestników walk w okolicach Jelni wspominał:

HELMUTH SPAETER

„GROSS-DEUTSCHLAND. NA STRAŻY FÜHRERA. ELITA WEHRMACHTU”, TOM I

INSTYTUT WYDAWNICZY ERICA



„Nasze pozycje były bez przerwy pod ostrzałem od frontu i z boków. Ten ze skrzydeł stawał się coraz intensywniejszy. Nagle porucznik Hänert wylazł z własnej dziury. [...] Szedł powolnym krokiem wzdłuż linii frontu, prosto do stanowiska obserwacyjnego dział piechoty [...] ten spacer porucznika był ważny dla utrzymania pozycji. Dodawał ludziom odwagi. Porucznik Hänert cieszył się zaufaniem żołnierzy ze swojej kompanii, ale dzisiaj zdobył ich miłość”.

Walki na froncie wschodnim charakteryzowały się nieopisaną wprost brutalnością. Ten fakt potwierdzają wydarzenia, które rozegrały się w pierwszej połowie września 1941 r. w kotle kijowskim. Pułk GD opanował przyczółek na brzegu rzeki Sejm. Utrzymywano go siłami II Batalionu.

Sowietci odbili go w czasie jednego z nocnych wypadów. Kiedy czerwonoarmistów wyparto z zajmowanych pozycji, żołnierze ujrzeli makabryczny widok: „Na ziemi leżały porozrzucane, straszliwie okaleczone ciała ponad 30 strzelców, z odciętymi językami, wydlubanymi oczami. Bolszewików, czyli sadystycznych sprawców tej zbrodni, nie było widać. Gdy dotarły wieści o brutalnym mordzie na towarzyszach broni, w całym batalionie zapanowała jednocześnie smutek i wściekłość”.

Pierwsza część monografii Spaetera kończy się na roku 1942. Czytelnicy z pewnością będą ze zniecierpliwieniem oczekiwali na kolejne jej części. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Początki harcerstwa

Profesor Grzegorz Nowik przedstawia początki polskiego harcerstwa w latach 1908–1922.

Pierwsi zainteresowali się skautingiem działacze niepodległościowego „Zarzewia”, którzy od 1909 r. wprowadzili elementy skautingu do szkolenia wojskowego w tajnych Oddziałach Ćwiczebnym Polskiego Związku Wojskowego (Armii Polskiej). Członek tej organizacji Andrzej Małkowski przetłumaczył książkę „Scouting for Boys” założyciela skautingu gen. Roberta Baden-Powella. Pod polskim tytułem „Scouting jako system wychowania młodzieży” była podstawową lekturą dla polskiego skautingu, który został nazwany później harcerstwem.

Działacze PZW porozumieli się z Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół” i powstały drużyny sokole. Kolebką polskiego harcerstwa był Lwów. Pierwszy kurs skautingu zorganizowano w 1910 r. we Lwowie, a w kolejnym powstała Naczelna Komenda Skautowa. W 1912 r. we Lwowie odbył się pierwszy zjazd drużynowych i plutonowych. Drużyny skautowe powstawały we wszystkich zaborach. W Królestwie Polskim były tajne, więc maskowały swoją działalność wycieczkami szkolnymi, koloniami zdrowotnymi i zajęciami sportowo-gimnastycznymi. Drużyny skautowe powstawały w latach 1917–1920 na Syberii i w Mandżurii, w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej.

W listopadzie 1918 r. odbył się w Lublinie Zjednoczeniowy Zjazd Harcerstwa, który dał formalnoprawny początek Związkowi Harcerstwa Polskiego. Książka jest kompendium wiedzy o strukturach harcerskich. Zawiera wiele zdjęć i map. ©© (t.s.)



GRZEGORZ NOWIK
„POLSKIE ZWIĄZKI
SKAUTOWE I HARCERSKIE
1909-1922”

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO
HARCERSKIE, MUZEUM JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Zemsta inżyniera

Na początku czerwca pożegnał się Maciej Parowski, wieloletniego redaktora „Fantastyki” – jedynego pisma literackiego, które w czasach PRL miało nakład ponad 100-tysięczny (sprzedałoby się i więcej, gdyby nie „nadział” papieru), i jedynego, które upadek PRL przetrwało. Tak zwane środowisko literackie było tym faktem zawsze tak zirytowane, że „Fantastyce” i jej kontynuacji w III RP, „Nowej Fantastyce”, tej oczywistej kwalifikacji uporczywie odmawiało, umieszczając ją przy różnych okazjach w kategorii „pisma popularnonaukowe”.

Paradoksalne, ale i charakterystyczne, że człowiek przez wiele lat tak ważny dla tego gatunku właściwie został do fantastyki zesłany, za karę. W roku 1982 władze zgodziły się na założenie pisma science fiction, o które grupa entuzjastów dobijała się po urzędach i komitetach od lat, dość nieocze-

tematyka albo fizyka, synu, tam czerwony nigdy się nie wciśnie, bo za głupi” – cytowała mi znajomy przykazanie ojca. To właśnie ci inżynierowie patrioci z historycznego przymusu podchwycili u nas konwencję „naukowej baśni”, a ponieważ komuny nie lubili, pisząc o kosmosie, pisali o niej. Ostrzej i mądrzej niż ktokolwiek inny. Tym łatwiej, że władze nie traktowały tego pisania poważnie i cenzorzy mogli udawać, iż nie rozumieją – a może zresztą faktycznie nie rozumieli.

Parowski też był z wykształcenia inżynierem, ale maszyny elektryczne, którym zawdzięczał dyplom, interesowały go dalece mniej niż sprawy ducha. Z grupą znajomych przemienił studencki tygodnik „Politechnik” w rasowe, drapieżne jak na owe czasy i profesjonalne pismo społeczno-gospodarcze. A ponieważ w socjalizmie żaden sukces nie mógł ująć bezkarnie, po wprowadzeniu stanu wojennego wyleciał i został „negatywnie zweryfikowany”.

/ To właśnie inżynierowie patrioci z historycznego przymusu podchwycili u nas konwencję „naukowej baśni”

kiwanie. „Nie mówcie mi, że to nie są bzdury. Ale my wolimy, żeby młodzież się zajmowała bzdurami, niż ma rzucać kamieniami w milicję” – powiedział moim kolegom pewien niskiej rangi aparatczyk, kiedy potrzebowali stempelka, by założyć klub fantastyki. I nikt nie miał złudzeń, że tak myśleli także towarzysze na samej górze. Poza tym science fiction kojarzyło im się z kosmosem, a w kosmos przecież PRL wysłała, we współpracy z bratnim Związkiem Sowieckim, Mirosława Hermaszewskiego.

Tymczasem – nie w Polsce. U nas zadziałał mechanizm opisany przez Zbigniewa Przyrowskiego tak: na kierunki ścisłe i naukowe szło wielu ludzi o zamiłowaniach humanistycznych, z patriotycznych, poakowskich i katolickich rodzin, by uniknąć marksistowskiej indoktrynacji, mniejszej tam niż na uniwersyteckich wydziałach humanistycznych. „Tylko ma-

Pozwolili mu, łaskawcy, wybierać opowiadania do piśmka z „bzdurami” o UFO i robotach.

Piotr Gociek ujął to bardzo celnie, że tamta fantastyka, która wykorzystwała tę niszę w systemie, ta z lat PRL, była literaturą ludzi bardzo młodych, którzy chcieli być dorośli. Rzucali się na największe, dorosłe problemy, chcieli wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu. Dzisiaj fantastyka jest literaturą ludzi, którzy bez względu na metrykę chcą pozostać dziećmi i uciec od świata w krainę baśni. Nie mam żalu, że tak się stało, inne czasy, inne „zamówienie czytelnicze”, co robić.

A mistrzowie i promotorzy tamtej fantastyki, która ukształtowała część mojego pokolenia, odchodzą. Nie ma już między nami Zajdla, nie ma Wnuka-Lipińskiego. A teraz odszedł i Parowski. Na szczęście książki trwają. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Wielorybnicy mieli szczęście

Parę miesięcy temu odwiedziłem Hamburg. Nowym symbolem tego hanzeatyckiego miasta jest opera nad Łabą – supernowoczesny budynek zbudowany w kształcie ogromnego transatlantyka prującego fale portowego kanału. Akurat natrafiłem na śpiewogrę Olgi Neuwirth „Odmieniec” na podstawie powieści pt. „Moby Dick” Hermana Melville’a.

Widowisko było pierwszej klasy, więc nic dziwnego, że gdy tylko wróciłem do Polski, sięgnąłem po książkę. I utonąłem w ponad 700-stronicowej powieści na długo.

Niesamowita historia o mrocznym kpt. Ahabie, ogarniętym obsesją zemsty na białym wielorybie, który pozbawił go wcześniej nogi, robi wrażenie. I nie zmienia tu nic 168 lat, które minęły od wydania książki. Dzisiaj nad „Moby Dickiem” rozwodzą się nowocześni badacze literatury, dostrzegając w książce zapowiedź nietzscheizmu i powieści egzystencjalnej.

Ja zachwyciłem się na nowo „Moby Dickiem” jako historyk.

Melville opisał i zachował dla potomności – istniejący od średniowiecza – fach wielorybniczy. Jego obyczaje, reguły i techniki polowań na gigantyczne ssaki.

Gdyby nie to, że ten urzędnik jednego z nowojorskich banków – człowiek przyzwyczajony do przelewania myśli i obserwacji na papier – trafił

wskutek tęsknoty za morską przygodą na statki wielorybnicze, nikt by tego świata nie opisał tak dobrze. Melville uprawiał, chcąc nie chcąc, coś, co dziś nazywamy reportażem uczestniczącym. Przez ponad trzy lata brał udział w polowaniach na kaszaloty. Ten rodzaj myślistwa (?), rybołówstwa (?) wymagał niewiarygodnej wręcz odwagi i śmiałości. Gigantyczne wieloryby rozłupywały szalupy jednym machnięciem ogona. Taranowane przez ogromne zwierzęta statki tonęły niekiedy w parę kwadransów.

była warta. A niekiedy nawet trudna do racjonalizacji. To coś, co nazywano „nosem do wielorybów”.

Nie chce się wierzyć, ale rejsy wielorybnych statków trwały niekiedy aż po trzy lata, zanim statek zapełnił się beczkami z wytopionym olejem z wielorybów.

Po dotarciu do ostatniej strony „Moby Dicka” pomyślałem o jednym – jak sporo wielorybicy mieli szczęścia, że wśród tysięcy marynarzy na ich statkach trafił się człowiek z talentem literackim. Inaczej ten barwny świat odszedłby

/ Bez Melville’a nie tylko okrętowy folklor i techniki polowań, lecz także romantyzm profesji wielorybników przeminęłyby bez śladu...

Melville opisuje załogi wielorybnicze jako zbiorowisko ludzi najróżniejszych ras i narodowości. Jedynym kryterium w ocenie ich służby były umiejętności łowieckie i nieustraszona odwaga.

Niesamowite są te fragmenty książki, w których Melville opowiada, jak najwybitniejsi kapitanowie wielorybnych statków potrafili odgadywać szlaki, którymi pływały wieloryby. Taka wiedza zdobywana była przez dziesięciolecia i nie przelewano jej na papier – zbyt wiele

nieopisany. Wiedza zoologiczna o wielorybach od czasów autora znacznie się rozwinęła. Jednak bez Melville’a nie tylko okrętowy folklor i techniki polowań, lecz także romantyzm profesji wielorybników – wszystko to, co pisarz zobaczył na własne oczy – przeminęłyby bez śladu.

Amerykański pisarz uwiecznił odchodzący już wtedy świat. Wzniesmy za niego szklaneczkę marynarskiego rumu. I sami sięgnijmy po wielorybiczny epos. ©©



Tomasz Stańczyk

/ Carat pozwolił byłym unitom porzucić prawosławie. Jednak natychmiast rozpoczął politykę rusyfikacyjną

Wydany na fali rewolucji 1905 r. ukaz tolerancyjny Mikołaja II, zezwalający na swobodną zmianę wyznania, oznaczał kres prześladowania „opornych” – unitów, którzy nigdy nie pogodzili się z narzuceniem im religii państwowej, prawosławia. Oznaczał też możliwość rozstania się z prawosławiem dla tych, którzy pogodzili się z narzuceniem im tego obrządku.

Kościół unicki był zawsze solą w oku Rosji. Carowie i podporządkowana mu hierarchia duchowna nigdy nie pogodzili się z unią brzeską i oderwaniem od Cerkwi prawosławnej setek tysięcy wiernych. Nie mogli znieść, że unicy podlegają papieżowi i znajdują się poza wpływem prawosławia – narzędzia rusyfikacji. Kiedy więc Rosja w wyniku rozbiorów anektowała większość ziem Rzeczypospolitej, przystąpiono po kilku dziesięcioleciach do swojego rodzaju religijnej rekonkwisty.

W 1839 r. car zlikwidował Kościół unicki na ziemiach zabranych. Po powstaniu styczniowym przyszła kolej na unitów w Królestwie Polskim. Likwidacja Kościoła unickiego nastąpiła tu w 1875 r. i była jednym z elementów popowstaniowych represji, a także wzmożonej rusyfikacji. W Królestwie Polskim unicy mieszkali w większości między Wieprzem a Bugiem, na Chełmszczyźnie i południowej części Podlasia. Jedni posługiwali się językiem polskim, inni ruskim (ukraińskim), bo te ziemie były etnicznie mieszane. Nie mieli jednak wykształconej świadomości narodowej. Często nazywali się po prostu unitami. Celem polityki rosyjskiej było zaś nie tylko zrobienie z nich prawosławnych, lecz także zrusyfikowanie.

Likwidacja unii na Chełmszczyźnie i Podlasiu napotkała ogromny opór.



XIX–XX w. /

Oderwanie

Łamano go bezwzględnie i brutalnie. W Pratulinie i Drelowie połała się krew unitów, masakrowanych przez rosyjskich żołnierzy. Księża unicy, którzy opierali się przejściu na prawosławie – a była to znakomita większość – byli usuwani, aresztowani, zsyłani.

Bunt „opornych”

Spora część unitów, prawdopodobnie ok. 20 proc., nie pogodziła się z siłowym zapisaniem ich do Cerkwi prawosławnej. Nazwano ich „opornymi”. Nie brali

ślubów w cerkwi, nie chrzcili w niej dzieci, nie godzili się, by popi uczestniczyli w pogrzebach. Wyjeżdżali do Galicji i tam zawierali małżeństwa w obrządku unickim – nieuznawane przez władze rosyjskie – zmarłych zaś chowali potajemnie, czasami nie na cmentarzach. „Opornych” było w momencie wydania ukazu tolerancyjnego ok. 100 tys.

Historyk Andrzej Szabaciuk pisał: „Opór ludności unickiej był niespotykany w skali europejskiej. Ludność greckokatolicka, w ogromnej większości pochodzenia wiejskiego, często niepiśmienna,



Cerkiew w Chełmie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

skupa Kirche.

Konflikt wyznaniowy i narodowościowy

Chełmszczyzny

potrafiła latami przeciwstawiać się energicznym działaniom biurokratycznego państwa, angażującego znaczne zasoby ludzkie czy ogromne środki finansowe i często posługującego się wręcz niewyobrażalnym terrorem. Czasami trudno sobie wyobrazić, jak unicy, rujnowani karami finansowymi, prześladowani na różne wymyślne sposoby, potrafili skutecznie się zorganizować i w ukryciu zaspokajać swoje potrzeby religijne, latami bojkotując Cerkiew i duchowieństwo prawosławne. Niewątpliwie byłoby to niemożliwe bez podziemnych struktur, funkcjonujących w oparciu o powstające

wówczas masowo rzymskokatolickie bractwa różańcowe" (Andrzej Szabaciuk, „Rosyjski Ulster». Kwestia chełmska w polityce imperialnej Rosji w latach 1863–1915").

Unicy „oporni" byli jedyną grupą w społeczeństwie Królestwa Polskiego, którzy pomiędzy rokiem 1864 a 1905, kiedy wybuchła rewolucja w Rosji, otwarcie przeciwstawiali się caratowi.

Ukaz tolerancyjny nie przewidywał wznowienia działalności Kościoła unickiego. „Oporni" i przymuszeni do przynależności do Cerkwi prawosławnej masowo więc przechodzili do Kościo-

ła rzymskokatolickiego. Ocenia się, że 170–200 tys. byłych unitów porzuciło prawosławie. W guberni siedleckiej ok. 50 proc., w lubelskiej – ok. 17 proc.

Ważną rolę w tej konwersji odegrał biskup lubelski Franciszek Jaczewski, który rozpoczął podróż pasterską po ziemiach swojej diecezji. W jednej wsi między Zamościem a Szczepieszynem witał go chlebem i solą stary chłop: „Lando, biskupie, zatrzymano; starzec podszedł do Biskupa i zaczął go witać po polsku. Nagle, po wypowiedzeniu paru zdań, zamilkł, wpatrzył się swymi starczymi oczami w twarz Eksceleńcy, po twarzy jego popłynęły grube, kropliste łzy, zaczął mamlać ustami, wreszcie ze ścieśnionego gardła wydobyły się wyrazy: »A ja Tebe, Otcze, wże w mojom żywitiu ne nadijałsa pobacztyty«" (za: ks. Karol Dębiński, „Ukaz tolerancyjny z dnia 30 kwietnia 1905 roku w diecezji lubelskiej").

Władze rosyjskie usiłowały zastraszyć biskupa, on jednak się nie ugiął. Wywierały też nacisk na ludność, ustanawiając żmudną administracyjną drogę zmiany wyznania, nie zatwierdzając na stanowiskach samorządowych w gminach tych, którzy porzucili prawosławie, odmawiając im także pożyczek. Nic to nie dało.

W tej sytuacji ożyła nienowoczesna myśl o wyodrębnieniu ziem, na których znaczny procent mieszkańców stanowili prawosławni, i stworzeniu z nich odrębnej, wydzielonej z Królestwa Polskiego guberni. Taki pomysł pojawił się wkrótce po powstaniu styczniowym, w ramach polityki rusyfikacyjnej, i powracał kilkakrotnie jeszcze przed wydaniem ukazu tolerancyjnego. Był podbudowywany argumentami historycznymi, gdyż ziemie między Wieprzem a Bugiem, z Chełmem, należały niegdyś do księstw ruskich. Chociaż księstwa ruskie nie miały nic wspólnego z Rusią Moskiewską, to jednak Rosja – negując odrębność Rusinów (Ukraińców) – uważała, że Chełmszczyzna i południowe Podlasie są ziemiami jak najbardziej rosyjskimi.

Wobec masowego przechodzenia byłych unitów na prawosławie wydarzenia nabrały tempa. Głównym orędownikiem oderwania Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego był prawosławny hierarcha Eulogiusz. Przed wydaniem ukazu tolerancyjnego zajmował stanowiska rektora seminarium duchownego w Chełmie i biskupa pomocniczego eparchii (diecezji) ■

■ warszawsko-chełmskiej. Pozytywnie prawosławia miało wzmocnić utworzenie diecezji chełmsko-lubelskiej, na której czele stanął właśnie Eulogiusz. Jeździł do Petersburga, rozciągając apokaliptyczną wizję prześladowań prawosławnych po wprowadzeniu ukazu tolerancyjnego oraz nieuchronnej polonizacji byłych unitów, teraz rzymskich katolików. Eulogiusz zbierał podpisy prawosławnych pod petycjami opisującymi ich rzekomą krzywdę i słał je do stolicy.

Rzeczywiście, stosunki między przechodzącymi na katolicyzm byłymi unitami a prawosławnymi było napięte, dochodziło do waśni i incydentów. Nie potwierdziły się jednak zarzuty znęcania się z powodów wyznaniowych nad prawosławnym Filipem Klimczukiem z Wołowej Woli i usiłowanie utopienia chłopca Iwana Hulewicza we wsi Gęś. Gdy władze przeprowadziły śledztwo, okazało się, że Klimczuka pobito za kradzież, a Hulewicza nikt nie chciał utopić. Katolicy sami pierwsi zwykli na prawosławnych z powodów wyznaniowych nie napadali, lecz bronili się przed napaścią. Ksiądz Karol Dembiński pisał w wydanej w 1918 r. broszurze: „Ze zaś tu i ówdzie rozdrażnieni ścinaniem swoich krzyżów, przywłaszczaniem sobie przez prawosławnych katolickich kaplic przydrożnych, napaściami na drogach przez ludność prawosławną itp., do tej obrony używali pięści, niszczyli parochom prawosławnym płoty, wypasali zboża itp. Rzec to smutna katolika niegodna, lecz zrozumiała” (za: ks. Karol Dębiński, „Ukaz tolerancyjny z dnia 30 kwietnia 1905 roku w diecezji lubelskiej”).

W 1911 r. Duma, parlament rosyjski, przechodząc do porządku dziennego nad protestem polskich posłów, podjęła uchwałę o utworzeniu guberni chełmskiej i wyodrębnieniu jej z generałgubernatorstwa warszawskiego. Mikołaj II podpisał ją w 1912 r. Publicysta Leon Wasilewski pisał wówczas: „Stało się! To, na co się nie odważył rząd rosyjski w dobie najbardziej niebezpiecznego panowania despotyzmu carskiego, »konstytucyjna« Rosja Stołypinów, Puryszkiewiczów, Eulogiuszów i Guczkowów realizuje bez żadnych skrupułów. Duma państwowa



Biskup Eulogiusz FOT. WIKIPEDIA

reprezentująca interesy reakcji kontrrewolucyjnej, nacjonalizmu rusyfikatorskiego i klerykalizmu prawosławnego postanowiła oderwać od Królestwa Polskiego znaczną część dotychczasowej guberni siedleckiej i lubelskiej i utworzyć z niej nową gubernię chełmską. [...] Wszystko, co nie jest prawosławne lub nawet będąc prawosławne, ciąży do kultury polskiej, ma być w nowej guberni zrუსyfikowane. Po to została stworzona ta gubernia (Leon Płochocki, właśc. Leon Wasilewski, „Chełmszczyzna i sprawa jej oderwania”).

Już podczas I wojny, w 1915 r., formalnie oderwano gubernię chełmską od Królestwa Polskiego, wcielając ją do ziem rosyjskich. Lata wielkiej wojny przyniosły jeszcze jedną zmianę w statusie Chełmszczyzny. W 1918 r. państwa centralne niejako sprzedały ją – na mocy traktatu brzeskiego – Ukrainińskiej Republice Ludowej za milion ton zboża.

Polonizacja i ukrainizacja

Polityka wynaradawiania i ingerowania w stosunki wyznaniowe dotknęła jeszcze raz ludności Chełmszczyzny. Tym razem, niestety, w latach II Rzeczypospolitej. Już po śmierci marszałka Piłsudskiego lokalne władze, cywilne

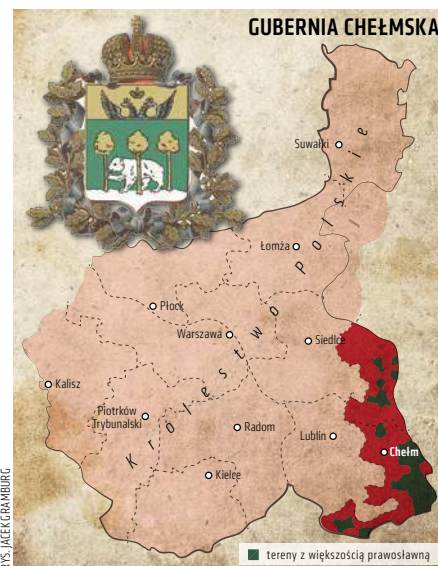
i wojskowe, doszły najwyraźniej do wniosku, że z prawosławnych należy zrobić Polaków. Najwięcej prawosławnych było w powiatach: hrubieszowskim (38 proc. mieszkańców), włodawskim (29 proc.), tomaszowskim (27 proc.) i chełmskim (23 proc.).

Rozpoczął się nacisk na wprowadzenie kazań i nauczanie religii w języku polskim. Wprost mówiono o konieczności „polonizacji Chełmszczyzny” i twierdzono nawet – niezgodnie z prawdą – że wszyscy prawosławni to zruszczeni przez administracyjne wcielenie unitów Polacy. Część prawosławnych deklarowała bowiem, że ich językiem jest ukraiński lub ruski. Najwięcej było ich w powiecie tomaszowskim, gdzie spis wykazał 33 tys. prawosławnych i 21 tys. posługujących się językiem ukraińskim lub ruskim,

odpowiednio w powiatach: chełmskim – 38 tys. i 13 tys., hrubieszowskim – 49 tys. i 19 tys. oraz włodawskim – 33 tys. i 10 tys.

Władze zauważały, że cerkwie prawosławne stały się miejscem ukraińskiej agitacji. W 1938 r. zburzono ponad sto opuszczonych cerkwi, ale bywało, że niszczone też te czynne.

Stanisław Cat-Mackiewicz pisał krytycznie o akcji polonizacyjnej: „Ludziom, którzy wyrosli w epoce bliskiej tej, kiedy Moskale stosowali odbieranie naszych kościołów i kary na naszych księżach,



RYS. JACEK GRABARCZ

będzie przykro: do tego stopnia obecne obrazki swoją brutalnością i bezwzględnością wobec cudzych uczuć religijnych przypominają tamte czasy [...]. Inteligentny stolarz nie robi mebli z mokrych desek. W sprawach asymilacji narodowej, religijnej trzeba umieć czekać. Nie nawraca się nikogo metodą burzenia świątyń. Przeciwnie, oddaje się tamtemu wyznaniu wielką usługę, roznieca się płomień żarliwości”.

Sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny i oderwania jej od ziem polskich powróciła ponownie w latach II wojny światowej. Ukraiński Centralny Komitet zaapelował do Hansa Franka – jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej – o wyłączenie Chełmszczyzny z terenu Generalnego Gubernatorstwa. Pozostało to bez odpowiedzi. Konflikt polsko-ukraiński objął w latach II wojny także Chełmszczyznę. Dochodziło do walk partyzantki polskiej i ukraińskiej, palenia wsi, zabijana cywilnej ludności po obu stronach.

Groźniej rzecz wyglądała z ukraińsko-sowieckimi roszczeniami wobec Chełmszczyzny, których wyrazicielem stał się w 1944 r. Nikita Chruszczow, szef sowieckiej Ukrainy. W wystąpieniu na forum Rady Najwyższej USSR powiedział: „Naród ukraiński będzie dążył do przyłączenia do ukraińskiego państwa radzieckiego takich odwiecznie ukraińskich ziem, jak rejon Chełma, Hrubieszowa, Zamościa, Tomaszowa i Jarosławia”. Dostał burzliwe oklaski.

Być może Chełmszczyznę uratowała... tzw. linia Curzona. Przebiegała wzdłuż Bugu. Stalin zgodził się już w Teheranie, że przyszła granica polsko-sowiecka będzie wytyczona na podstawie właśnie tej linii. Później, gdy premier Mikołajczyk protestował, także podczas wizyty na Kremlu, przeciw linii Curzona, Stalin nie chciał być może robić złego wrażenia na zachodnich aliantach, więc nie przesunął granicy dalej na zachód.

Ukraińscy komuniści, dążąc do oderwania Chełmszczyzny, posługiwali się argumentem zjednoczenia wszystkich ziem „rdzennie ukraińskich”, choć Chełmszczyzna była niejednolita narodowo. Ten sam argument o dążeniu do zjednoczenia „rdzennie ukraińskich ziem” można usłyszeć i dziś z ust niektórych ukraińskich nacjonalistów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Księża z Wołynia



Tomasz Stańczyk

Podczas rzezi na Wołyniu jednym z kilkunastu zamordowanych księży był 30-letni ks. Ludwik Wrodarczyk z parafii w polskiej wsi Okopy. Objął ją w 1939 r. Nie ograniczał się do posługi duszpasterskiej. Podniósł stan higieniczny wsi, leczył jej mieszkańców ziołami. W 1942 r. objął opieką, wraz z nauczycielką Felicją Masojadą, dwóch żydowskich chłopców, braci Lewinów, którzy uciekli podczas likwidacji getta w Rokicie. Masojada została zamordowana przez UPA w czerwcu 1943 r. Wieś była chroniona przez sowieckich partyzantów, ale w grudniu 1943 r. oddział oddalił się od Okopów. Na to tylko czekali banderowcy. Zaatakowali z 6 na 7 grudnia, dokonując masakry mieszkańców. Część z nich uratowała się, uciekając do lasu. Według Ewy i Władysława Siemaszków, zostało zabitych do 100 Polaków. Księdza Wrodarczyka uprowadzono. Protestując przeciw temu dwie kobiety zostały zastrzelone. Księdza Wrodarczyka zamordowano w sąsiedniej ukraińskiej wsi.

W 2000 r. bohaterski kapłan ratujący Żydów (oprócz Lewinów był to Benedykt Lusthaus, Żyd-katolik, organista w Okopach, po wojnie Benedykt Halicz, profesor biologii Uniwersytetu Łódzkiego) został uhonorowany medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Może ks. Ludwik Wrodarczyk zostanie wyniesiony na ołtarze. W 2016 r. rozpoczął się bowiem w Łucku jego proces beatyfikacyjny. O pamięć o ks. Wrodarczyku dba parafia w rodzinnym Radzionkowie. Na internetowej stronie parafii można znaleźć informacje o bohaterskim kapłanie-męczenniku.

Podobnie jak w Kisielinie (artykuł w tym numerze) Ukraińska Powstańcza Armia dokonała 11 lipca masakry w kościele w Porycku. O tym, że są takie krwawe zamiary, ks. Bolesław Szawłowski został uprzedzony przez jednego z Ukraińców. Poinformował mieszkańców, by nie przychodzili na mszę. Istniało jeszcze złudzenie, że ofiarami UPA padną tylko mężczyźni. Dlatego niewielu przybyło ich do kościoła. Zebrani w nim wierni zostali zamordowani. Zginęły 222 osoby. Ranny ks. Szawłowski ukrywał się u miejscowego prawosławnego duchownego, został jednak odnaleziony przez banderowców i zamordowany.

Księża Wrodarczyka i Szawłowskiego zagrzebano w nieznanym miejscu. Może odniesie skutek apel Witalija Skomarowskiego, biskupa łuckiego, o ujawnianie miejsc pochówku zamordowanych przez UPA Polaków, w tym także obu księży. Powinny stanąć na nich krzyże. Byłby to las krzyży na Wołyniu i dlatego władze ukraińskie nie godzą się ani na ekshumacje, ani upamiętnianie krzyżami polskich ofiar. Czy zmieni tę sytuację Wołodymyr Zełenski, nowy prezydent Ukrainy? Pochodzi z przeciwległego niż Wołyń końca Ukrainy, nie jest więc pod presją pamięci o UPA, która na zachodniej Ukrainie manifestuje się czczeniem tej formacji i jej dowódców, którzy tak jak Dmytro Kłaczkiwskij – dowódca UPA na Wołyniu – są odpowiedzialni za zbrodnie przeciwko Polakom. Zełenski ma też ten komfort, że nie znajduje się pod ciśnieniem wyborców z zachodniej Ukrainy. W zdecydowanej większości głosowali bowiem na jego rywala – Petra Poroszenkę

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jan Zamoyski po zwycięstwie pod Byczyną, mal. Jan Matejko

FOT. ARCHIWUM

1542–1605 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Jan Sariusz Zamoyski

Kancierz i hetman w jednym



Maciej Rosalak

Wojna służyła jego polityce, a on służył Rzeczypospolitej. Zwycięstwo pod Byczyną (1588) jest najlepszym tego przykładem

Jan Zamoyski zyskał znaczący wpływ na politykę Rzeczypospolitej w okresie panowania trzech królów: Zygmunta II Augusta Jagiellona, Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Za Bato-

rego był to wpływ dominujący. Wtedy też – obok urzędu kancierza wielkiego koronnego (1578) – otrzymał stanowisko hetmana wielkiego koronnego (1581), czego nie osiągnął nikt ani przedtem, ani potem. Bo też nikt w tak wielkim stopniu

jak właśnie on nie potrafił bystrym umysłem dostrzec, gdzie leżą interesy polskiego państwa, jakie są jego potrzeby oraz co i kto mu zagraża od wewnątrz i z zewnątrz. Potrafił stworzyć koncepcję polityczną i umiejętnie ją urzeczywistniać. A kiedy było trzeba, zamieniał pióro i pieczęć na zbroję oraz szablę i wiódł w pole zastępy zbrojnych, nie tylko zwyciężając w bitwach, lecz także przeprowadzając całe kampanie wojenne.

Do historii przeszedł też na pół legendarny protoplasta rodu Zamoyskich. A był nim Florian Szary, który dzielnie stał pod Płowcami (1331), ale z rozprutym trzema włóczniami brzuchem

konał, trzymając ręką jelita. Takim ujrzał go Władysław Łokietek i spytał, czy bardzo bolą go rany. Rycerz odparł, że mniej one bolą niż zły sąsiad. Król nadał wtedy jego rodowi herb Jelita (trzy skrzyżowane włócznie) oraz zawołanie: „To mniej boli”. Natomiast przydomek rodowy Saryusz pochodzi prawdopodobnie od wsi Szarzyn pod Sieradzem. Stamtąd przodkowie naszego bohatera przybyli do wschodniej Małopolski, gdzie nabyli wsie Zamość (później zwany Starym) i Wierzba, od połowy XV w. pomnażając stopniowo swą fortunę.

Służba u trzech królów

Ojciec przyszłego kanclerza – Stanisław – był już kasztelanem chełmskim, który pojął za żonę Annę Herburtównę. 19 marca 1542 r. urodził się im syn, którego – gdy dorósł – wysłali na wykształcenie na Zachód, jak to było w zwyczaju nie tylko wśród arystokratów, lecz także zamożnej szlachty w owym „złotym wieku” polskiej kultury. Nauki pobierał w Paryżu, Strasburgu i Padwie. Zgłębiał tam zainteresowania polityką i napisał „De senatu Romano Libri II”, w którym to dziele porównywał ustrój starożytnego Rzymu i Królestwa Polskiego. W 1563 r. 21-letniego wtedy młodzieńca z Polski wybrano na rektora padewskiego uniwersytetu (!). Wtedy też powrócił do religii katolickiej (ojciec przeszedł na kalwinizm, gdy syn miał dziewięć lat). Po powrocie do kraju został sekretarzem króla Zygmunta Augusta.

Jan Zamoyski w styczniu 1573 r. podpisał uchwałę sejmu konwokacyjnego (zwaną konfederacją warszawską) zapewniającą szlachcie swobodę wyznania i wieczny pokój między wszystkimi różniącymi się w wierze. Zasadę tolerancji religijnej wspierał do końca swych dni, zyskując szacunek rozumnych (wtedy...) obywateli wielonarodowej Rzeczypospolitej – katolików, ewangelików i prawosławnych. Jemu też przypisuje się ustanowienie elekcji wiritim, co jeszcze bardziej podniosło go w oczach szlachty. Dopiero „pokoranie na gardle” banity Samuela Zborowskiego (1584) wzbudziło protesty sporej części panów braci.

Po śmierci ostatniego Jagiellona Jan Zamoyski popierał kandydaturę Henryka



U góry: herb Jelita (trzy skrzyżowane włócznie)

Jan Zamoyski – portret z buławą hetmańską

FOT. WIKIPEDIA

Walezego na króla Polski (1573–1574) i nawet jeździł w tej sprawie do Paryża. Po ucieczce Francuza z Wawelu doprowadził do uznania za naszego króla Anny Jagiellonki oraz przydania jej za męża księcia Siedmiogrodu – Stefana Batorego, który okazał się najwybitniejszym władcą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Właśnie za jego – niestety zbyt krótkiego (1576–1586) – panowania doszedł do największych zaszczytów i znaczenia w państwie. A państwo rządzone przez tandem: Batory-Zamoyski – do największego znaczenia w Europie...

Zamoyski dążył do równowagi między swobodami narodu szlacheckiego a jego obowiązkami wobec kraju. Innymi słowy, do złotego środka w „złotym wieku” państwa polskiego. W czasach Batorego to się udawało. Za Zygmunta III Wazy, który – ku zgrozie i oburzeniu kanclerza – gotów był oddać tron polski Habsburgom w zamian za poparcie w jego walce o koronę szwedzką, owa równowaga została zachwiana. Zamoyski był jednak ówczesnym państwowcem i nie przy-

stąpił do otwartej frondy wobec władcy, a inni magnaci odważyli się wznieść rokosz (Zebrzydowski, 1606–1607) dopiero po śmierci wielkiego kanclerza i hetmana.

Do jego wielkich czynów wojennych należy przygotowanie i udział w prowadzeniu trzech zwycięskich kampanii podczas wojny przeciw Iwanowi IV Groźnemu (1579–1581). Zdobył wówczas Wieliz i Zawłocze, a podczas oblężenia Pskowa (1581) dowodził w zastępstwie króla całą armią. Po tej kampanii właśnie został hetmanem wielkim koronnym. Po moskiewskim Rurykowiczu utarł nosa wiedeńskim Habsburgom, zwyciężając arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną, o czym szerzej piszę nieco dalej.

Sto lat po katastrofie bukowińskiej Rzeczpospolita powróciła dzięki niemu do Mołdawii i na Wołoszczyznę. W 1595 r. zwycięstwem pod Cecorą pomógł Jeremiu Mohyle objąć tron mołdawski, a w 1600 r. przywrócił mu ten tron, jego bratu zaś, Szymonowi Mohyle, dał Hospodarstwo Wołoskie, pokonując wołoskiego napastnika Michała Walecznego.

Rychło ruszył spod południowych krańców państwa na krańce północne – przeciw Szwedom, którzy napadli na Inflanty. Strudzony już hetman na czele nazbyt szczupłych sił (szlachta nie chciała uchwalać podatków na szwedzkie dynastyczne konflikty Zygmunta III) prowadził do 1602 r. kampanię, która w tych warunkach nie mogła doprowadzić do trwałego opanowania północnych Inflant. Niemniej Polacy i Litwini odnieśli po rok 1611 sporo zwycięstw (patrz: „HDR” nr 74), do których należy m.in. utrzymanie w latach 1602–1605 estońskiego miasta Rakvere blisko Zatoki Fińskiej. Wspominam o tym epizodzie, bo mój znakomity mistrz – historyk Stanisław Herbst, który doktoryzował się w 1938 r., pisząc o wojnie lat 1600–1602 – urodził się (1907) właśnie w... Rakvere.

Zwycięstwo pod Byczyną, leżącą na północno-wschodnim krańcu Opolszczyzny, stało się najgłośniejszym bodaj osiągnięciem militarnym Jana Zamoyskiego. Jego istotne znaczenie jest natury politycznej. Udaremniło bowiem obcą interwencję w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej, zapobiegło wojnie domowej, umocniło ład prawno-ustrojowy państwa. Otóż na elekcji po śmierci Batorego większość szlachty obwołała

■ nowym królem Polski 21-letniego królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazę. Zamoyski wspierał tę popularną wśród narodu szlacheckiego kandydaturę, gdyż był on – jako urodzony przez Katarzynę Jagiellonkę w związku z Janem III Wazą – po kądzieli Jagiellonem, a sojusz ze Szwecją wydawał się korzystny ze względu na ciągłe zagrożenie północno-wschodnich kresów ze strony Rosji. 19 sierpnia 1587 r. prymas Stanisław Karnkowski ogłosił Zygmunta królem Polski.

Godzina pod Byczyną

Tymczasem prohabsburski obóz opozycyjny pozostał na polu elekcyjnym i pod przewodem Andrzeja, Jana i Krzysztofa Zborowskich obwołał królem Maksymiliana Habsburga, piątego syna cesarza Maksymiliana II i Marii Hiszpańskiej. 22 sierpnia 1587 r. ogłosił ten wybór biskup kijowski Jakub Woroniecki. W następnym miesiącu Maksymilian zaprzysiął pacta conventa w Ołomuńcu, a już w październiku zbrojnie przekroczył w Bytomiu polską granicę i ruszył na Kraków. Zdobyte stolicy udaremnił hetman wielki koronny i Habsburg cofnął się na Śląsk, by zebrać siły wystarczające do pokonania Zamoyskiego. Ów jednak długo nie zwlekał i po koronacji Zygmunta ruszył na spotkanie z Maksymilianem. Do bitwy obu wojsk doszło 24 stycznia 1588 r. pod Byczyną.

Ciekawy jest skład obu armii. Otóż Habsburg wiódł siedem rot rajtarii z Niemiec, ze Śląska i z Moraw, liczących 1,8 tys. jeźdźców oraz cztery rotary arkebuzów niemieckich i morawskich; łącznie – 630 tych konnych strzelców. Cztery chorągwie lekkiej jazdy polskiej (w tym jedna węgierska) liczyły 230 kawalerzystów, a cztery chorągwie husarii – 900. Dodajmy jednak, że z trzech polskich chorągwi husarskich najliczniejsza była Stanisława Stadnickiego (200 husarzy), ale gros ich sił (500) stanowiła węgierska chorągiew Walentyna Prepostvarego. W sześciu rotach piechoty (w tym jedna polska) maszerowało 3290 ludzi, z których 1,5 tys. stanowili strzelcy, a 1790 – pikinierzy. Artyleria miała cztery działa ciężkie i kilkanaście falkonetów – lekkich działek polowych o kalibrze kilku

centymetrów. Godzi się zauważyć, że Habsburg prowadził łącznie niemal 7 tys. zbrojnych, ale – co istotne – we wszystkich oddziałach pod jego rozkazami było tylko 800 Polaków.

Husaria stanowiła uderzeniową siłę wojsk polskich. W 17 chorągwach zgromadzono 1950 jeźdźców. Oto ci, którzy je wiedli: Urowiecki, Łaszcz, Bykowski, Grudziński, Kazimierski, Koniecpolski, Maciejowski, Myszkowski, Osiecki, Pękoślowski, Pieniążek, Sobocki, Stanisławski, Broniowski, Karnkowski, Ligęza, Dulski. Poza husarzami kawaleria składała się z dwóch rot rajtarów (200 jeźdźców), jednej Siedmiogrodzian (100), 12 chorągwi kozackich (1470) oraz trzech tatarskich (500). Piechota liczyła łącznie 2,3 tys. ludzi; mniej więcej po połowie – polskiej i węgierskiej. O działach nic źródła nie wspominają. Jak widać, siły polskie były minimalnie szczuplejsze od wojsk najeźdźców. Przewaga Maksymiliana tkwiła w piechocie i artylerii, natomiast Zamoyski dysponował liczniejszą i skuteczniejszą jazdą.

Przyroda sprzyjała tego ranka Polakom, bo gęsta mgła pozwoliła niepostrze-

żenie oskrzydlić wroga. Po opadnięciu mgły atakowali jedni i drudzy. Z początku habsburscy rajtarzy rzucili się na nasze chorągwie kozackie i po zacietej walce wyparli je z pola. O postawie Kozaków świadczy przykład setnika Hawryła Hołubka. Ten weteran wojen z Iwanem Groźnym, wierny żołnierz polskiego hetmana toczył z Maksymilianem od paru miesięcy wojnę podjazdową. Kuszony przez Habsburga licznymi korzyściami w razie przejścia na jego stronę, odpowiedział: „Więcej zdradzić w Polsce już nie ma, wszyscy u ciebie!”. Ów, jak go nazwano, „Słowiański Scewola” zginął pod Byczyną od strzału w głowę.

Rajtarczy cieszyli się niedługo z powodzenia w boju z lekką jazdą. Rychło nie wytrzymali husarskiej szarży i pękły ich szeregi. Gdy Maksymilian rzucił im na pomoc węgierskich husarzy, Zamoyski uderzył ze skrzydła potężnym, liczącym 1,2 tys. husarzy odwodem. Kiedy skruszono kopie, szable oraz koncerze zaczęły dzwonić o półpancerze i szyszaki. Polscy skrzydlaci jeźdźcy, już wtedy będący najsilniejszą kawalerią ówczesnych pól bitewnych, szybko jednak uzyskali przewagę. W zażartej walce ranny został Stanisław Żółkiewski, który zdobył chorągiew arcyksięcia...



Cesarski konny arkebuzer w półbrozi czernionej i szturmaku, uzbrojony w arkebuz, dwa pistolety oraz rapier RYS. MAREK SZYJSZKO



Strzelec piechoty łanowej uzbrojony w rusznicę lontową, szablę typu węgierskiego i siekiere RYS. MAREK SZYJSZKO

Siła polskiej szarży, jak również zamieszanie i sprzeczne rozkazy wywołały panikę wśród habsburskich jeźdźców i odwrót z pola walki, który szybko przerodził się w ucieczkę. Za jazdą węgierską pierzchły kolejne oddziały. I tak w ciągu godziny, jak wspominali świadkowie, bitwa została wygrana przez polskiego hetmana. Bój był krótki, ale nadzwyczaj zacięty, o czym świadczą 3 tys. poległych żołnierzy; w tym dwa razy więcej po stronie wroga. Uciekający schronili się wraz z księciem w Byczynie, ale – zdruzgotani klęską – rychło poddali się Polakom, zwycięskim i mającym zdobyte na nich działa. Maksymilian stał się jeńcem samego hetmana. Najpierw goszczono go w Zamościu, ale po próbie ucieczki osadzono na zamku w Krasnymstawie. Na mocy układu bytomsko-będzińskiego z marca 1589 r. odzyskał wolność i w lipcu tego samego roku opuścił Rzeczpospolitą. Pomimo przyrzeczenia nie zrzekł się tytułu króla polskiego i używał go do 1598 r.

Na zakończenie dodajmy, że Jan Zamoyski okazał się też znakomitym gospodarzem, który dzięki nadaniom królewskim, korzystnym mariażom, łupom wojennym i umiejętnemu scalaniu dóbr niebywale pomnożył posiadłości, wyprowadzając swój ród ze zwykłej szlachty i wprowadzając go do grona pierwszych w kraju magnatów. Swemu spadkobiercy pozostawił 11 miast (w tym perłę renesansu – Zamość) i ponad 200 wsi (ponadto dzierżawił królewszczyzny – 12 miast i 612 wiosek). Aby następcy nie roztrwonili tak wielkiej fortuny, ustanowił w 1589 r. Ordynację Zamojską. Po rok 1944 dziedziczyła ją po nim kolejno 15 ordynatów.

I wśród nich, jak również w liniach bocznych, byli wybitni Zamoyscy, którzy dobrze przysłużyli się ojczyźnie, że wymienię Andrzeja Hieronima – kancлера wielkiego koronnego i reformatora z XVIII w., czy Władysława – fundatora Zakładów Kórnickich, który też ocalił Tatry dla Polski na początku XX w. A wnuk hetmana, Jan Sobiepan, nie tylko w „Potopie” odprawił króla Szwedów spod murów Zamościa (z kwitkiem bez pokrycia – Niderlandami pana Zagłoby!), lecz także naprawdę wytrzymał kilkudniowe oblężenie (luty/marzec 1656 r.), a po miesiącu skutecznie dowodził dragonami i husarzami pod Warką. „O, polska krwi!” – chciałoby się zakrzyknąć za Mickiewiczem...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

O obyczajach kanalii dworskiej



Maciej Rosalak

Liczne zbiegowiska, do jakich w ostatnich latach dochodziło pod Sejmem – zwłaszcza grudniową nocą A.D. 2016 – przypomniły mi świadectwo ks. Jędrzeja Kitowicza (1728–1804). Ów były sekretarz dygnitarzy świeckich i duchownych, konfederat barski, a na koniec ksiądz, gdy w 1781 r. osiadł na probostwie w Rzeczy pod Tomaszowem, spisał słynny „Opis obyczajów za panowania Augusta III”. Rozdział „O zjazdach publicznych” zaczyna tak: „Nim wnidziem na pokoje i sale, zastanówmy się na dziedzińcu, na którym obaczemy lekkomyślność kanalii dworskiej obyczajem utrzymaną, zabawkę i śmiech jednym, drugim wstyd przynoszącą”. I cóż robi owa kanalia pod Sejmem, złożona ze „stangretów, forysiów, masztalerzy i pacholików”?

Otóż „skoro postrzegli kogo przechodzącego w wilczurze lub w barankach, lub w lisach, nie omieszkalu krzyczeć na niego co z garła: »Hulu wilka, kulu wilka! Tiu, lisiu, ha, tiu, lisiu, ha!«, na baranią szubę beczeć: »Be! be!, póty, póki im z oczu nie zniknął. Jeżeli jaka młoda białogłowa przechodziła lub przejeżdżała blisko nich, okrzyczaną została najwyszeteczniejszymi wyrazami: »Ta moja ku... Łziesz, nie twoja, moja. Ta z księdzem spała. Ta z moim panem spała. Ta z Żydem. Ta zarobiła tynfa« – zgoła cokolwiek któremu z tego motłochu ślina do gęby przyniosła”. Podobnie bywało pod pałacami pańskimi, „gdy na jaki bal damy zaproszone w nocy, w tłoku wysiadały z karet, stojąca przed salą hałastrą dworską... chwytając je za lędźwie, czego pod wielkimi rogówkami dokazać bez postrzeżenia niewstydnika łatwo było. Dama przestraszona schwyceniem krzyknęła, wyskoczyła z karety jak sparzona, inna kareta nastąpiła, hałastra się zmieszała, następująca dama podobną odprawę wzięła i wszystko się owym tłokiem i mrokiem nocnym zatarło”.

Po zakończeniu sejmowego posiedzenia, „powiększył się hałas, gdy nastąpiło pospolite ruszenie karet i koni”, a „hajducy także, lokaje, laufrowie i inna czeladź dworska, podług przemocy kijowej, a czasem i szabel, wiele pomagała do przedsięwzięcia przystawienia karety swojemu panu. Co wszystko w tłumie i w nocy uchodziło, choć przez ten nieporządek wiele kaleczono koni i ludzi, czasem końmi stratowanych...”. Zanim panowie doczekali się karet, woźnice – pewni bezkarności w tym harmidrze – lżyli ich najgorszymi wyrazami. Jednak „trafiło się jednego razu, że książę Czartoryski, kasztelan wileński, który był garbaty... poszedł pieszo i wszedł do niej właśnie wtenczas, gdy stangret jego wrzeszczał: »A siadajże, skurwysynu garbusie!«. Książę się mu z karety odezwał: »Jestem ja tu już, panie Matiaszu!«... Na to stangret przeleknioty: »Ha, kiedy tu wasza książęca mość jesteś, to ja nie będę!«, i natychmiast uciekł... Słusznie kalkulując, że zarobił na sto kijów, więcej się nie powrócił...”. Sto kijów... Czasem żal, że już kanalii kara taka nie spotyka. © ©

Broń ze zrzutów



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Uzbrojenie pochodzące z alianckich zrzutów stanowiło istotne uzupełnienie arsenału Armii Krajowej

Wojsko w kraju przygotowywano z myślą o wsparciu sojuszników oraz własnych oddziałów regularnych w momencie, w którym nawiązała ona bezpośrednią walkę z przeciwnikiem okupującym Polskę lub pozbawiającą go możliwości podjęcia zdecydowanej kontrakcji. Przy takim scenariuszu nawet kilkudziesięciotysięczna armia, dobrze wyszkolona i uzbrojona w lekką broń oraz posiadająca dostateczne zapasy amunicji strzeleckiej i granatów ręcznych, stanowiłaby bardzo istotną siłę w początkowej fazie walki wyzwolenczej. W toku wojny scenariusz taki wydawał się aliantom coraz mniej prawdopodobny, a broń, bez wątpienia nowoczesna i pełnowartościowa, dostarczana była z myślą o akcjach dywersyjnych, a nie w celach wsparcia powstania. I dlatego zawsze było jej za mało.

Łącznie przeprowadzono cztery sezony zrzutowe: Wstępny (luty 1941–lipiec 1942), „Intonacja” (sierpień 1942–lipiec 1943), „Riposta” (sierpień 1943–lipiec 1944) i „Odwet” (sierpień–grudzień 1944). Dostarczany drogą lotniczą sprzęt dzielony był na dwa rodzaje zestawów: OW i MD. Ten pierwszy – ognisko walki – stanowił uzbrojenie dla 6–10 plutonów i zawierał: dwa erkaemy Bren z 2520 sztukami amunicji, 18 peemów Sten z 9,4 tys. sztukami amunicji, 27 sztuk rewolwerów kal. 11,43 mm (575 sztuk amunicji), 40 granatów ręcznych i 76 przeciwpancernych, 27 zapalników przeciwpancernych oraz 118 kg plastiku i materiałów zapalających. W drugim zestawie – minersko-dywersyjnym – przeznaczonym do przeprowadzenia kilku akcji sabotażowo-dywersyjnych, znajdowało się 265 kg materiałów pirotechnicznych, 10 stenów (3 tys. sztuk amunicji), 27 rewolwerów (775 sztuk amunicji), 20 granatów ręcznych i osiem

przeciwpancernych oraz 15 sztuk zapalników przeciwpancernych.

Stosowano dwa rodzaje zasobników zrzutowych: trzyczęściowe o długości 180 cm i pięcioczęściowe zbudowane z puszek łączonych stalowymi taśmami i ważącymi po ok. 20 kg, które po zrzucie odłączano i oddzielnie przenoszono. Początkowo samoloty zabierały jedynie sześć stukilogramowych zasobników, ale od 1944 r., w związku z opanowaniem włoskich lotnisk i wprowadzeniem nowych typów samolotów, ich liczba zwiększyła się do 12 i 5–15 paczek. Łącznie do kraju przerzucono drogą lotniczą kilkanaście tysięcy pistoletów maszynowych, ponad 10 tys. sztuk broni krótkiej (przede wszystkim rewolwerów), ponad tysiąc karabinów maszynowych, kilkaset granatników przeciwpancernych PIAT (zdjęcie), kilkadziesiąt tysięcy granatów ręcznych i amunicję różnych kalibrów idącą w miliony sztuk. Do tego dochodził materiał saperski, w tym m.in. blisko 30 tys. kg plastiku, oraz setki tysięcy sztuk detonatorów, spłonek saperskich i rozmaitych zapalników.

Pomoc okazała się daleka od oczekiwania, ale przyczyna tego stanu rzeczy nie była dla nikogo zagadką. Komentator główny AK Tadeusz Komorowski „Bór” meldował do Londynu 31 sierpnia 1943 r.: „W oficjalnych motywach odmowy uzasadniano ją technicznymi trudnościami wsparcia armii powstańczej drogą powietrzną, brakiem odpowiednich samolotów, pilnością potrzeb innych teatrów operacyjnych itp. W rzeczywistości zaś, jak nas poufnie poinformowano, były to przyczyny natury politycznej, tzn. nieregulowane stosunki z sowiecką a w związku z tym niemożliwość zniżenia, jak się zachowa Armia Krajowa w stosunku do wojsk sowieckich”. Nie jednak trzeba przyznać, że gdyby alianckich zrzutów było rotnie więcej i umożliwiłyby wyekwipowanie kilkudziesięciotysięcznej armii, AK nie odniosłaby sukcesu. Przyszłość Polski rozstrzygnęła na polach bitew, ale w Jałcie. ©©





Swordfish

Na początku lat 20. XX w. utworzono w Wielkiej Brytanii Fleet Air Arm (FAA), czyli Siły Powietrzne Marynarki Wojennej. Aż do wybuchu II wojny podlegały one RAF, potem oddano je pod kontrolę marynarki wojennej jako Air Branch. Formacja była niedoinwestowana i pod względem uzbrojenia oraz założeń taktycznych pozostawała daleko w tyle za innymi światowymi potęgami. W chwili wybuchu wojny podstawowym sprzętem były samoloty Swordfish zaprojektowane w firmie Fairey, które zgrupowano w 13 dywizjonach (12 operowało z lotniskowców). W założeniu były to maszyny wielozadaniowe: torpedowe, rozpoznawcze i obserwacyjne. Samolot trafił do FAA w 1936 r. Był to trzymiejscowy dwupłat o stałym podwoziu i konstrukcji metalowo-płóciennej. W celu zaoszczędzenia miejsca skrzydła można było składać. Wersję Mk I wyposażono w gwiazdowy silnik Bristol Pegasus

o mocy 690 KM. Uzbrojenie strzeleckie składało się z dwóch karabinów maszynowych – jednego stałego strzelającego w przód i drugiego ruchomego obsługiwanego przez strzelca-observatora. Zasadniczym uzbrojeniem ofensywnym była 730-kilogramowa torpeda lub jej ekwiwalent w postaci bomb o różnej masie. Samolot był także przystosowany do przenoszenia 680 kg miny morskiej. Archaiczny wygląd, mieszana konstrukcja i nie najlepsze osiągi (prędkość maksymalna 245 km/godz.) nie wróżyły maszynie udanej kariery podczas zaczynającego się konfliktu. Tymczasem Swordfish okazał się nadzwyczaj odporny na upływ czasu i walczył aktywnie do samego końca wojny. Załogi generalnie bardzo ceniły sobie ten samolot, gdyż wyróżniał się łatwością pilotażu, doskonałymi właściwościami manewrowymi i nadzwyczaj dużą odpornością na trudy morskiej służby. ©©

Ckm w górę!

We wrześniu 1939 r. kompanie karabinów przeciwlotniczych dysponowały cekaemami Maxim wz. 08 i Hotchkiss wz. 14. Do obu skonstruowano w Polsce specjalne lawetki, a także opracowano drewniany uniwersalny trójnog wz. 29 umożliwiający prowadzenie ognia plot. Do prowadzenia walki z samolotami przystosowano też standardowe u nas cekaemy wz. 30 systemu Browninga, będące w uzbrojeniu kompanii ckm w dywizjach piechoty i szwadronach ckm w pułkach kawalerii. W tylnej nodze trójnożnych podstaw wz. 30 i wz. 34 znajdował się maszt do strzelania plot., który w razie potrzeby można było błyskawicznie wydobyć i umieścić w osadzie dźwigara (na zdjęciu). Z kolei w podstawie kawaleryjskiej wz. 36 maszt był jednocześnie amortyzatorem odrzutu (przy strzelaniu do celów naziemnych), a do strzelania przeciwlotniczego ustawiało się go w pionie i montowało karabin w specjalnych widełkach. Karabiny wyposażono w odejmowaną kolbę oraz celownik przeciwlotniczy. Według instrukcji strzelania plot.: „Odległość 1000 m jest granicą skutecznego ognia karabinów maszynowych i poza nią strzelać nigdy nie należy”. ©©



Arsenał piechoty w XVI w.

Wczasach odrodzenia istotną częścią piechoty pozostawali kopijnicy osłonięci płytowymi zbrojami (na zdjęciu), a także żołnierze z różnorodną bronią drzewcową oraz pawężnicy utrzymujący zwartość szyku. Byli też strzelcy uzbrojeni w lontowe rusznice, chronieni niekiedy półzbrojkami i prostymi hełmami typu łebka, zaopatrzeni w miecze. Pod Orszą w 1514 r. strzelcy ukryci w leśnej zasadzce przez głównodowodzącego kniazia Ostrogskiego dali ognia do zaskoczonych hufców moskiewskich, powodując ich zmieszanie i ucieczkę. Umiejętne połączenie ognia

piechoty z rozstrzygającymi szarżami kawalerii będzie znakiem firmowym armii polsko-litewskich w wiekach XVI i XVII. Strzelcy byli też nieocenieni podczas obrony taboru (Obertyn 1531). Ówczesnych piechurów, zwanych „drabami”, organizowano w rotę liczącą od 100 do 200 żołnierzy. Dzieliły się one na dziesiątki; na każdą z nich przypadał jeden pawężnik, jeden kopijnik i sześciu



strzelców (pawężnik i kopijnik, dysponujący uzbrojeniem ochronnym, otrzymywali żołd podwójny – stąd dziesiątka). Prowadzono ogień salwowy, najpierw strzelał szereg ostatni, a przednie klęczały, potem przedostatni (ostatni w tym czasie ładował broń) i tak dalej. Szacuje się, że rota licząca 200 żołnierzy i mogła w ciągu kwadransa oddać 150 strzałów. ©©



Tymoteusz Pawłowski

/ Motocykle miały zrewolucjonizować świat, ale zostały wyparte przez samochody. Dzisiaj służą głównie celom rekreacyjnym

Motocykle pojawiły się na drogach w drugiej połowie XIX w., ale trudno wyznaczyć dokładną datę. Wielu konstruktorów rości sobie bowiem

prawa do pierwszeństwa. Pionierami było dwóch Francuzów, którzy pod koniec lat 60. XIX w. zbudowali dwukołowy pojazd napędzany silnikiem parowym znany dziś jako Michaux-Perreaux. Powstawały również dwukołowce o napędzie elektrycznym oraz spalinowym. Dzięki kampanii reklamowej – prowadzonej stulecie później – za wynalazcę motocykla uchodzi Gottlieb Daimler, który w 1885 r. zaprezentował maszynę zwaną Reitwagen. Ani jednak Daimler nie był pierwszym, który połączył silnik spalinowy z rowerem, ani jego pojazd nie był sprawny technicznie, nawet nie był maszyną dwukołową. Nie wiadomo nawet, czy jeździł...

Wielkoseryjną produkcję motocykli rozpoczęła w 1894 r. spółka Hildebrand & Wolfmüller. Pojawiła się wówczas nazwa „motocykl”: najpierw po niemiecku „Motorrad”, którą później przetłumaczono – wraz z zakupem licencji – na francuski „Motocyclette”. I chociaż w wielu językach nazwa motocykla znaczy „rower motorowy”, to w polskiej wersji językowej konotacje nie są tak oczywiste.

Tymczasem najprostsza definicja motocykla mówi, że jest to właśnie rower z dodanym silnikiem. Może nie jest to wyjaśnienie najbardziej precyzyjne, ale na pewno obrazowe. Innych definicji można szukać w ustaleniach Unii Europejskiej (jedno- lub dwuśladowy mechaniczny pojazd drogowy o masie własnej do 400 kg), w polskim prawie (pojazd samochodowy dwukołowy lub trójkołowy) czy w definicjach zwyczajowych,



Motoryzacja / Kariera „roweru z silnikiem”

Motocykl, zabawka dużych chłopców

wych, z reguły wskazujących liczbę kół mniejszą niż cztery oraz brak nadwozia. Motocykl, jaki jest, każdy widzi.

Złoty wiek

W pierwszych latach XX w. nastąpiło prawdziwe motocyklowe szaleństwo. W 1901 r. brytyjski Triumph wypuszczał 500 sztuk rocznie i był największym

producentem na świecie. W 1913 r. tytuł ten trafił do amerykańskiej firmy Indian, która montowała już 32 tys. maszyn rocznie. Motocykle stały się prawdziwym przebojem: zastępowały konia wierzchowego, były równie proste do opanowania co rowery, a silniki miały na tyle nieskomplikowane, że mógł je naprawić każdy kowal i ślusarz, benzynę zaś można było kupić nawet w najmniejszej aptece. Ich wadą była jednak dość wysoka cena.

Jak widać, motorami interesują się nie tylko mężczyźni FOT. ADOBE STOCK



zwycięstwo nad Indianem. W państwach, które wygrały wielką wojnę, coraz większą popularność zyskiwały samochody. W powojennych Niemczech były jednak zbyt drogie, więc popularnością cieszyły się nadal motocykle. Tutaj powstawały również – obok potężnych maszyn Zündapp i BMW – małe motocykle. Najśłynniejszymi z nich były pojazdy firmy DKW, która opracowała znakomity silnik dwusuwowy: mały, lekki i nieskomplikowany.

Gdy w 1939 r. nadeszła kolejna wojna, wzięły w niej udział również motocykle. BMW R75 – powszechnie nazywany Sahara, ze względu na służbę w Afryka Korps – stał się symbolem niemieckiej armii. Równie dobrze nadaje się jednak na symbol niemieckiej klęski.

Chociaż zaawansowany technicznie – miał nawet napęd na boczne koło wózka – to był nadmiernie skomplikowany, bardzo drogi i mało praktyczny. Niemcy uznali go za najdoskonalsze wcielenie motocykla wojenskowego, więc nie rezygnowali z jego produkcji. Tak samo jak nie rezygnowali z innych rozwiązań, które uznali za właściwe, a które prowadziły do klęski, zwłaszcza zaś mordowania całych narodów nawet w obliczu porażki...

Upadek

Druża wojna światowa to początek końca motocykli. Państwa zwycięskie uznały bowiem, że dużo lepsze od motocykli są małe samochody terenowe – np. amerykański jeep. Samochody mogły zrobić wszystko to, co robił motocykl, i jeszcze więcej: holować działko, przewozić rannych, transportować sprzęt. Co więcej, samochody były dużo prostsze i tańsze – nie było więc sensu inwestować w motocykle, które w Ameryce stawały się zabawkami dla dużych chłopców.

W zniszczonej wojną Europie sytuacja była nieco inna. Samochodów brakowało, a motocykle były ich namiastką. Najśłynniejszą z nich była Piaggio Vespa, czyli Osa. Był to nowy typ motocykla, przeznaczony wyłącznie do poruszania się po mieście: miał niewielkie koła, prosty w obsłudze

silniczek, wygodną kanapę i obudowę zabezpieczającą przed ochlapaniem przez błoto lub olej z silnika. Skutery stały się niezmiernie popularne, trafiły na wszystkie kontynenty, nawet do państw bloku komunistycznego. W Polsce na przełomie lat 50. i 60. XX w. produkowano skuter zwany – bardzo oryginalnie – Osa.

Produkcja Osy, podobnie jak innych polskich motocykli, zakończyła się na przełomie lat 60. i 70. Nawet w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej samochody osobowe stały się dużo bardziej atrakcyjne niż motocykle. Syrena 105 – nie wspominając o „małym” Fiacie 126 – była dużo wygodniejsza od najlepiej wyposażonego junaka i niewiele od niego droższa.

Podobnie było zresztą na Zachodzie – tam proces odchodzenia motocykli do lamusa przebiegał dużo szybciej.

Agonię motocykli przedłużyli w latach 70. producenci japońscy i „wschodni Niemcy”. Japońska Honda w 1969 r. wypuściła doskonałą CB750, która – mocna, elegancka, niezawodna i tania – zaważowała ogólnoswiatowy rynek. W Niemczech Wschodnich firma MZ wskrzesiła zaś do życia silnik dwucylindrowy.

W Polsce hondy były rzadkie, ale motocykle MZ cieszyły się dużą popularnością. Moda ta skończyła się jednak dość szybko,

wraz z dostępnością coraz tańszych samochodów i coraz większą uwagą poświęcaną ekologii.

Obecnie motocykle są przede wszystkim pojazdami rekreacyjnymi. W zatłoczonym mieście doskonale sprawdzają się skutery, którymi zainteresowanie ostatnio odżyło. Na autostradach można zażyć wolności, prowadząc potężną maszynę sportową. W Polsce niezmiernie popularny jest speedway, czyli żużel. Motocykle mają niewielką wartość użytkową. Utrzymują swoją pozycję jedynie w państwach rozwijających się – od lat największym ich producentem są Indie. Nawet jednak tutaj ich czas się kończy: produkuje się bowiem samochody użytkowe tańsze nawet od „tuk-tuka”, czyli motorowej rikszy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Para znakomitych aktorów na skuterze – plakat filmu „Rzymskie wakacje” FOT. ARCHIWUM

Gdy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa, motocykle nie były już „rowerami z silnikiem”. Przybrały swój dzisiejszy kształt: z silnikiem umieszczonym pomiędzy kołami, ze zbiornikiem paliwa nad nim i z siodełkiem nieco z tyłu. Technicznie były to jednak wciąż maszyny bardzo niedoskonałe, brakowało również tego, co dzisiaj jest standardem nawet w przeciętnych rowerach: instalacji elektrycznej, skutecznych hamulców i zawieszania.

Przełom dokonał się w czasie I wojny światowej. Zaczęto wówczas na potrzeby wojska produkować setki tysięcy motocykli. Doskonale nadawały się do zastąpienia konia. Nie dla jeźdźców kawalerii – choć ta powoli odchodziła za horyzont historii – ale jako pojazdy łączników, dowódców, adiutantów. Po I wojnie światowej motocykle nie tylko produkowano w dużych ilościach, lecz także stawały się one coraz bardziej nowoczesne i skomplikowane.

Oprócz potężnych maszyn, z silnikami o pojemności skokowej większej niż litr, powstawały motocykle niewielkie, które dziś nazwalibyśmy motorowerami. Te potężne powstawały przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, w których firma Harley-Davidson powoli odnosiła

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

HELENA GROSSÓWNA BYŁA JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH GWIAZD POLSKIEGO PRZEDWOJENNEGO KINA. JUŻ W PIERWSZYCH SWOICH ROLACH UDOWODNIŁA, ŻE MA WIELKĄ SCENICZNĄ CHARYZMĘ I POTRAFI ŁĄCZYĆ GRĘ AKTORSKĄ Z TAŃCEM ORAZ ŚPIEWEM. OGROMNĄ POPULARNOŚĆ ZAWDZIĘCZAŁA WYSTĘPOM W KOMEDIACH WRAZ Z ADOLFEM DYMSZĄ I EUGENIUSZEM BODO, TAKICH JAK „ROBERT I BERTRAND” ORAZ „PAWEŁ I GAWEL”.



JEJ ŚWIETNIE ROZWIJAJĄCĄ SIĘ KARIERĘ PRZERWAŁ WYBUCH II WOJNY ŚWIATOWEJ. WE WRZESNIU 1939 ROKU PROWADZIŁA NA TARGÓWKU KUCHNIE, KTÓRA WYDAWAŁA POSIEKI OBRONCOM STOLICY.



W CZASIE OKUPACJI MIESZKAŁA W WARSZAWIE, GDZIE PRACOWAŁA JAKO KELNERKA W KAWIARNI „U FILMOWCÓW” (ZALOŻONEJ PRZEZ ŚRODOWISKO AKTORSKIE). WYSTĘPOWAŁA TAM RÓWNIEŻ W KABARECIE LITERACKIM.

JEDNAK POTAJNIE DZIAŁAŁA W PODZIEMIU UŻYWAJĄC PSEUDONIMU „BYSTRA”.



GDY WYBUCHŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE, ZOSTAŁA KOMENDANTKĄ KOBIECEGO BATALIONU „SOKÓŁ”. W JEJ SKŁAD WCHODZIŁO KILKADZIESIĄT SANITARIUSZEK I ŁĄCZNICZEK.



NIE BÓJ SIĘ,
TO NIE JEST
POWAŻNA RANA.
DO WIESELA
SIĘ ZAGÓŁ.

PO UPADKU POWSTANIA ZAJMOWAŁA SIĘ PRZESZUKIWANIEM BUDYNKÓW I TRANSPORTOWANIEM ODNALEZIONYCH TAM RANNYCH DO SZPITALA PRZY UL. SZOPENA. PO EWAKACJI SZPITALA, RAZEM Z JEJ PERSONELEM I PACJENTAMI ZOSTAŁA PRZETRANSPORTOWANA CIĘŻARÓWKAMI DO OBOZU W GROSS-LÜBARS.



W GRUDNIU 1944 ROKU TRAFIŁA DO OBOZU JENIECKIEGO W OBERLANGEN, GDZIE PRZEBYWAŁO 1700 UCZESTNICZEK POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. W KWIETNIU 1945 ROKU OBOZ ZOSTAŁ WYZWOLONY PRZEZ ŻOŁNIERZY Z 1 DYWIZJI PANCERNEJ DOWODZONEJ PRZEZ GENERAŁA STANISŁAWA MACZKA.



PO WOJNIE HELENA GROSSÓWNA WRÓCIŁA DO POLSKI, JEDNAK ZE WZGLĘDU NA DZIAŁALNOŚĆ W AK PRZEZ WIELE LAT NIE OTRZYMUYWAŁA RÓL W FILMACH. DO 1967 ROKU WYSTĄPIŁA TYLKO W SIĘDMIU PRODUKCJACH, GRAJĄC GŁÓWNE EPIZODY, JAK NP. POSTAĆ MATKI JACKA I PLACKA W „O DWÓCH TAKICH CO UKRADLI KSIĘZYC”. ZMARŁA W 1994 ROKU, W WIEKU 89 LAT.

opracowanie i ilustracje 2019



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Precz z Berlingiem!

Na tę wiadomość czekała wolna Polska od 30 lat! Pomnik Zygmunta Berlinga w Warszawie zostanie zdemontowany! Zwerbowany najpewniej w Starobielsku do współpracy z NKWD ppłk Zygmunt Berling, który od czerwca 1939 r. pozostawał poza Wojskiem Polskim. Ten były legionista i żołnierz wojny polsko-bolszewickiej w ręce Sowietów wpadł w październiku 1939 r. w Wilnie (przed przekazaniem miasta Litwinom) jako pracownik Państwowego Instytutu Rozrachunkowego. Opiekunami i „prowadzącymi” przyszłego pierwszego dowódcy ludowej armii polskiej, który kilka lat później stanie nad katyńskimi mogiłami zdradzonych kolegów i oskarży o tę zbrodnię Niemców, byli gen. Wsiewołod Mierkułow (sam zastępca Ławrientija Berii) i ppłk Wiktor Kondriatik z NKWD.

Chciał włączenia Polski do Związku Sowieckiego. Już po ataku Niemiec na ZSRS

ppłk Berling i jego 12 współpracowników, jako „oficerowie byłej armii polskiej”, skierowali na ręce ludowego komisarza spraw wewnętrznych sześciopunktowy manifest, w którym zadeklarowali chęć walki z III Rzeszą i budowę Polski w ramach Związku Sowieckiego: „Jako członkowie jednego z narodów uciśnionych przez faszystowskiego agresora jedyną drogę do wyzwolenia narodu polskiego widzimy we współpracy ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad, w ramach którego ojczyzna nasza będzie się mogła w sposób pełnowartościowy rozwijać”.

Sowietci wciąż jednak trzymali Berlinga i jego towarzyszy w „złotej klatce”. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 r. Berling i jego towarzysze zostaną oddelegowani przez NKWD do Armii Polskiej na Wschodzie dowodzonej przez gen. Władysława Andersa, w której zajmą się agenturalnym rozpoznaniem „roboty antysowieckiej”. Nieprzypadkowo zatem, kiedy Anders i jego

armia opuszczą Sowiety, Berling ostatecznie zdezerteruje z wojska. Został za to zdegradowany i wydany z Wojska Polskiego rozkazem gen. Andersa z 20 maja 1943 r., po czym Sąd Polowy skazał go 2 lipca 1943 r. zaocznie na karę śmierci jako dezertera. W jego wojskowe akta personalne wpisano później, że w okresie od września 1942 do maja 1943 r. pozostawał „bez przydziału” w Moskwie. Decyzją Stalina z 1943 r. obejmie dowództwo nad 1. Polską Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a potem nad I Korpusem Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS.

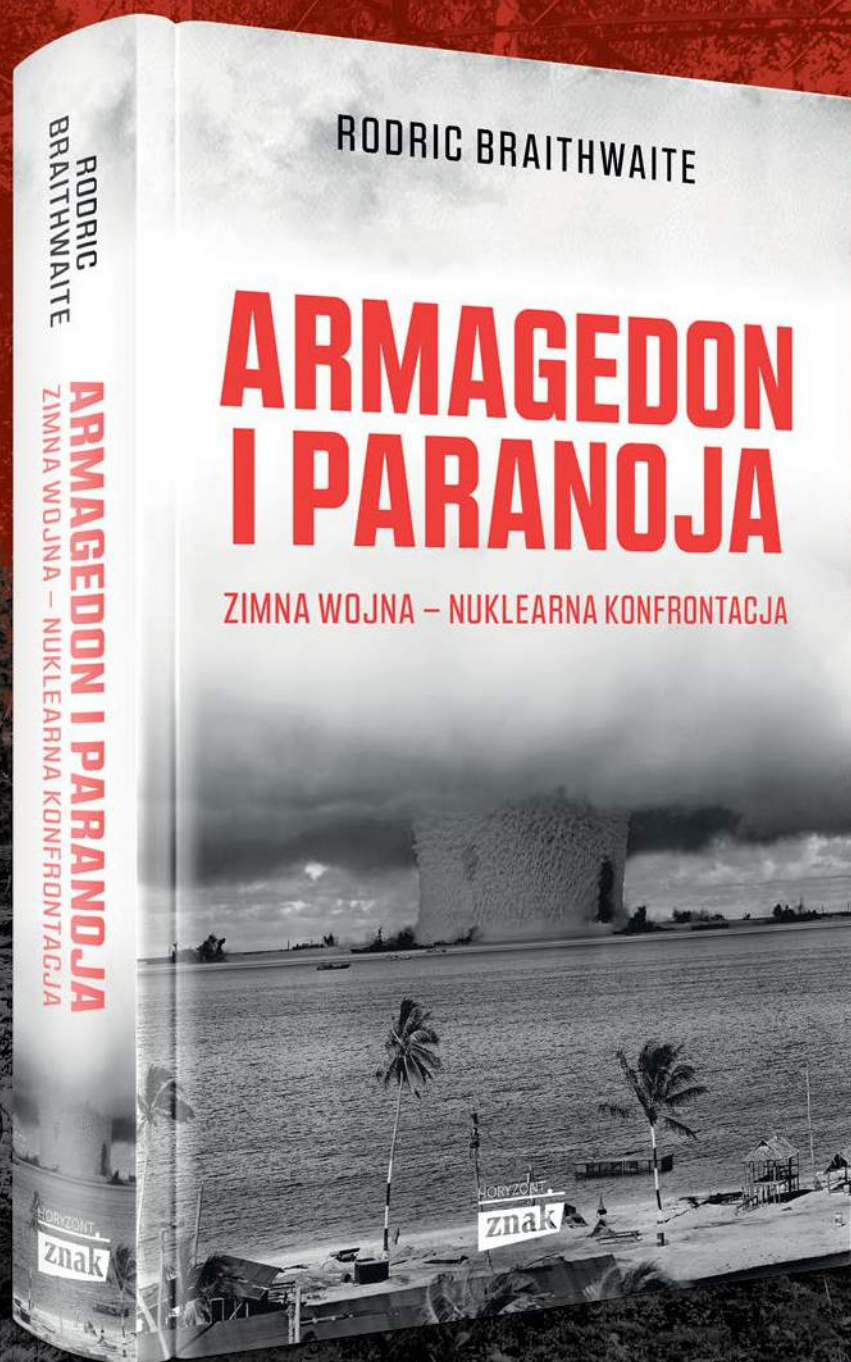
19 kwietnia 1943 r. Biuro Polityczne WKP(b) podjęło decyzję o utworzeniu polskiej formacji wojskowej u boku Armii Czerwonej. Berlinga obudził w nocy telefon Mierkułowa z informacją, że wreszcie się doczekał i stanie na czele „polskiego” wojska. Awansowany do stopnia pułkownika, a później przez samego Stalina na generała brygady, ocaleniec ze Starobielska, Zygmunt Berling, stanął w maju 1943 r. na czele 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, którą w późniejszym czasie przemianowano na 1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, a później I Armię WP na Wschodzie.

Powstało w ten sposób wojsko formowane według wzorów sowieckich, którego nominalnym zwierzchnikiem politycznym był agenturalny Związek Patriotów Polskich. Od tej pory żołnierze Berlinga przysięgali wierność Związkowi Sowieckiemu i braterstwo z Armią Czerwoną: „Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii”.

Nie może więc budzić zdziwienia stanowisko legalnych władz polskich na uchodźstwie, które już w lipcu 1943 r. wojsko Berlinga uznały za integralną część Armii Czerwonej: „Dywi-
[1. Polska Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki – przyp. S.C.] nie należy do Wojska Polskiego i jest Dywizją Armii Czerwonej pod rozkazami władz sowieckich. Dowódca jej, oficerowie i żołnierze są oficerami i żołnierzami sowieckimi, a nie polskimi, posiadają oni obywatelstwo sowieckie, a nie polskie. Również tzw. Komitet Patriotów Polskich w Moskwie, który patronuje tej Dywizji, składa się z obywateli sowieckich, a nie polskich, i nie jest w żadnych stosunkach z jedynym legalnym Rządem Polskim, który znajduje się obecnie na wygnaniu w Londynie i jest uznany za jedyny Rząd przez okupowaną Polskę”.

Szkoda, że to, co było oczywiste już w 1943 r., współczesna Polska zrozumiała dopiero w roku 2019. ©©

**Dysponujemy bronią,
która może zniszczyć
cywilizację.**



Wystarczy jeden błąd, aby powtórzyć
nuklearną katastrofę z Czarnobyli.